

Sylvia Andrew
Umowa poślubna



Tytuł oryginalny: The Bridegroom's Bargain
Seria wydawnicza: Harlequin Romans Historyczny (tom 167)
Tłumaczyła: Ewa Bobocińska

Rozdział pierwszy

Październik 1815

- Umilowani! Zebraliśmy się tutaj, by w obecności Boga i wszystkich zgromadzonych...

Promień jesiennego słońca przeniknął przez witrażowe okno do wnętrza starożytnego kościoła Świętego Wulfrica i spoczął na kanoniku Harmondzie w chwili, gdy wymawiał pierwsze słowa ceremonii zaślubin. Zabarwił jego komżę i wianuszek śnieżnobiałych włosów refleksami błękitu i zieleni, czerwieni i złota. Wydawało się, że zstąpił z przedstawiającego gromadkę świętych witrażu w zachodnim oknie.

Blask słońca opromienił również sylwetkę pana młodego, który zupełnie nie wyglądał jak święty. Wysoki, jak zawsze roztaczający wokół siebie aurę nieco aroganckiej pewności siebie, Richard Deverell był niewątpliwie istotą jak najbardziej z tego świata. W czarnym surducie i dopasowanych spodniach, będących niewątpliwie dziełem mistrza sztuki krawieckiej, w śnieżnobiałym fularze i również białej jedwabnej kamizelce, wyglądał dokładnie na tego, kim był - na członka jednej z najbardziej ekskluzywnych i kosmopolitycznych społeczności - angielskiej arystokracji.

Jednakże siłę szerokich ramion i atletyczną sylwetkę zawdzięczał czteroletnim bojom z Francuzami, a nie wirowaniu w takt walca na londyńskich balach. Opalenizna i drobne zmarszczki wokół szarych oczu były rezultatem dni spędzanych w siodle pod prażącym słońcem Hiszpanii, a przecinająca policzek blizna przypominała, że niemal cudem umknął śmierci pod Waterloo. Od tego czasu mówiono, że Richard Deverell ma piekielne szczęście, również w rozgrywkach karcianych i wszelkiego rodzaju grach.

Ciotka pana młodego, lady Honoria Standish, zmierzyła zebranych krytycznym spojrzeniem. Ławka rodziny Deverellow stanowiła najdogodniejszy punkt obserwacyjny w kościele. Lady Honoria nie dostrzegła nikogo z towarzystwa, wątpiła zresztą, by ktokolwiek otrzymał zaproszenie. Jak mogło być inaczej, skoro ojciec panny młodej tak niedawno został złożony w grobie? A jednak szkoda. Ślub Richarda powinien być znacznie okazalszy niż ta skromna ceremonia.

- Przede wszystkim dla powołania na świat potomstwa... I o to chodziło. Przyjemnie będzie, gdy w Channings znowu pojawią się dzieci. Zresztą najwyższy czas, by Richard zatroszczył się o spadkobierców - dobra Deverellow nie powinny wpaść w ręce kuzynów czy pociotków. Spojrzała na bratanka i z aprobatą kiwnęła głową. To małżeństwo położy wreszcie kres tego typu troskom. Aleksandra Rawdon wywodziła się z przyzwoitej, zdrowej rodziny, a Richard był w pełni sił. Niewiele kobiet zdołałoby mu się oprzeć - nic więc dziwnego, że ta dziewczyna Rawdonów aż się paliła, żeby go poślubić.

Lady Honoria zmarszczyła czoło. Dlaczego właściwie Richard spośród wszystkich dziewcząt wybrał akurat Leksi Rawdon? Była ładniutka, ale lady Honoria знаła wiele pięknych, eleganckich, bogatych, dobrze urodzonych dziewcząt, które dałyby się posiekać na kawałki, byle zostać lady Deverell. Każda z nich lepiej niż Aleksandra Rawdon nadawałaby się na panią tak wielkiego i ważnego majątku jak Channings. Ta dziewczyna była impulsywną, tryskającą humorem trzpiotką i wołała włóczyć się po polach ze swoim bratem Johnnym i Richardem, niż siedzieć w domu i uczyć się, jak być damą.

To prawda, że dzieciństwo Richarda upłynęło właściwie wśród Rawdonów. Stanowili z Johnnym parę nierozłącznych przyjaciół, a sir Jeremy i lady Rawdon traktowali go jak syna i darzyli miłością i troską, jakiej daremnie szukał we własnym domu. Czyżby zenił się z ich córką

z poczucia obowiązku? Dziewczyna została całkiem sama na świecie. Matkę straciła kilka lat temu, Johnny Rawdon zginął tragicznie przed paru miesiącami, a niedawno odszedł również jej ojciec, sir Jeremy. Czy właśnie dlatego Richard postanowił ją poślubić?

Lady Honoria przeniosła spojrzenie na pannę młodą. Aleksandra Rawdon prezentowała się całkiem nieźle - wysoka, smukła, prosta jak strzała, ubrana w białą, jedwabną suknię i biały welon, upięty na czepeczku, który utrzymywał w ryzach gęstwinę jej niesfornych, jasnorudych włosów. Zdarzenia ostatnich miesięcy wyraźnie wycisnęły piętno na Aleksandrze. Stała u boku Richarda sztywna, jakby kij połknęła. Lady Honoria westchnęła. Proponowała odłożenie ślubu, ale Richard był nieugięty - małżeństwo miało zostać zawarte najszybciej jak to możliwe. Pewnie miał rację. Rawdon Hall należał do rodziny Rawdonów od czasów Tudorów, a Aleksandra i jej kuzyn Mark Rawdon byli ostatnimi z rodu.

Sir Markowi pewnie ulżyło, że Leksi opuściła dom, który przeszedł obecnie w jego ręce. I choć kuzynostwo całkiem nieźle się dogadywało, nie mogło jednak dłużej mieszkać pod jednym dachem, mając jedynie starą nianię za przyzwoitkę. Mark Rawdon nie mógł poślubić Leksi, nawet gdyby tego pragnął. Jakkolwiek trudno w to uwierzyć, rozeszły się pogłoski, że dziedzic Rawdon Hall musi się bogato ożenić, jeśli chce uratować rodowy majątek.

Ciotka Richarda przyjrzała się mężczyźnie, który stał u boku panny młodej, gotów oddać ją mężowi. Sir Mark Rawdon. Szczery, otwarty, niczego nieukrywający młody człowiek. Był równie przystojny jak Richard i, prawdę mówiąc, wyglądał znacznie lepiej niż jego kuzynka Aleksandra. Ubrał się wytwornie, w ciemnozielony surdut i skórzane spodnie, a jego krótkie, kasztanowe, zaczesane z niedbałą elegancją włosy zdawały się błyszczeć w promieniach słońca.

- Richardzie Anthony czy bierzesz sobie tę kobietę za małżonkę i obiecujesz ją kochać, strzec i szanować, w zdrowiu i w chorobie...

Uwagę lady Honorii przykuła składana właśnie przez młodą parę przysięga małżeńska.

Uroczyste słowa wypowiedane głębokim głosem Richarda zabrzmiały tak pięknie, jak chyba nigdy.

- ... w zdrowiu i w chorobie... dopóki śmierć nas nie rozłączy...

Z uśmiechem, który nieczęsto pojawiał się na jej twarzy, wysłuchiwała Richarda. Przyszła kolej na Aleksandrę. Dziewczyna mówiła czystym głosem, ale jakby z przymusem. Co się z nią dzieje? Powinna promienieć szczęściem! Przecież wychodziła za człowieka uważanego za najlepszą partię w całej Anglii!

- ... na dobre i na złe... w bogactwie i w biedzie... kochać... - Aleksandra urwała, ale szybko zapanowała nad sobą i kontynuowała: - ... kochać, dbać i być posłuszną, dopóki śmierć... - Tym razem milczenie trwało trochę dłużej. - Dopóki śmierć nas nie rozłączy...

Richard słyszał napięcie w głosie Leksi. Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i powtarzał ostatnie słowa:

- Tą obrączką cię zaślubiam, oddaję w twoje ręce samego siebie i wszystkie swoje dobra doczesne...

Lady Honoria pokiwała głową. Richard miał zdecydowanie ponadprzeciętny udział w dobrach doczesnych, był nieprzyzwoicie wręcz bogaty. I choć nie obnosił się może ze swymi uczuciami, to niewątpliwie będzie dbał o żonę. Aleksandra Rawdon naprawdę ma szczęście.

Kiedy kanonik Harmond rozpoczął kazanie, lady Honoria rozsiadła się wygodnie na poduszkach - bo Deverellowie zawsze dbali o wygodę swej kościelnej ławy - i starała się przybrać taką minę, jakby uważnie słuchała. Duchowny powtarzał zawsze to samo przemówienie, na szczęście dość krótkie. Jeszcze minuta czy dwie i państwo młodzi przejdą do zakrystii złożyć podpisy dla

dopełnienia formalności. Richard osiadł wreszcie w Channings i będzie wiodł spokojne życie rodzinne. Przymknęła oczy...

Nie tylko lady Honoria nie słuchała kanonika Harmonda z należytą uwagą. Również panna młoda, której nerwy były napięte niczym struny, nie mogła doczekać się końca ceremonii. To już na pewno nie potrwa długo. Wkrótce przejdą do zakrystii złożyć podpisy, dostarczą ostatnie dokumenty i... będzie po wszystkim.

Uświadomiła sobie mglście, że kanonik Harmond ruszył przodem, żeby wskazać im drogę, Mark i lady Honoria podążyli za nim, a Richard wsunął jej dłoń pod ramię, by wyprowadzić ją z kościoła do zakrystii. W niewielkim pokoiku przy zawalonym papierami stole siedział kancelista. Leksi podpisała we wskazanym miejscu i cofnęła się o krok. Serce jej waliło, a głowa pękała z bólu. Zdjęła czepek i welon, żeby zmniejszyć ucisk. Położyła je na stole obok najważniejszego dokumentu: prezentu ślubnego od Richarda.

- Aleksandro? Co ci jest? Nie interesuje cię obiecany prezent ślubny? - Richard uśmiechnął się do niej.

Leksi zdołała się uśmiechnąć.

- Oczywiście. Jest już gotowy?

- Tak sędzę. Panie Underhill?

Kancelista odchrząknął i oświadczył mocnym głosem, choć jego mina wyrażała stanowczą dezaprobatę:

- Mam przed sobą akt prawny przeniesienia własności na rzecz sir Marka Satterlyego Rawdona z Rawdon Hall w hrabstwie Somerset. W największym skrócie mówiąc, zwraca on wszystkie elementy majątku, należące dawniej do Rawdon Hall, a w ciągu kilku ostatnich miesięcy ofiarowane lordowi Deverellowi przez ojca lady Deverell, sir Jeremy'ego Rawdona. Ziemie i sumy zostały niżej wyszczególnione... - Podniósł wzrok. - Lista jest całkiem długa.

Prawnik zignorował okrzyki zaskoczenia lady Honorii i kanonika.

- To przedziwny dokument. Z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że nigdy nie spotkałem się z podobną hojnością! Czy życzy pani sobie, lady Deverell, żebym odczytał listę?

- Nie - odparła Leksi bezbarwnym głosem. - Na pewno wszystko się zgadza.

- Dodaliśmy tylko jedną klauzulę, na którą powinienem zwrócić pani uwagę - powiedział prawnik.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Leksi.

- O to, że sir Mark musi przeżyć panią i lorda Deverella, w przeciwnym razie dobra przekazywane w niniejszym akcie nie będą wchodziły w skład jego majątku, ale powrócą do pani męża.

Dziwny uśmieszek przemknął po twarzy Leksi.

- Nie zgłaszam sprzeciwu wobec tego zapisu. Proszę zostawić tę klauzulę. Mogę dostać dokument?

- Na pewno tego chcesz, Aleksandro? - Richard wziął plik papierów, zanim prawnik zdążył je podać Leksi. - To naprawdę dziwna intercyza ślubna, nie ma w niej żadnego zapisu dla ciebie.

- Wszystko w niej jest dla mnie, bo zapewnia Rawdon bezpieczną przyszłość. Ojciec na pewno by tego pragnął. Mogę dostać ten akt?

- A nie sądzisz, że najpierw należy mi się nagroda? - zapytał Richard z uśmiechem. - Na przykład pocałunek mojej żony?

Leksi poczuła gwałtowny przyływ odrazy podszytej paniką.

- Nie! - krzyknęła.

Zapadła głucha cisza, Leksi spojrzała na twarze obecnych, na których malowało się zdumienie.

- J... jeszcze nie - wyjąkała. - Pozwólcie, że najpierw dam to Markowi.

Richard wpatrywał się w nią zwięzonymi oczyma.

- Dobrze - powiedział. - Sądzę jednak, że możemy zwolnić pana Underhilla. On już swoją pracę wykonał. - Podziękował prawnikowi i odprawił go krótkim skinieniem głowy. Następnie podniósł dłoń Leksi do ust i dopiero potem wręczył jej dokument.

Leksi czekała na to z wyraźnie widoczną niecierpliwością. Wyrwała rękę i niemal wcisnęła intercyzę w dłoń kuzyna.

- Weź to - rzuciła gwałtownie - i dbaj o Rawdon! Nasza rodzina żyje w dworze od wieków. Jesteś ostatnim z rodu i troska o jego przyszłość spada na ciebie. Od tej chwili jesteś pełnoprawnym właścicielem całych dóbr, a ponieważ wszystkie ziemie wróciły do majątku, Rawdon Hall ma wszelkie szanse przetrwać.

- Leksi, nie wiem, co powiedzieć...

- Nic nie mów. Weź! I cofnij się!

Odwróciła się do stojących za jej plecami półek, a kiedy stanęła znów twarzą do nich, trzymała w ręku pistolet.

- Cofnijcie się wszyscy! - Broń była wycelowana w Richarda. Wszyscy oniemieli ze zdumienia. Lady Honoria pierwsza odzyskała głos.

- Aleksandro! Co robisz, do licha! To jakiś żart? Jeśli tak, to w wyjątkowo złym guście. Opuść natychmiast ten przedmiot!

- O, nie! Dopiero kiedy zrobię to, co przysięgam sobie zrobić. - Kątem oka pochwyciła jakiś ruch. - Ostrzegam, jeśli ktokolwiek z was się poruszy, natychmiast zastrzelę Deverella. Nie chybię!

- Mogę za to ręczyć - oświadczył spokojnie Richard. Pobladł nieco, ale w pełni panował nad sobą. Nie spuszczał wzroku z twarzy świeżo poślubionej żony- Aleksandra jest wyśmienitym strzelcem, sam ją uczyłem. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, dlaczego doszła do wniosku, że musi mnie zabić. Aleksandro?

- Naprawdę musisz pytać? Jesteś tchórzem! Nikczemnym tchórzem! Zabiłeś mojego brata i zrujnowałeś ojca. To chyba wystarczające powody.

Wszyscy osłupieli. Zaszokowana lady Honoria wydała okrzyk protestu, a kompletnie zaskoczony kanonik Harmond stwierdził:

- Nie rozumiem. Dlaczego mówisz takie straszne rzeczy, Aleksandro? Lord Deverell przed chwilą się z tobą ożenił. Biedne dziecko, pewnie sama nie wiesz, co robisz. To dla ciebie za dużo. Oddaj mi tę broń. - Zrobił krok do przodu.

Zatrzymał go rozkaz Leksi.

- Cofnąć się! Doskonale wiem, co robię. Cofnąć się! Zapewniam, że zdążę zastrzelić Deverella, zanim ktokolwiek się do mnie zbliży.

-Richardzie, to zachowanie jest po prostu haniebne! W życiu o czymś takim nie słyszałam! Dlaczego jej nie powstrzymasz? - włączyła się oburzona lady Honoria.

- Niczego bardziej nie pragnę, ciociu Honorio - odparł Richard, nie spuszczać wzroku z twarzy żony - Niestety, nie bardzo wiem, w jaki sposób. - Był teraz bardzo blady, ale nie stracił spokoju.

- To z całą pewnością nie są żarty. Wytoczyłaś przeciwko mnie bardzo poważne oskarżenia, Aleksandro. Naprawdę w nie wierzysz? Przecież nie masz żadnych dowodów.

- Mam wszystkie dowody, jakich potrzebuję! I teraz, kiedy los Rawdon Hall jest zabezpieczony, będziesz musiał za wszystko zapłacić.

Lady Honoria zwróciła się do Marka Rawdona.

- Sir Marku! - zawołała z naciskiem. - Czy ma pan na nią jakikolwiek wpływ? Niech pan coś powie! Niech pan coś zrobi! Nie wierzę, żeby ona naprawdę chciała kogoś zastrzelić, ale takie mierzenie z broni palnej może źle się skończyć. Niech jej pan powie, żeby przestała zachowywać się jak idiotka i opuściła pistolet. Niech ją pan zmusi do posłuszeństwa.

- Nie rób tego, Leksi - poprosił kuzyn. - Osiągnęłaś już cel: ocalałaś Rawdon. Nie musisz posuwać się do czegoś tak szalonego. To nie jest konieczne.

- Jest! Bardziej niż kiedykolwiek. On został moim mężem, Marku. Czy wyobrażasz sobie, że potrafiłabym żyć z takim nikczemnikiem? - Uniosła pistolet i panujące w niewielkim pokoju napięcie jeszcze wzrosło.

- Zaczekaj, Aleksandro! Zaczekaj! - zawołał Richard z naciskiem, choć nadal bez lęku. - Daj mi jeszcze chwilę. Jako skazaniec mam chyba prawo do wystąpienia we własnej obronie.

- Aby zaklinać się, że jesteś niewinny? - Leksi wyduła wargi.

- Tak, do licha! Jestem niewinny!

- Nie zastrześliś mojego brata?

- Nie, nie zastrześliłem!

- Nie grałeś w karty z moim ojcem? - ciągnęła Leksi nieubłaganie. - Nie uprawiałeś z nim hazardu? Nie wygrałeś od niego wszystkiego, co miał? Nie zrujnowałeś go?

Richard zawahał się.

- Był zrujnowany, zanim usiedliśmy do gry, ale rzeczywiście zagrałem z nim o... o to, co pozostało. I wygrałem. - Leksi załkała i mocniej zacisnęła rękę na broni. Lady Honoria i kanonik uczynili ruch, jakby chcieli protestować. - Proszę wszystkich o spokój! - powiedział ostro Richard. -

Absolutnie zabraniam komukolwiek wtrącania się do naszej rozmowy! To sprawa pomiędzy Aleksandrą i mną. - Patrząc Leksi prosto w oczy, kontynuował: - W sprawie twojego ojca zrobiłem to, co musiałem. Chciałem go ocalić, a nie zrujnować. Gdyby nie zmarł tak nagle, udowodniłbym mu to. Jemu i, jeśli to konieczne, również i tobie.

- Mało to przekonujące! To ja cię zmusiłam, żebyś zwrócił Markowi tereny wygrane od ojca. Gdyby nie ja, zostałyby przypuszczalnie wcielone do majątku Channings jako twoja własność. Rawdon przestałoby istnieć. - Podniosła głos w gniewie. - Dobry Boże, Deverell! Co z ciebie za człowiek? Czy Channings ci nie wystarczy? Musiałeś jeszcze przejąć Rawdon?

- Nie zmusiłaś mnie do zwrócenia czegokolwiek, Aleksandro. - W głosie Richarda pojawiły się stalowe nutki. - Ofiarowałem ci te ziemie z własnej i nieprzymuszonej woli w prezencie ślubnym. A ty podjęłaś decyzję przekazania ich kuzynowi.

- Nie takiej znowu dobrej i nieprzymuszonej. Musiałam za ciebie wyjść, żeby je zdobyć.

- Chcesz powiedzieć, że tylko dlatego za mnie wyszłaś? Trudno mi w to uwierzyć. Bardzo skwapliwie przyjęłaś moje oświadczenia.

- To było, zanim... - Urwała. - Zanim dowiedziałam się, co zrobiłaś. Potem już tylko myśl o uratowaniu Rawdon powstrzymała mnie od zerwania zaręczyn.

- Rozumiem - Richard jeszcze bardziej pobladł. Milczał przez chwilę, po czym zmusił się do mówienia. - Ale, jak sama stwierdziłaś, Rawdon zostało ocalone. Wszystko wróciło do normy, prawda?

- Wróciło do normy? Przyczyniłaś się do śmierci taty! A poza tym musisz zapłacić za życie mojego brata!

- Już ci mówiłem - oświadczył Richard stanowczo - że śmierć Johnny'ego to był wypadek.

- Oczywiście, już w to wierzę! Zresztą, przypadkowo czy nie, pozostaje faktem, że go zastrześliś, choć rozpowiadałaś wszystkim, że sam się postrześlił. Z jakiego innego powodu

miałbyś później starać się wszystko ukryć? Jesteś kłamcą i tchórzem, Richardzie Deverellu. I ja o tym wiem, nawet jeśli reszta świata nie jest tego świadoma.

Skóra Richarda w okolicy ust całkiem zbielała, odruchowo zrobił krok do przodu, na co Leksi groźnym gestem uniosła broń w górę.

Lady Honoria wrzasnęła.

- Nie! Nie! Błagam, Boże, nie!

- Gdyby to była prawda, w pełni zasługiwałbym na każde słowo, które padło z twoich ust - przyznał ze spokojem. - Ale to nieprawda. Kiedy Johnny zginął, nawet nie było mnie w pobliżu. Gdybym... - Zamilkł i po raz pierwszy na jego twarzy odmalowały się silniejsze emocje. - Gdybym tam był, uratowałbym go.

Po raz pierwszy Leksi się zawahała. Po chwili jednak wróciła jej poprzednia pewność siebie.

- Mam dowód. Bardzo dobry dowód - stwierdziła głosem bez wyrazu.

- Aleksandro, gdzie twoje poczucie sprawiedliwości? Postawiony przed sądem, oskarżony i skazany w jednej sekundzie, bez zastanowienia? Taki ma być mój los?

- Kochałam cię, Richardzie! Mój ojciec cię kochał. Johnny był twoim przyjacielem. A ty zdradziłeś nas wszystkich! Oszukałeś ludzi, którzy ci ufali! Nie zasługujesz na to, aby żyć.

- Moja droga, spróbuj przynajmniej raz zastanowić się nad konsekwencjami swojego postępowania, zanim cokolwiek zrobisz. Jesteś przekonana o mojej winie. A jeśli się mylisz? Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że teraz mnie zastrzelisz, a za parę lat przekonasz się, że byłem niewinny. Co wtedy? Jak będziesz się czuła? Lady Honoria nie wytrzymała.

- Oczywiście, że jesteś niewinny, Richardzie! Jak możesz zachowywać taki spokój? Spójrz na nią. Ona naprawdę wierzy w to, co mówi. Ta dziewczyna oszalała! - Jej starczy głos załamywał się, kiedy zaczęła błagać: - Aleksandro, nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci strzelać do Richarda, to dobry człowiek. Nie okłamywałby ani ciebie, ani nikogo innego. Przyczyną śmierci twojego brata był nieszczęśliwy wypadek, wszyscy o tym wiedzą. Tak brzmi oficjalne orzeczenie armii. Richard przysięga, że nawet nie było go przy tym, jak więc mógłby maczać w tym palce? A co do twojego ojca...

Leksi nie słuchała. Stała, wpatrując się w Richarda płonącymi oczami; broń w jej dłoni nawet nie drgnęła. Richard przerwał ciotce, nie odrywając wzroku od twarzy żony.

- Dziękuję, ciociu Honorio, ale chyba nie zdołasz przekonać mojej żony, że nie jestem nikczemnikiem. Ona nie zamierza nawet słuchać argumentów w mojej obronie. - Starał się trzymać na uwierzy wzrok Leksi i kontynuował: - Aleksandro, zgadzam się z tobą, że miała miejsce pewna podłość wobec rodziny Rawdonów. Wydawało mi się, że śmierć twojego ojca położy temu kres. Najwyraźniej nie miałem racji. Zapewniam cię, że zastrzelenie mnie nie rozwiąże problemu. Nie ja ponoszę odpowiedzialność za to wszystko. Dowiem się kto, jeśli tylko dasz mi trochę czasu.

- Nie może być nikogo innego, Deverell!

- Przysięgam, że tak. - Pewność w głosie Richarda sprawiła, że Leksi zawahała się, mógł więc kontynuować. - Pozwól, że złożę ci pewną propozycję. Pokaż mi dowody przeciwko mnie. Powiedz, dlaczego jesteś tak głęboko przekonana, że zdradziłem najlepszego przyjaciela i jego rodzinę, ludzi, którzy... - Urwał, po czym dokończył: - Ludzi, którzy tak wiele dla mnie znaczyli. Daj mi sześć miesięcy. Sześć miesięcy na udowodnienie, że mylisz się co do wypadku Johnny'ego. Sześć miesięcy na stwierdzenie, kto lub co doprowadziło twojego ojca do ruiny.

- Nie ma wątpliwości, że ty. Przecież sam się do tego przyznałeś.

- Nieprawda. Nie słuchałaś uważnie. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zapobiec ruinie, ale poniosłem klęskę. Pozwól mi udowodnić, że mówię prawdę. Zawrzyjmy umowę.

Jeżeli po upływie sześciu miesięcy nie zdołam przedstawić satysfakcjonujących cię dowodów, to zaoszczędzę ci trudu zastrzelenia mnie. Sam to zrobię, przysięgam.

Kanonik Harmond i ciotka Honoria zaczęli krzyczeć równocześnie.

- Lordzie Deverell, nie wolno składać takich przysięg!

- Richardzie! - Ciotka Honoria była wstrząśnięta. - Czy ty również postradałeś zmysły?

Tylko Leksi patrzyła na Richarda bez słowa.

- Daję ci na to moje słowo - powtórzył.

- Słowo kłamcy i oszusta? - zapytała uszczypliwie. - Jak mogłabym potraktować je poważnie?

- Myślę, że możesz mieć do mnie większe zaufanie niż ja do ciebie, jak się okazuje - odparł. - Czyż nie przysięgałaś, że będziesz mnie kochać, czcić i słuchać? A może kto inny stał wówczas przy mnie przed ołtarzem?

- Przysięgałam cię kochać, dopóki śmierć nas nie rozłączy, Richardzie.

- Rozumiem. - Skrzywił się, a potem obrzucił żonę wyzywającym spojrzeniem. - A więc, jak będzie, Aleksandro? Kulka już teraz czy dopiero za sześć miesięcy?

Kanonik Harmond odchrząknął, po czym oznajmił:

- Lordzie Deverell, stanowczo odmawiam stania na uboczu, podczas gdy zawierany jest tak szalony układ.

- Czy pan nie widzi, Harmond, że ona nie zgodzi się na nic innego? Niech pan nie zaprzepaszcza szansy na kompromis.

Kanonik Harmond westchnął i zwrócił się do Leksi.

- Lady Deverell, nie aprobuję złożonej przez pani męża obietnicy, ale jeżeli ma ona zapobiec popełnieniu morderstwa z zimną krwią, to jestem zmuszony prosić, by ją pani przyjęła. Moje dziecko, wystawia pani na niebezpieczeństwo nie tylko życie męża i własne, ale również swą duszę nieśmiertelną. Proszę mi oddać ten pistolet, lady Deverell!

Leksi patrzyła na nich wszystkich ogromnymi, pełnymi bólu oczami.

- Nie wiem, co robić - wyznała. - Nie chcę nikogo zabijać. Nigdy nie sadziłam, że będę musiała... Nigdy tego nie pragnęłam... Ale kiedy się dowiedziałam, jak mnie okłamał... co zrobił... Myślałam tylko o tym, że muszę pomścić rodzinę... - Spojrzała rozpaczliwie na Richarda. - Przysięgasz? Wobec wszystkich tu obecnych? Na swój honor?

- Przysięgam na swój honor.

- W takim razie przyjmuję. - Opuściła pistolet i położyła go na stoliku. Towarzyszyło temu westchnienie ulgi wszystkich obecnych. Kiedy kanonik Harmond wziął broń, Leksi wyrwało się westchnienie. Rude włosy wyglądały jak płomienie na tle jej białej jak suknia ślubna twarzy. Podniosła ręce do gardła i zachwiała się. Richard podtrzymał mdlejącą żonę.

Przez chwilę wszyscy stali jak sparaliżowani. Pierwsza otrząsnęła się ciotka Honoria.

- I co teraz zrobisz, Richardzie? - zapytała. - Co, na litość boską, zamierzasz zrobić z tą dziewczyną? Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powinieneś czym prędzej zamknąć ją w zakładzie dla obłąkanych. Musisz odesłać ją do Rawdon.

Richard, trzymając w ramionach nieprzytomną Leksi, spojrział na ciotkę i uniośł brwi.

- Jak w ogóle mogło ci to przyjść do głowy, ciociu Honorio? Moja żona pojedzie ze mną do Channings, naturalnie. Rawdon, byłby pan tak dobry i poszukał mojego stangreta? Chcę, żeby powóz natychmiast podjechał pod boczne wejście. Lady Deverell źle się poczuła. - Powiódł wzrokiem po zgromadzonych w pokoju. - To wszystko, czego ludzie powinni się dowiedzieć. Wpatrywał się w nich, dopóki nie potwierdzili.

Rozdział drugi

Leksi otworzyła oczy i powoli poruszyła głową. Leżała w łóżku, w ogromnym, luksusowo umeblowanym pokoju o dwóch oknach. Na stoliku stała bateria flakonów i proszków oraz karafka z wodą i szklanka. A obok nich wazon z różami. Pomędzy oknami, na ślicznej komódce, umieszczono misę pełną jesiennych kwiatów i liści. Lady Honoria podeszła do łóżka.

- Wreszcie się obudziłaś!

- Gdzie ja jestem? - Głos Leksi był ledwie słyszalny.

- Napij się wody. - Lady Honoria przysunęła szklankę do ust Leksi. - Jesteś w Channings, oczywiście.

- W Channings? - Leksi zmarszczyła czoło. Nagle przypomniała sobie wszystko, odsunęła szklankę i próbowała usiąść. - To dom Richarda. Nie mogę tutaj mieszkać.

Lady Honoria popchnęła ją z powrotem na poduszki.

- W tym punkcie całkowicie się z tobą zgadzam - oświadczyła. - Niestety, Richard nalegał.

- Nie powinien mnie tu przywozić.

- Lekarz twierdzi, że potrzebujesz spokoju.

- Nie mogę... Od jak dawna tu jestem?

- Prawie dwa dni. Richard przywiózł cię tutaj zaraz po ślubie. Zemdląłeś w zakrystii po tej dziwacznej scenie i od tego czasu byłaś nieprzytomna. Doktor Loudon przyjeżdżał wielokrotnie. Leksi znów się rozejrzała.

- Czyj to pokój?

- Twój.

- Mój?!

- Tylko sobie nie myśl, że dzielisz go z moim bratankiem - powiedziała cierpko ciotka Honoria. - Jeszcze nie zwariował do reszty. Jego pokój znajduje się w drugim końcu domu.

Leksi przymknęła oczy. Pamiętała jak przez mgłę głos Richarda, błagającego, by zechciała z nim porozmawiać, i własną gorącą odmowę, zanim ponownie zapadła w sen... Otworzyła oczy i spojrzała na lady Honorię. Starsza pani siedziała na krześle przystawionym do łóżka, ale jej mina nie była zbyt zachęcająca.

- Przypuszczam, że znieawidziła mnie pani - szepnęła.

- Nie określiłabym tego aż tak dramatycznie. Bez wątpienia byłaś wówczas niepoczytalna. Nie mogę ci tylko darować strachu, jakiego nam wszystkim napędziłaś. Richard jest bardzo bliski mojemu sercu.

Leksi milczała przez chwilę.

- Od dawna to planowałam, ale kiedy przyszło co do czego. .. Dlaczego nie byłam w stanie?

Lady Honoria wstała.

- Natychmiast skończ z tymi nonsensami! To oczywiste, że nie mogłaś zastrzelić Richarda. Jeśli nie przestaniesz wygadywać takich rzeczy, to przyślę Murdie, żeby przy tobie siedziała. Nie zamierzam słuchać takich bredni.

- Nie! Proszę nie odchodzić! - Leksi kurczowo uczepliła się ręki ciotki Honorii. - Muszę wiedzieć. Czy on...? Czy jesteśmy małżeństwem?

- Z całą pewnością jesteście małżeństwem. Choć nikt by się nie dziwił, gdyby Richard cię odesłał. Moim zdaniem groźba żony, że zabije męża, stanowi wystarczający powód do rozwodu. Nawet nie winiłabym Richarda, gdyby cię zamknął w zakładzie dla obłąkanych. - Lady Honoria uwolniła rękę z uścisku Leksi. - Mnie niewątpliwie udało ci się ogłupić. Mogłabym przysiąc, że go kochałaś.

- Kochałam... O niczym tak nie marzyłam jak o małżeństwie z Richardem. Kochałam go tak bardzo...

- Znalazłaś piękny sposób, żeby to okazać! Skoro znienawidziłaś Richarda, to dlaczego go nie zostawiłaś? Nie ma w tym kraju kobiety, która nie uczepliaby się kurczowo najmniejszej choćby szansy zostania żoną Richarda. Dlaczego, do diabła, musiał wziąć akurat ciebie?

- Sama nie wiem, dlaczego Richard pragnął się ze mną ożenić. Ja już w ogóle nic nie wiem.

- Powiem ci, co ja o tym sędzę - oznajmiła lady Honoria, nieporuszona widocznym cierpieniem Leksi. - Zresztą wskazuje na to również jego obecne zachowanie. Po prostu było mu cię żal, ot co! Dla ciebie postawił nawet Rawdon na nogi, a śmiem twierdzić, że kosztowało go to niezły grosz. - Zignorowała okrzyk protestu Leksi i ciągnęła: - A co ty mu dałaś w zamian? Groźby, że go zastrzelisz! Nie wiem, co za lichy cię podkusiło, Leksi Rawdon, ale zapewne jesteś usatysfakcjonowana. Owszem, nie zdołałaś zastrzelić Richarda, ale udało ci się zniszczyć mu życie... - Na chwilę zamilkła, ale zaraz podjęła: - Pomyśleć tylko, że zaledwie dwa dni temu uczestniczyliśmy w ślubie, pełni radości, że szczęśliwie powrócił z wojny, że wreszcie osiadzie z żoną w Channings...

- Zrobiła niecierpliwy ruch ręką. - Richard prosił, żebym była dla ciebie miła, ale ja, w przeciwieństwie do niego, nie jestem święta. Nie mogę tu dłużej zostać, bo powiem więcej, niż powinienam...

- Przykro mi, że tak panią rozgniewałam, ale nie prosiłam Richarda o litość. Szkoda, że nie okazał jej mojemu ojcu.

- Jak mogłaś, Leksi? - Potrząsnęła głową i dodała: - To niemożliwe. Murdie będzie musiała przy tobie posiedzieć. Ja nie jestem w stanie.

Lady Honoria wyszła, zatrzaszkując za sobą drzwi. Leksi zamknęła oczy. Panika i poczucie straty, jakie ogarnęły ją, gdy cały jej świat legł w gruzach, wróciły teraz z pełną mocą. Dlaczego Richard poprosił ją o rękę? Wtedy sądziła, że darzy ją równie głęboką miłością jak ona jego... Przypominała sobie wszystko z bolesną jasnością. Jakaż była głupia! Kiedy Richard wszedł do biblioteki w Rawdon, stała przy biurku, tam, gdzie poprzedniego dnia znalazła ojca, leżącego bezwładnie na stercie dokumentów. Papiery nadal zaścielały blat. Próbowwała je zebrać i porządniej ułożyć, choć oczy miała pełne łez.

- Moje biedactwo! Nie powinnaś być tu sama.

Leksi odwróciła się na dźwięk głosu Richarda, a on objął ją i przytulił. Poprzedniego dnia cały czas miała świadomość jego obecności. Wszystkim się zajął. Dopilnował także, żeby nią się zaopiekowano, ale nie mieli okazji porozmawiać.

Trzymał ją teraz w objęciach, póki się nie uspokoiła, a potem podprowadził do kominka.

- Przemarzałaś. Kiedy ostatnio miałaś coś w ustach?

- Nie wiem. Jakie to ma znaczenie?

- Zaraz każę ci coś przynieść.

Richard poczekał, aż trochę zjadła i wypila odrobinę wina.

- Lepiej się czujesz? - zapytał. Kiwnęła głową, a wtedy on uśmiechnął się w ten ciepły, serdeczny sposób, zarezerwowany wyłącznie dla niej. Jak zwykle ten uśmiech-zdziałał cuda i na moment zapomniła o rozpaczach po stracie ojca. Wziął jej dłonie w swoje. - Co robiłaś, kiedy wszedłem? -zapytał.

- Próbowалаłam... próbowałam uporządkować dokumenty.

- To niemądre - stwierdził. - Lepiej zlecić to prawnikom. Powinnaś teraz odpocząć.

- Nie mogę! - zawołała. - Jeżeli ja czegoś z nimi nie zrobię, Mark uzna to za swój obowiązek. Był tu dziś rano, kiedy weszłam. Nie mam do niego pretensji, przecież on to wszystko dziedziczy. Nadal jednak wydaje mi się obcy.

- A czy pozwoliłabyś, żebym ja to zrobił za ciebie?

- Tak. Byłeś bliski tacie jak nikt inny. Zrobiłeś już dla nas bardzo dużo. Ale nic nie daje mi prawa dysponowania twoim czasem. I w jaki sposób mogłabym wytłumaczyć to Markowi?

- Bardzo łatwo - odparł. - Masz prawo dysponować moim czasem i wszystkim, co do mnie należy.

Leksi spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, niepewna, co ma na myśli.

- Zawsze pragnąłem cię poślubić, twój ojciec doskonale o tym wiedział - wyjaśnił Richard. - Chciałbym, żebyśmy się pobrali tak szybko, jak to tylko możliwe. Wyjdiesz za mnie? Zaufasz mi?

Leksi nie wahała się ani przez chwilę.

- Och, Richardzie! Oczywiście, że tak! Przecież wiesz. Wyjdę za ciebie, kiedy tylko zechcesz. Czy nie powinniśmy jednak trochę poczekać? Śmierć taty...

- Twój ojciec chciałby, żebyś była bezpieczna. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, już od dawna byłabyś moją żoną, oboje o tym wiemy. Potrzebujesz kogoś, kto by się o ciebie zatroszczył, kto zadbałby o twoje szczęście. Możemy pobrać się za kilka tygodni, jeśli tylko wyrazisz zgodę. Oczywiście ślub będzie bardzo skromny. Masz coś przeciwko temu?

- Przeciwko temu? Nie.

- Powiedz, że się zgadzasz. Przysięgam, że nie będziesz tego żałować.

- Jak mogłabym żałować, że zostanę twoją żoną? Pragnęłam tego przez całe życie.

Kiedy Richard wyszedł, zabierając z sobą dokumenty jej ojca, była szczęśliwa pomimo świeżej żałoby. Richard wreszcie się jej oświadczył. Kochał ją tak jak ona jego...

Leksi poruszyła się niespokojnie w pościeli. Ależ była naiwna! Richard ożenił się z nią z litości, jak podejrzewała ciotka Honoria, albo z poczucia winy, żeby uciszyć wyrzuty sumienia. Jedno nie ulegało wątpliwości. Nie mógł jej kochać. Jakie to ma znaczenie? Żyła jak w sennym koszmarze, była żoną obcego człowieka. Richard, którego znała i kochała, już nie istniał... Zamknęła oczy i uciekła od trudnej do zniesienia rzeczywistości w przeszłość, w świat, w którym znała dawnego Richarda, tego, który tak wiele dla niej znaczył.

Richard Deverell poznał Johnny'ego Rawdona jeszcze przed przyjściem na świat Aleksandry i pomimo ogromnych różnic charakterów - Johnny był zdecydowanym ekstrawertykiem, a Richard człowiekiem zamkniętym w sobie - zostali przyjaciółmi. Najwcześniejsze wspomnienia Leksi były mocno związane z dwoma chłopcami, którzy łapali kijanki albo łowili ryby w jeziorze Rawdon. Pamiętała własne krzyki: „Zaczekajcie na mnie! Czekać na mnie!”. Brodziła w strumieniach i spadała z drzew, grzęzła po kolana w błocie i potykała się na kamieniach, ale skarżyła się tylko wyjątkowo, kiedy próbowali wypuścić się gdzieś bez niej.

W miarę upływu lat chłopcy przyzwyczaili się, że jej rudawa czupryna pojawiała się wszędzie tam, gdzie oni byli, i stopniowo zaczęli uważać za swój obowiązek chronienie dziewczynki przed poważniejszymi obrażeniami. Odpłacała im lojalnością i oddaniem. Trójka dzieci była właściwie nierozłączna, kiedy tylko udało im się uwolnić spod opieki nauczycieli i guwernantek. Razem jeździli konno, wspinali się na drzewa, bili się i zaśmiewali, spędzając długie dni nad jeziorem albo w lasach okalających Rawdon.

W dzieciństwie wszystko wydawało się proste. Leksi wierzyła, że ta idylla będzie trwała wiecznie. Ale, oczywiście, tak być nie mogło. Zasadnicza zmiana nastąpiła podczas sezonu 1810 roku, który Richard i Johnny spędzili w Londynie. Kiedy wrócili na lato do Somerset, byli już

zawadiackimi młodymi kawalerami, którzy nie mieli głowy do dawnych zabaw. Nie mieli też czasu dla małej Leksi. Sześć lat różnicy stanowiło przepaść nie do przebycia. Dziewczynka mogła tylko z daleka obserwować, jak Richard i Johnny flirtowali z młodymi damami z sąsiedztwa, zabierali je na konne przejażdżki albo wyprawy łodzią po jeziorze, towarzyszyli im na licznych piknikach i potańcówkach organizowanych przez pełne nadziei matki panienek Porzucona i osamotniona Leksi uważała przez pewien czas, że jej świat się skończył.

Wkrótce nauczyła się czerpać złośliwą satysfakcję z obserwowania okolicznych dam, usiłujących złowić dwóch najbardziej obiecujących młodych ludzi w okolicy. Johnny śmiał się i szydził, żadnej nie traktował poważnie. Richard, choć był uprzejmy, z jedną tańczył, innej pozwalał się bawić, a trzeciej uważnie słuchał, pozostawał chłodny i zrównoważony jak zawsze. Podpatrująca ich Leksi zaczęła, o dziwo, innym wzrokiem spoglądać na towarzysza dzieciństwa. Stopniowo, tak jak inne dziewczyny, uległa fascynacji nieco wyniosłym stylem bycia, jaki przyjmował w towarzystwie, wdziękiem i zręcznością Richarda, siłą i pewnością jego ruchów. Jej uczucia w stosunku do Richarda uległy zmianie, z dawnych czasów pozostała jedynie zaborczość. Leksi z zaskoczeniem odkryła, że niezależnie od tego, kim dla niej był - chłopcem czy mężczyzną, przyjacielem czy pożądaną partią - czuła, że Richard Deverell należy tylko do niej. Tak bardzo była o tym przekonana, że pewnego sierpniowego dnia nawet mu o tym powiedziała.

Leksi i Richard przywiązali konie do płotu i zeszli nad rzekę, żeby obserwować żyjące na brzegu wydry. Przez chwilę wszystko było jak dawniej, razem śmiali się z błazeństw młodej wydry i rozmawiali o wszystkim, co im tylko wpadło do głowy.

- Czy wróciłeś już do domu na dobre, Richardzie? - zapytała Leksi.

- Nie jestem pewien. Może zaciągnę się na pewien czas do wojska.

- Do wojska!

- To znakomity sposób, żeby poznać świat i przeżyć niezwykle przygody, szczególnie w Hiszpanii. Johnny też o tym wspomina.

- Johnny? Tata nigdy się na to nie zgodzi. Jest nam potrzebny w domu. Ty też, Richardzie.

- Daj spokój, Aleksandro! Doskonale wiesz, że ojciec nie przepada za moim towarzystwem, a Channings jest doskonale prowadzone i nie wymaga mojej obecności. Nie, nie sądzę, by komukolwiek mnie brakowało. - W głosie Richarda zabrzmiał cień goryczy.

- Nam będzie cię brakowało, Richardzie...

- Wyjeżdżam najwyżej na dwa, trzy lata, nie zamierzam obrać kariery wojskowej na stałe.

Natomiast Johnny zdaje się poważnie o tym myśleć. Sądzę, że wyjedzie niezależnie od tego, jak ustosunkuje się do tego pomysłu wasz ojciec.

- Cóż, jeśli Johnny jest zdecydowany, tata się podda. Johnny w końcu zawsze stawia na swoim. -

Leksi milczała przez chwilę, zastanawiając się, jakie będą tego skutki dla taty i dla niej samej.

Potem rzuciła z gniewem: - Mój brat robi wszystko, co mu tylko strzeli do głowy, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

- A ty nie? - zapytał Richard z tak komiczną miną, że musiała wybuchnąć śmiechem.

- Wiem, wiem. Rawdonowie działają pod wpływem impulsu, bez zastanowienia. Johnny jest o wiele gorszy ode mnie, musisz przyznać. Pewnie nieraz wyciągałeś go z tarapatów, kiedy byliście w Londynie. - Leksi zamilkła, a kiedy znowu się odezwała, w jej głosie pojawiła się niespodziewanie gorycz. - Wszyscy wychodzimy ze skóry, żeby zadowolić Johnny'ego, ale on o

to nie dba. Beztrosko robi swoje, nie zastanawiając się nad nieszczęściem, jakie za sobą zostawia.

- Mówisz tak, jakbyś nie lubiła swojego brata.

- W tej chwili naprawdę go nie lubię. - Leksi popatrzyła na Richarda i zobaczyła, że zmarszczył czoło. - Nie masz się o co martwić. Mogę w tym momencie za nim nie przepadać, ale zawsze będę go kochać pomimo wszystkich jego wad.

- A może właśnie dla tych wad, bo bez nich nie byłby sobą, prawda? - Richard się uśmiechnął. Ten uśmiech sprawił, że nagle Leksi poczuła się absurdalnie szczęśliwa. Richard nie uśmiechał się do nikogo w ten specjalny, lekko kpiący, a zarazem czuły sposób. Kiedy odwrócił się, żeby pomóc jej przejść, wiedziona nagłym impulsem stanęła na stopniu, oparła ręce na jego ramionach i spojrzała na niego z uśmiechem.

- A za jakie wady mnie kochasz? - zapytała, pochylając głowę na bok, z oczyma rozjaśnionymi radością. Gęste, rudawe włosy opadły jej na ramię, muskając niemal jego twarz.

Richard, który objął Leksi w talii, żeby zsadzić ją po drugiej stronie, nagle znieruchomiał. Oczy mu pociemniały, a uśmiech zniknął z twarzy. Utkwił spojrzenie w ustach Leksi, a jej zabrakło tchu.

- Richardzie? - zapytała niepewnie.

I nagle wszystko minęło. Mruknął coś pod nosem, opuścił ręce i potrząsnął głową. Po chwili odpowiedział spokojnie:

- Nie potrafię powiedzieć. Masz przecież tyle wad. Reakcja Richarda rozczarowała Leksi, poczuła gwałtowną potrzebę naruszenia jego opanowania.

- Wiesz, przez moment wydawało mi się, że chcesz mnie pocałować - rzuciła. - Chciałeś?

- Oczywiście, że nie - odparł z lekka zagniewany. - Co za pomysł! Jesteś jeszcze dzieckiem, Aleksandro.

- Mam prawie szesnaście lat - oświadczyła urażona. - Nie tak znowu dużo mniej niż ty. Dawniej zdawałeś się nie zauważać tej różnicy.

- To było co innego. Wtedy wszyscy byliśmy dziećmi.

- A... dlaczego nie chciałeś mnie pocałować? Brakuje mi urody?

- Brakuje ci lat, Aleksandro. Gdybyś nie była dzieckiem, nie zadawałabyś takich pytań. Nikomu!

- Kogo innego bym nie zapytała. Zresztą nie chciałabym, żeby kto inny mnie pocałował, Richardzie. Tylko ty.

Patrzył na nią z rozdrażnieniem, jakby nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Po chwili rzekł gwałtownie:

- Pewnie sądzisz, że to mi pochlebia. Tak nie jest. Jeśli nie chcesz, żebym cię zostawił tu samą, to skończmy wreszcie tę idiotyczną rozmowę!

Leksi kiwnęła głową na znak zgody, bo wyraźnie gotów był zrealizować groźbę.

- Doskonale - powiedziała i rzuciła mu kolejne figlarne spojrzenie. - I tak jestem pewna, że chciałeś mnie pocałować. Chyba po prostu muszę poczekać, aż będę starsza.

- Prawdopodobnie wtedy nie będziesz chciała, żebym cię pocałował - zauważył Richard.

- Na pewno będę chciała - odparła z pełnym przekonaniem. - I, co więcej, ty także nadal będziesz chciał mnie pocałować. Jesteś mój, Richardzie Deverellu! Należymy do siebie.

Przez resztę wakacji Richard był bardzo przyjacielski, ale dbał, żeby ani spojrzeniem, ani gestem nie okazać, że Leksi jest dla niego kimś więcej niż tylko siostrą najlepszego przyjaciela. Leksi nie spała po nocach, zastanawiając się, jak smakowałby pocałunek, którego jej odmówił. Snuła marzenia o przyszłości; nadal żywiła niezachwianą pewnością, że Richard należy tylko do niej. Jednak odebrała go jej potężna rywalka. Na jesieni obaj z Johnnym ożenili się, wstępując do armii.

Nic nie mogło ich powstrzymać, a już na pewno nie protesty Leksi. Nie odniosły skutku usilne starania sir Jeremy'ego Rawdona. Johnny pozostał nieugięty. To miała być wielka przygoda, wspaniała zabawa.

- Czy nie widzisz, że papa jest nieszczęśliwy? - spytała pewnego dnia Leksi. - Oboje jesteśmy nieszczęśliwi. Dlaczego nam to robisz?

- Bo chcę! Dwa czy trzy lata w porządnym regimencie to będzie rewelacyjna zabawa. Nie jestem jeszcze gotów do tego, żeby na stałe osiąść w majątku. Poza tym Richard jedzie, a jego rodzina nie robi wielkiego zamieszania.

- Doskonale wiesz dlaczego. Lord Deverell w najmniejszym stopniu nie interesował się synem. Nasz ojciec kocha cię, Johnny. Jesteś jego jedynym synem.

- Przestań już! Nie mam pojęcia, czemu papa tak się zamartwia. Za parę lat wrócę i przyjmę na siebie te przekłete obowiązki, które chcecie oboje założyć mi na szyję jak jarzmo. Nie rób takiej zrozpaczonej miny, Leksi. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

W końcu sir Jeremy niechętnie ustąpił i wiosną 1811 roku porucznicy Richard Deverell i Johnny Rawdon rozpoczęli służbę pod komendą Wellingtona w Hiszpanii. Wrócili do Anglii dopiero w maju 1814 roku, kiedy Napoleon został ostatecznie pokonany i osadzony na Elbie.

Może Leksi była rzeczywiście tak dziecinna, jak sądził Richard, ponieważ nie miała najmniejszych wątpliwości, że i on, i Johnny bezpiecznie wrócą do domu. Chociaż bardzo za nimi tęskniła, nie przeszkadzało jej to spędzać czasu w interesujący sposób. Zdobywała umiejętności niezbędne córce majątnego właściciela ziemskiego - gustownego ubierania się, pełnego gracji poruszania się w tańcu, śpiewu, grania i rysunku. Zamierzała olśnić Richarda i powalić go na kolana zmianami, jakie w niej zaszły.

Wreszcie, kilka miesięcy przed ich planowanym powrotem, lady Wroxford, jej matka chrzestna, przypomniała sobie poniewczasie obietnicę daną lady Rawdon, że Leksi zostanie wprowadzona na londyńskie salony w czasie sezonu. Dzięki temu Leksi spędziła pierwszą połowę roku w domu lady Wroxford przy Curzon Street i została zaprezentowana towarzystwu. Ku zaskoczeniu wszystkich, nie wyłączając jej samej, odniosła sukces. Zdołała pozyskać życzliwość bardzo krytycznie nastawionej londyńskiej socjety i wkrótce gdziekolwiek szła, towarzyszył jej krąg zalotników.

Matka chrzestna nie ograniczyła się do wypełnienia obietnicy, zrobiła więcej. Była bogatą kobietą o wyrafinowanym guście, z przyjemnością więc zapoznawała protegowaną z tajemnicami wyszukanej garderoby, aby piękny, elegancki strój uwydatniał i podkreślał koloryt, którym dziewczynę obdarzyła natura. „Oryginalna” było najczęściej używanym określeniem w odniesieniu do Leksi Rawdon. Nauczyła się panować nad swą impulsywną naturą, dawny niedbały sposób chodzenia ustąpił miejsca dystygowanemu krokowi światowej damy, zachowała jednak naturalny wdzięk ruchów i wrodzoną pogodę ducha. Leksi nie była pięknnością, ale olśniewające włosy i błyszczące niebieskie oczy o odcieniu lawendy sprawiały, że nie sposób było jej nie zauważyć. A jeśli do tego dodać jej otwartość i bezpośredniość, inteligencję i dobry humor, to nietrudno zrozumieć, dlaczego zawsze otaczał ją wianuszek wielbicieli. Dodatkowym magnesem był powszechnie znany fakt, że Rawdonowie z Rawdon Hall należeli do starych, majątnych rodów. Wkrótce nazwisko Aleksandry Rawdon znalazło się na liście najbardziej poszukiwanych debiutantek.

Leksi, choć niezmiennie uroczą i uprzejmą, okazywała wyjątkową obojętność na zachwyty i podziw, co zresztą świat uznał za intrygujące. Ten świat nie pojmował - bo jak mógłby to pojąć? - że rzucający się w oczy brak zainteresowania panny Rawdon odniesionym przez nią sukcesem był szczery. Czarująca, szlachetnie urodzona, bogata i nieszukająca w ostentacyjny sposób męża

Leksi została wkrótce okrzyknięta nietypową, a tym samym szczególnie pożądaną debiutantką. Zanim sezon dobiegł końca, otrzymała wiele zaszczytnych propozycji małżeństwa. Wszystkie odrzuciła. Lady Wroxford robiła jej wymówki, że jest nazbyt wybredna. Leksi cierpliwie wysłuchiwała pretensji, ale niczego nie tłumaczyła. Czy mogła wyznać prawdę dobrej matce chrzestnej? Że czeka, aż ukochany wróci do Londynu? Że tylko ten jeden jedyny zostanie przyjęty?

Wreszcie Johnny i Richard przyjechali z Hiszpanii opaleni na brąz, przystojni, już nie chłopcy, lecz mężczyźni dojrzały dzięki doświadczeniom wyniesionym z pól bitewnych i świadomości własnej siły. Przez krótkich kilka miesięcy przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Snucie tych szczęśliwych wspomnień przerwał nagle odgłos otwieranych drzwi. Ktoś wszedł do pokoju. Przypuszczalnie Murdie, pokojówka lady Honorii, przyszła zająć miejsce swej pani.

- Aleksandro?

To nie Murdie. To Richard! Nikt inny nie zwracał się do niej w taki sposób. Zresztą rozpoznałaby ten głos wszędzie - głęboki, spokojny, czasem łagodny. Nie uniosła powiek, ale i tak czuła na sobie jego spojrzenie. Serce waliło jej jak młotem, ale leżała bez ruchu, udając pogrążoną w głębokim śnie.

- Otwórz oczy, Aleksandro. Musimy porozmawiać. Dlaczego ten głos nadal ją czarował? Pokusa, by go posłuchać, wydała się Leksi nieodparta, ale przecież nie mogła, nie miała prawa się poddać. Dlaczego on nie odejdzie?!

- Czy ciotka znowu zrobiła ci przykrość? To stara kobieta, Aleksandro. Nie rozumie... - Urwał i dodał: - Zresztą ja również nie rozumiem. Rozmowa powinna poprawić ci samopoczucie. Prędzej czy później będziemy musieli poskładać w całość nasze roztrzaskane na kawałki życie. Richard czekał. Aleksandra nie spała. Wiedział o tym. Choć coraz bardziej pragnął z nią porozmawiać, nie chciał jej do niczego zmuszać, póki nie będzie gotowa. Wydarzenia ostatnich kilku miesięcy doprowadziły ją na skraj załamania. Spojrzał na swoją żonę. Leżała z mocno zaciśniętymi powiekami, a fioletowe cienie pod oczami i zapadnięte, blade policzki wskazywały, że rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku i ukojenia.

Może dobrze byłoby powrócić do szczęśliwszych czasów. .. Usiadł przy łóżku i przypomniał sobie, jak wyglądała Leksi, gdy w maju 1814 roku wkroczyli z Johnnym do londyńskiej sali balowej. Niedbale ubrany dzieciak, którego zostawił w Somerset, przeistoczył się w olśniewającą dziewczynę, w pełni świadomą swej urody. Zwrócił się do nieruchomej postaci na łóżku.

-Aleksandro... pamiętasz, jak tańczyłaś ze mną w Londynie? Wróciliśmy właśnie z Johnnym z Paryża po latach spędzonych na półwyspie. Napoleon został zesłany na Elbę i cały Londyn świętował. Wszyscy zachwycali się wyjątkowo udanym sezonem. Do Londynu zjechało mnóstwo gości - koronowane głowy, dyplomaci, posłowie, turyści. Było ich znacznie więcej niż powracających z wojny żołnierzy. Tylko my dwaj z Johnnym byliśmy na tym balu w mundurach i czuliśmy się trochę przytłoczeni przewagą cywilów.

Urwał, ale Aleksandra żadnym gestem nie dała poznać, że słucha.

- Pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyłem cię na balu w Northumberland House. Dopiero co przyjechaliśmy z Johnnym do Londynu i poszliśmy tam, żeby się z tobą zobaczyć.

Richard zamilkł. Dostrzegł Aleksandrę, jak tylko weszli na salę balową, Johnny'emu zajęło to parę chwil dłużej. Stał jak wryty na widok siostry.

- Tam jest! - zawołał ze zdumieniem. - Spójrz! Dev, ona wygląda oszałamiająco. Do głowy by mi nie przyszło, że tak się zmieni. Przyjrzyj jej się, jeśli tylko zdołasz. Jest otoczona wielbicielami tak, że szpilki nie da się wcisnąć.

Richard doskonale pamiętał własne uczucia, gdy dojrzał w drugim końcu sali roześmianą dziewczynę. Wysoka i pełna wdzięku, z włosami zwiniętymi w lśniący kok na czubku głowy, robiła wrażenie niezwykle pewnej siebie.

- Chodźmy, zanim Leksi nas zauważy i rzuci się pędem, żeby nas powitać - powiedział Johnny. - Na pewno będzie podekscytowana, a na sali balowej takie zachowanie nie przystoi.

- Aleksandra już wie, że tu jesteśmy. Zauważyła nas w chwili, gdy stanęliśmy w progu albo zaraz potem.

-Co?

- Twoja siostra dorosła. Nie rzuci się pędem, żeby nas powitać. Poczekaj, aż my podejdziemy do niej.

- Do licha! W takim razie chodźmy.

Teraz, przeszło rok później, Richard siedział przy łóżku Aleksandry pełen żalu po tym fatalnym wydarzeniu w kościele. Gdyby jego ojciec był rozsądniejszym człowiekiem... Mógł wtedy od razu poprosić Aleksandrę o rękę, a wówczas sprawy przybrałyby inny obrót. Niecierpliwie potrząsnął głową i wstał. „Gdyby”, „jeśli”, „może” - po co to wszystko? Nie można cofnąć czasu. Na razie Aleksandra odmawia nawet przyjęcia do wiadomości jego obecności w pokoju. Chwilowo musi zrezygnować. Jutro zamieni kilka słów z doktorem Loudonem i zorientuje się, co powinien zrobić.

- No dobrze - powiedział. - Widzę, że nie dojrzałaś jeszcze do rozmowy ze mną. Nie zamierzam zbyt długo czekać, Aleksandro. Zawarliśmy umowę, ty i ja, i dopilnuję, żebyś wypełniła swoją część.

Podszedł do drzwi.

- Możesz już wejść, Murdie. Lady Deverell nadal śpi. -Służąca weszła do sypialni, a Richard cicho zamknął za sobą drzwi.

Rozdział trzeci

Leksi usłyszała szelest spódnicy i poczuła, że pokojówka lady Honorii delikatnie wygładza prześcieradła. Była bezpieczna.

Nie otwierając oczu, rozkoszowała się obrazami z przeszłości ożywionymi słowami Richarda. Pamiętała dwóch mężczyzn wkraczających do sali balowej Northumberland House. Wzbudzili powszechne zainteresowanie nawet w towarzystwie, któremu spowszednieli oficerowie w mundurach. Wyższy z mężczyzn, o ciemnych włosach i szarych, chłodnych oczach, zdawał się być całkowicie obojętny na spojrzenia zaintrygowanych pań. Drugi, z czupryną ciemnorudych włosów i roześmianymi niebieskimi oczyma, wesoło odwzajemniał zalotne uśmiechy. Richard i Johnny. Wyglądali tak schludnie w swych mundurach, że nikt by się nie domyślił, iż przyjechali do Londynu dopiero tego popołudnia...

Doskonale zdawała sobie sprawę z obecności dwóch mężczyzn, którzy rozglądali się za nią po sali, ale włożyła wiele wysiłku w udawanie, że ich nie dostrzega. Nie była już impulsywną dziewczynką, włóczącą się za dwoma chłopakami i naprzykrzającą się, by zabrali ją z sobą. Sporo się nauczyła w ciągu ostatnich dwóch lat i nadszedł czas, żeby wykorzystać zdobytą wiedzę w praktyce. Kiedy Johnny i Richard znaleźli się przy niej, zawołała, udając zdumienie: - To wy! - Przywołała na usta niezbyt wylewny uśmiech. - Dlaczego nie zawiadomiliście, że jesteście w Londynie? Cudownie znów was zobaczyć, obaj wyglądacie znakomicie. - Zwróciła

się do matki chrzestnej. - Lady Wroxford, Johnny'ego już pani oczywiście zna, a to jego przyjaciel, Richard Deverell. Lady Wroxford jest moją matką chrzestną, Richardzie. Nie byli chłopcami, lecz młodymi mężczyznami, roztaczającymi wokół siebie aurę autorytetu, nawet nieco apodyktycznymi. Leksi uświadomiła sobie, że przez ostatnie trzy lata walczyli pod dowództwem Wellingtona, stawiając czoło śmierci i chorobom, odnosząc zwycięstwa, ale ponosząc też klęski. A teraz, sądząc z tego, co mówili lady Wroxford, zamierzali zostawić to wszystko za sobą i nacieszyć się ostatnimi tygodniami wspaniałego w tym roku londyńskiego sezonu.

W następnych dniach i tygodniach Leksi przekonała się, że Johnny wewnętrznie zbytnio się nie zmienił. Nadal był jej ukochanym, wesołym, kochającym bratem, dobrym, kiedy mu to odpowiadało, ale dość samolubnym. Początkowo to Johnny towarzyszył jej podczas przyjęć, ale w miarę jak rozszerzało się grono jego znajomych, coraz mniej chętnie zapewniał siostrze eskortę. Prosił Richarda, by go zastąpił. Leksi nie chciała, by Richard zaczął uważać, że jest zastępcą jej brata. Pomoc nadeszła z całkiem nieoczekiwanej strony. Lady Wroxford również nie aprobowała takiego rozwiązania.

- Moja droga, z tego, co oboje z Johnnym mi opowiadaliście, wnioskuję, że pan Deverell uważany był przez was za członka rodziny, jednak ten przystojny, stanowiący bardzo pożądaną partię mężczyzna nie jest w żadnym stopniu z tobą spokrewniony. Jeśli nie chcesz prowokować niepotrzebnych plotek, nie powinnaś być widywana w jego towarzystwie tak często jak sugeruje to twój brat.

Kiedy przedstawiła tę opinię Johnny'emu, ryknął śmiechem.

- Proszę o wybaczenie, madame, ale to nonsens!

- Doprawdy? - zapytała lady Wroxford lodowatym tonem. - Wydaje mi się, że znam świat londyńskiej socjety lepiej niż ty. Dopóki twoja siostra pozostaje pod moją opieką, dopóty nie pozwolę jej skompromitować.

- Pani zdaniem ludzie mogliby uznać, że Dev powinien się z nią ożenić?

- Jestem pewna, że ani pan Deverell, ani twoja siostra nie uczynili nic, by sprowokować takie plotki, ale ostrożności nigdy za wiele.

Johnny zmarszczył czoło, lecz po chwili jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- To wcale nie najgorszy pomysł! - zawołał z entuzjazmem. - Nigdy na to nie wpadłem, ale Dev byłby znakomitą partią dla Leksi. Znają się od urodzenia i zawsze doskonale się zgadzali. Co ty na to, siostrzo? Chciałabyś wyjść za Deva? Myślę, że zgodziłby się, gdybym go o to poprosił. Nie sądzę, żeby miał kogoś innego na oku.

Leksi zawołała gwałtownie:

- Ani mi się waży! Nie narzekam na brak propozycji, nie muszę więc liczyć na twoją pomoc w znalezieniu męża, Johnny Rawdonie!

Johnny wzruszył ramionami, wyglądało na to, że dał sobie spokój z tym pomysłem, ale Leksi stała się ostrożniejsza w kontaktach z Richardem. Postanowiła, że musi przyjść do niej z własnej i nieprzymuszonej woli, kiedy zrozumie, że ją kocha, a nie ze względu na poczucie obowiązku czy przyrzeczenie dane staremu przyjacielowi.

Dlatego, choć często tańczyli z sobą na balach i rautach, w które obfitował ten wyjątkowo udany sezon, chociaż wybrała się z nim na konną przejażdżkę po parku, dbała o to, by odrzucać więcej jego zaproszeń, niż ich przyjmowała. Nie przychodziło jej to z łatwością. Z każdym dniem była w nim bardziej zakochana. Nawet na zatłoczonej sali balowej, wykonując skomplikowane figury taneczne na oczach całego świata, czuła łączącą ich tajemniczą więź, jakiej nigdy nie zaznała w towarzystwie innego mężczyzny. Richard cieszył się powszechnym szacunkiem jako dziedzic

starego, majątnego rodu, wyróżniający się żołnierz i człowiek honoru. Leksi знаła jego cechy, które ukrywał przed światem pod płaszczkiem wyniosłej uprzejmości - nieco cierpkie poczucie humoru, zdolność do współczucia i wrażliwość. Im bardziej go za to wszystko kochała, tym trudniej przychodziło jej ukrywanie uczuć.

Pewnego wieczoru Johnny zabrał ich wszystkich do Vauxhall Gardens. Lady Wroxford z zadowoleniem rozsiadła się w jednej z altan i pograżyła w ploteczkach z przyjaciółkami, nie miała więc nic przeciwko temu, by Richard zabrał Leksi na tańce. Nie przyłączyli się jednak do grona tancerzy, spacerowali w milczeniu po oświetlonych lampionami ścieżkach. Nagle Richard zatrzymał się i zapytał cicho:

- Czy zrobiłem coś złego, Aleksandro?

- Złego? Dziś wieczorem? Skądże!

- Nie dziś wieczorem. Ale - zawahał się - tak ogólnie.

- Dlaczego przyszło ci to do głowy?

- Wydajesz się odmieniona. Odniosłem wrażenie, że stałaś się... czujna. Nie byłaś taka, zanim zaciągnąłem się do armii.

- Oboje jesteśmy starsi, Richardzie.

- Ale chyba pozostaliśmy przyjaciółmi? Wiesz, w Hiszpanii, leżąc nocą po całym dniu ciężkich walk, patrzyłem w gwiazdy i wspominałem nasze dzieciństwo w Rawdon. Obrazy, które udawało mi się wtedy przywoływać, pozwalały mi zachować zdrowe zmysły pośród krwi i bitewnego zgiełku. Przypominałem sobie, jak wyglądałaś, jak brzmiał twój śmiech, jak marszczyłaś nos, jak niesforne włosy opadały ci na oczy... - Urwał.

To było tak kompletnie nie w stylu Richarda, że Leksi nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rzuciła więc pierwszą uwagę, jaka jej się nasunęła:

- Lady Wroxford uważa, że powinnam je obciąć.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie, a potem podjął ciszej: - Nie słuchaj jej Aleksandro. Właśnie dzięki włosom tak się wyróżniasz.

Dawna Leksi natychmiast zaczęłaby go wypytywać, w jaki sposób się wyróżnia i jakie to ma dla niego znaczenie. Obecnie, choć się zarumieniła i bardzo ucieszyła, odparła z uśmiechem:

- Nie musisz prawić mi komplementów. W Hiszpanii na pewno mnóstwo kruczowłosych seniorit marzyło o tym, by cię w pełni zadowolić. Nie uwierzę, że tak często myślałeś o pozostawionych w Anglii przyjaciółach, nawet tych rudowłosych.

- Nie zamierzałem ci schlebiać. Do licha, właśnie o tym przed chwilą mówiłem. Ten chłodny uśmiech i uszczypliwy komentarz miały mnie odepchnąć. Dlaczego traktujesz mnie z takim samym dystansem jak innych? Przecież nasza wieloletnia przyjaźń zasługuje na coś więcej, prawda?

- Nie jesteśmy w Somerset i nie jesteśmy już dziećmi. Możesz mnie w dalszym ciągu uważać za siostrzyczkę przyjaciela, ale świat londyńskiej socjety postrzega nas całkiem inaczej.

- Czy lady Wroxford rozmawiała o tym z tobą?

- Owszem, i nie powiedziała mi niczego, z czym bym się nie zgadzała. Nie chciałabym stać się obiektem plotek i domysłów.

- Plotek?

- Tak, Richardzie! Plotek! - zawołała Leksi, tracąc cierpliwość. - Może cię to zaskoczy, ale dla świata jestem młodą kobietą w wieku odpowiednim do małżeństwa, która, jeśli nie chce się dostać na ludzkie języki, nie powinna spędzać zbyt wiele czasu sam na sam z jednym z najbardziej pożądanym kawalerów w Londynie. A właśnie w tej chwili to robię. Ponieważ

zdecydowanie nie zamierzam dawać pożywki plotkom, chciałabym już wrócić do matki chrzestnej.

Próbowała odejść, ale Richard złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Potknęła się i oparła o niego. Otoczył ją w talii ramieniem, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Przeszył ją rozkoszny dreszcz, ale odezwała się zdecydowanym tonem:

- Czy to hiszpański sposób postępowania, Richardzie? Puść mnie!

- Jeszcze nie. To stary, angielski sposób postępowania, moja kochana. - Pochylił głowę i pocałował Leksi.

Od owego pamiętnego epizodu na przełazie sprzed czterech lat Leksi często zastanawiała się, jak smakowałby pocałunek Richarda. Nie była jednak przygotowana na to, co się stało.

- R... Richardzie? - Jej głos był cichy jak tchnienie. Roześmiał się i pocałował ją ponownie.

Trzymał ją tak mocno, jego ramiona oplatały ją tak ciasno, że wyczuła jego męskość, siłę jego pożądania i przez krótką chwilę, miotana nieznanymi dotychczas uczuciami odpowiedziała spontanicznie i gwałtownie. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła jego głowę, domagając się dalszych pieszczot...

Gdzieś w pobliżu rozległ się wybuch śmiechu, który brutalnie w jednej chwili sprowadził Leksi na ziemię. Przerażona i zawstydzona, wyrwała się z ramion Richarda i próbowała uciec, ale po dwóch krokach nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Stała odwrócona do niego plecami, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

-Aleksandro...

- Cicho bądź. Ani słowa.

- Muszę! Nie miałem prawa... - Urwał, a po chwili podjął: - To nie jest odpowiedni czas ani miejsce... - Zamilkł znowu i lekko się roześmiał. - Przynajmniej już wiesz, że przestałem cię uważać za dziecko - dodał.

Ani słowa o miłości, żadnego znaku, że równie mocno jak ona przeżył to, co między nimi zaszło. Pewnie był przyzwyczajony do takich schadzek

- Nie jestem już dzieckiem - powiedziała sztywno - i nie powinnam zachowywać się tak jak przed chwilą. Czy moglibyśmy już wrócić do mojej matki chrzestnej?

Richard przyjrzał się jej badawczo.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście - oświadczyła z nerwowym śmiechem. - Jestem trochę zawstydzona, ale bez szwanku.

- Przepraszam, Aleksandro. To się więcej nie powtórzy. Nie to chciała usłyszeć. Wezwała na pomoc dumę. Ukryła gorzkie rozczarowanie i odparła lekkim tonem:

- Nawet starzy przyjaciele dają się czasem ponieść, prawda, Richardzie? Może jednak ludzie z towarzystwa mają rację, zabraniając mi spędzać z tobą zbyt wiele czasu. A teraz odprowadź mnie do lady Wroxford, proszę.

Wrócili i przez resztę wieczoru Richard zachowywał się nienagannie, nie ignorował Leksi, ale nie okazywał jej również szczególnego zainteresowania. Nikt nie odgadłby, że niedawno zabrał ją na mgnienie oka do raję.

W następnych dniach Richard pozostawał daleki. Leksi była zmieszana i trochę zła. Czyżby sądził, że należała do kobiet, które pozwalają mężczyznom obejmować się i całować? Czy tak ją oceniał? Jedynym powodem jej skandalicznego zachowania była miłość do Richarda Deverella, nie ulegało jednak wątpliwości, że on nie mógł się tłumaczyć tymi samymi względami. Nie powiedział przecież, że ją kocha. Niezależnie od przyczyn, zachował się w sposób, o który nigdy przedtem by go nie podejrzewała. Czyżby lata służby wojskowej zrobiły z niego cynika?

Leksi głęboko ukryła zranioną dumę. Szukała pociechy w towarzystwie innych, mniej skomplikowanych adoratorów. W ostatnich tygodniach sezonu nie było w Londynie równie wesołej i beztroskiej debutantki jak panna Aleksandra Rawdon. Pewien młody mężczyzna odmówił przyjęcia do wiadomości, że Leksi nie zgodziła się zostać jego żoną. Stanowił znakomitą partię i był tak uparty, że w Londynie zaczęły się spekulacje, czy panna Rawdon wreszcie mu ulegnie. Zapewniła matkę chrzestną, że absolutnie nie może być o tym mowy, a wtedy lady Wroxford naprawdę się na nią rozgniewała.

- Pan Transden ma wszystko, czego młoda dama mogłaby wymagać, Leksi. Owszem, nie ma tytułu, ale pochodzi z bardzo dystyngowanej rodziny. Co więcej, jest względnie młody, zdrowy i niewyobrażalnie bogaty. I szczerze ci oddany! Czego jeszcze mogłabyś chcieć?

- Nie kocham go - odparła Leksi.

- Kochać? Phi! Nigdy nie przepadałam za hazardem, a małżeństwo z miłości to chyba największy hazard. Wychodzi się za mąż dla zapewnienia sobie przyszłości, dziewczyno. Potem możesz się zakochać, jeśli chcesz. Kiedy już dasz mężowi dziedzica albo lepiej dwóch. - Leksi zachowała milczenie. - Widzę, że równie dobrze mogłabym mówić do ściany. To przez tego „starego przyjaciela rodziny”, prawda? Zakochałaś się w Richardzie Deverellu.

- To aż tak widoczne?

- Absolutnie nie! Zachowywałaś się wobec niego z podziwu godną dyskrecją. - Przed oczami Leksi stanął nagle obraz jej samej w ramionach Richarda w Vauxhall i zarumieniała się. Jak mało wiedziała jej matka chrzestna. Lady Wroxford ciągnęła: - Nie mam pojęcia, jakie są jego uczucia do ciebie. I do wszystkich innych. To skryty człowiek. Czy ktokolwiek mógłby poznać z jego zachowania, że jego ojciec dogorywa?

- Lord Deverell zachorował? Jesteś pewna? - zapytała zdumiona Leksi. - Nic o tym nie słyszałam i jestem przekonana, że Johnny również.

- Dowiedziałam się od pani Shackleton, a ona usłyszała o tym od Honorii Standish, która jest z nim spokrewniona. To przedziwna sytuacja. Podobno lord Deverell nie życzy sobie nikogo widzieć, nawet własnego syna. Co z niego za ojciec?

- Nigdy nie byli ze sobą uczuciowo związani. Lord Deverell z uporem ignorował istnienie własnego syna. Właśnie dlatego Richard tak bardzo wrósł w moją... w naszą rodzinę.

- Rozumiem. To by tłumaczyło także rezerwę pana Deverella.

Leksi poczuła się zraniona milczeniem Richarda. Niejednokrotnie zostawali z sobą sam na sam, miał więc okazję powiedzieć jej o chorobie ojca, gdyby tylko zechciał.

Następnego dnia wpadł jednak, żeby pożegnać się z lady Wroxford i jej chrzestną córką. Lord Deverell posłał wreszcie po niego i Richard musiał pilnie opuścić Londyn. Należało przypuszczać, że nie wróci przez zakończeniem sezonu. Lady Wroxford wyraziła ubolewanie i życzyła mu bezpiecznej podróży. Rzuciła krótkie spojrzenie na Leksi.

- Moja chrześniaczka będzie pewnie chciała przekazać za pańskim pośrednictwem jakieś wiadomości do Somerset - powiedziała z uśmiechem. - Wybacz mi pan, że zostawię was teraz samych. Do widzenia, panie Deverell.

Po jej wyjściu zapadła cisza. Leksi przerwała ją w dawnym, impulsywnym stylu:

- Czy Johnny wiedział o chorobie twojego ojca, Richardzie? A może przed nim również trzymałeś to w tajemnicy?

- Nie powiedziałem nikomu.

- Dlaczego? Myślałam, że Johnny jest twoim najlepszym przyjacielem. I że my również jesteśmy przyjaciółmi.

- Oczywiście, że tak. Wy, Rawdonowie, jesteście moją jedyną prawdziwą rodziną. - Zmarszczył czoło i spochmurniał. - Przepraszam. Pewnie powinienem był wytłumaczyć, ale to dla mnie bolesny temat... niełatwo mi o tym mówić.

- Nawet nam?

- Nawet tobie, Aleksandro. Już dawno musiałś się zorientować, że ojciec odrzucił mnie niemal zaraz po urodzeniu. To żadna tajemnica. Zawsze byliśmy sobie obcy. Początkowo jego choroba nie wydawała się groźna i, choć to godne pożałowania, niezbyt mnie obchodziła. Wygląda jednak na to, że ojciec może umrzeć. Masz pojęcie, co to dla mnie oznacza?

Leksi była zaskoczona nutą goryczy w jego głosie.

- Odziedziczysz tytuł? - zapytała niepewnie.

- O wiele więcej. Wbrew rozsądkowi przez całe życie tliła się we mnie isierka nadziei, że pewnego dnia ojciec jednak mnie zaakceptuje i okaże mi choć odrobinę serca. Jeśli teraz umrze, zniknie ostatnia nadzieja, że zdoła mnie kiedyś pokochać, szansa, że uda mi się go poznać...

- Richardzie... - Leksi w jednej chwili zapomniała o własnych uczuciach, podeszła do Richarda i położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzał na jej dłoń, ale nie uczynił najmniejszego ruchu, żeby ją ująć.

- Pozostaje jeszcze kwestia mojej przyszłości - kontynuował.

- Jak to?

- Dobra Deverellow nie podlegają prawu dziedziczenia bezpośredniego, kiedy to majątek przechodzi z ojca na syna. Ojciec może zostawić Channings i cały majątek dowolnie wybranej osobie. Moim jedynym pewnym dochodem jest spadek po matce.

- Nie może pozbawić cię dziedzictwa. To nie w porządku. Kochasz Channings bardziej niż on!

- Żałuję, że w ogóle przyszedłem na świat - stwierdził ponuro Richard. - Skąd mam wiedzieć, co zamierza zrobić?

- Przecież nie zrobiłeś niczego, czym mógłbyś zasłużyć na takie traktowanie.

- Wystarczy, że się urodziłem. Że przeżyłem, podczas gdy moja matka umarła.

W głosie Richarda było tyle goryczy, że serce Leksi ścisnęło się z bólu.

- Nie wierzę, że lord Deverell wykreśli cię z testamentu. Musi mieć przynajmniej poczucie obowiązku wobec własnego nazwiska, jeśli już nie wobec ciebie. Bez ciebie Channings nie przetrwa. Nie, Richardzie, nawet o tym nie myśl. Zresztą jest jeszcze czas, by ojciec wykonał wobec ciebie jakiś gest.

- Pojednanie na łożu śmierci? Mało prawdopodobne, ale spróbuję. Przykro mi, Aleksandro, że sprawiłem ci ból. Wybaczysz mi? Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Nie chciałbym cię stracić.

- Przyjaciółmi? - rzuciła z przekąsem. - Zawsze, Richardzie.

Sezon dobiegł końca, Leksi podziękowała matce chrzestnej i wróciła do Somerset. Lady Wroxford niechętnie się z nią rozstała.

- Bardzo polubiłam twoje towarzystwo, kochanie - powiedziała. - Johnny jest Rawdonem z krwi i kości, ale ty... Ty masz włosy Rawdonów, ale masz też cudowne oczy swojej drogiej matki. W wielu innych sprawach również jesteś do niej podobna. - Zawahała się. - Szkoda, że nie udało się znaleźć kandydata na męża, który by ci odpowiadał. Kiedy przyjechałaś, wiązałam z tobą wielkie nadzieje.

- Proszę nie winić siebie, milady. Nie mogłabym oczekiwać większej dobroci i troskliwości. Moje serce było zajęte, zanim zdałam sobie z tego sprawę. Dla mnie nikt inny nie istnieje i nie będzie istniał.

Lady Wroxford ze smutkiem pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że pan Deverell wreszcie dostrzeże, jakim jesteś skarbem, ale musisz uzbroić się w cierpliwość. Obecnie jego przyszłość rysuje się tak niepewnie, że jako człowiek honoru nie mógłby poprosić cię o rękę. Ze słów Honorii Standish wynika, że spadek po matce pozwoliłby mu tylko z największym trudem wiązać koniec z końcem.

- Sądzisz, że to dlatego? Co za głupiec. Kompletny głupiec. Jakby mnie obchodził jego głupi spadek. Niech no się z nim zobaczę!

- Nie, Leksi, nie wolno ci słowem o tym wspomnieć. - Lady Wroxford wyglądała na szczerze zatroskaną. - Pan Deverell może cię bardzo lubić, jestem przekonana, że tak jest, ale miłość? Tutaj nie mam pewności. Wiem natomiast, że jest dumnym człowiekiem, który nie chciałby nikogo prosić o łaskę, nawet kogoś, kogo kocha. Nauczyłaś się w Londynie panowania nad sobą i radzę, żebyś nie zapomniała tej umiejętności. Żadnego rzucania się głową naprzód, na oślep, słyszysz? Nic w ten sposób nie zyskasz.

- Tak, ale Richard i ja jesteśmy przyjaciółmi. Mogę mu wszystko powiedzieć. On się nie obrazi. Gdybym tylko miała pewność, że mnie kocha...

- Cóż, pamiętaj, że gdyby kiedykolwiek coś poszło nie tak, nie musisz pytać, czy możesz tu przyjechać. Z radością pomogę ci, na ile będę mogła. Zarówno ze względu na ciebie, jak i na twoją matkę.

Lord Deverell zmarł, nie uczyniwszy gestu pojednania, ale cały majątek przypadł synowi. Sytuacja pomiędzy Richardem a Leksi nie została jednak wyjaśniona przez następny rok. Channings, rodowa siedziba Deverellow, było w doskonałej kondycji, lecz pozostałe majątki - niektóre aż w Szkocji - były zaniedbywane od lat i Richard do końca roku podróżował, żeby osobiście poznać zarządców, którzy go nigdy nie widzieli, i upewnić się, że jego posiadłości znajdują się w dobrych rękach. W większości wypadków tak było. Poprzedni lord Deverell miał bardziej oddaną służbę, niż na to zasługiwał.

Leksi rzadko widywała Richarda, ponieważ gdy wrócił z inspekcji swoich dóbr, ona nie miała czasu. Zachorował jej ojciec i przez pewien czas bano się nawet, że umrze. Przez wiele tygodni potrzebował troskliwej pielęgnacji i córka spędzała przy nim długie godziny. Richard często odwiedzał sir Jeremy'ego, gawędził z nim o lokalnych wydarzeniach i swoich planach związanych z Channings, ale ilekroć spojrzał na bladą twarz i podkrążone oczy Leksi, nalegał, by wybrała się z Johnnym na konną przejażdżkę albo na przechadzkę. Rzadko zdarzało im się spędzić razem więcej niż pięć minut, a już prawie nigdy w cztery oczy.

A potem, ku konsternacji wszystkich tych, którzy przed rokiem świętowali jego klęskę, Napoleon uciekł z Elby. Johnny i Richard zostali powołani do służby przez jedynego człowieka, który mógł ich skłonić do powrotu w szeregi armii, ich dowódcę z Półwyspu Iberyjskiego - Wellingtona. Z uwagi na chorobę ojca Johnny otrzymał przydział do Londynu, natomiast Richard był wysyłany z listami po całej Europie, do Wiednia, Brukseli i innych stolic państw sprzymierzonych, które zamierzały wspólnie wystąpić przeciwko Napoleonowi.

Wrócił do Londynu wiosną 1815 roku i dołączył do Johnny'ego, który służył jako oficer łącznikowy Wellingtona w dowództwie Gwardii Konnej. Na Wielkanoc przyjechali do Somerset na cały tydzień.

To nie były najprzyjemniejsze odwiedziny. Richard zachowywał większą rezerwę niż kiedykolwiek, natomiast Johnny ciągle był w złym humorze i zdecydowanie za dużo pił. Leksi raz czy dwa zapytała brata, co się z nim dzieje, ale ją zbywał. W końcu doszła do wniosku, że tylko Richard cieszy się zaufaniem Johnny'ego, lecz dopiero w przeddzień ich wyjazdu mogła zapytać go o brata.

Zamierzali wybrać się nad rzekę we trójkę, ale Johnny w ostatniej chwili rozzłościł się z jakiegoś powodu i postanowił nie iść. Leksi nie mogła przepuścić jedynej okazji, żeby porozmawiać z Richardem w cztery oczy.

Było ciepło i Somerset rozkwitło pełnią urody. Drzewa, którymi obsadzono aleje wokół Rawdon, pyszniły się zielonkawożółtymi baziami i śnieżnobiałymi kwiatami tarniny. Brzegi rzeki były jeszcze barwniejsze: rzucały się w oczy wysokie, smukłe fioletowe irysy, kępy bladożółtych prymulek i delikatne wiosenne anemony. Nad rzeką trwała gorączkowa aktywność, bo uradowane wielkanocnym słońcem ptaki i drobne zwierzęta szykowały się do założenia rodziny. Richard zaczął wspominać dawne dni, a Leksi z wezbranym wzruszeniem sercem wróciła pamięcią do chwil, gdy zaśmiewali się na widok harców młodych wydr, a ona zapragnęła, by Richard ją pocałował...

- Jak tu cudownie - rzekł z westchnieniem, wdychając pełną piersią wonne powietrze. - Nawet nie wiesz, jak za tym tęskniłem. - Odwrócił się w stronę Leksi. - Co u ciebie, Aleksandro? Zaskoczona Leksi zarumieniła się.

- W... wszystko dobrze - wyjąkała. - Przecież wiesz. Nie musiałeś pytać.

- A co u Transdena? Też wszystko w porządku?

- U Transdena? U pana Transdena? Nie mam pojęcia.

- Doprawdy? - zapytał sceptycznie.

- Oczywiście. Dlaczego sądzisz, że powinnam coś o nim wiedzieć? Nie widziałam go od minionego lata i nic o nim nie słyszałam.

- Czy to prawda?

- Oczywiście. Był cudownym partnerem do tańca i to wszystko. Dlaczego on cię tak interesuje?

- W zeszłym roku cały Londyn huczał od plotek, że za niego wyjdiesz.

- Nie poczuwam się do odpowiedzialności za to, o czym ludzie plotkowali przed rokiem. Mogę cię zapewnić, że nigdy nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby wyjść za pana Transdena.

- Lady Wroxford... - zaczął Richard. Urwał nagle i zaczął jeszcze raz. - Kiedy ostatnio widziałem się w Londynie z lady Wroxford, dała mi do zrozumienia, że on nadal jest tobą zainteresowany. Chyba wierzy, że mógłby cię skłonić do zmiany decyzji.

Leksi domyśliła się, że jej matka chrestna postanowiła sprawdzić, co może zdziałać odrobina zazdrości.

- Lady Wroxford na pewno tak nie sądzi - powiedziała stanowczo. - Ona doskonale wie kogo... - Ugryzła się w język. Mało brakowało, by się zdradziła. - Ona wie, że nie jestem zainteresowana panem Transdenem - dodała zdecydowanie. - Zakończmy już ten temat i porozmawiajmy o czymś ważniejszym. Chciałabym zapytać cię o Johnny'ego. Dzieje się z nim coś złego i chcę wiedzieć, o co chodzi.

- Co masz na myśli? - zapytał Richard ostrożnie.

- Nie próbuj mnie zbywać. Pytałam Johnny'ego, ale nie raczył ze mną rozmawiać. Martwię się o niego i miałam nadzieję, że mogę liczyć na twoją pomoc. Zrobił się taki drażliwy, szczególnie dziś rano. Nie tylko w stosunku do mnie, ale również wobec ojca i służby.

- Pewnie ma kaca - rzucił lekko Richard. - Rozmawialiśmy wczoraj do późnej nocy i wino płynęło strumieniami. Nie martw się, Aleksandro. On wróci do siebie.

- Naprawdę? - Nie pozbyła się wątpliwości. - Podejrzewam. .. Jestem pewna, że chodzi o coś więcej.

- Większość naszych obowiązków w Gwardii Konnej jest piekielnie nudna i Johnny ma tego serdecznie dosyć. Przecież go znasz. Lubi otwartą walkę, kiedy człowiek musi stanąć twarzą w

twarz z wrogiem i stawić czoło niebezpieczeństwu. Nie po to wstąpił do wojska, żeby zdobywać tajne informacje czy strzec dokumentów.

- To dla mnie oczywiste. Dlaczego obaj z Johnnym się tym zajmujecie? Myślałam, że nadal jesteście w czynnej służbie.

- Jesteśmy. To jak najbardziej czynna służba, choć nie leży w charakterze Johnny'ego.

Napoleońscy szpiegowie daliby sobie obciąć prawą rękę w zamian za informacje zawarte w listach Wellingtona, dlatego książę potrzebuje pewnych ludzi do ich ochrony. - W głosie Richarda pojawiło się zniecierpliwienie. - Czasami myślę, że szpiegowie wroga znacznie bardziej interesują się potrzebami księcia niż ci głupcy z Gwardii Konnej. I zawsze znajdzie się ktoś gotów sprzedać tajemnice wojskowe...

Urwał i przez chwilę szli w milczeniu. Zatrzymali się przy przełazie.

- Powiedz mi - zapytała Leksi niespodziewanie - czy Johnny pije?

- Oczywiście. Wszyscy pijemy.

- Bez wykrętów. Wiesz, o co mi chodzi. Czy Johnny pije za wiele?

Richard zawahał się.

- Możliwe. Na pewno więcej niż dawniej. Nie martw się, Aleksandro. Jak tylko wróci do regimentu, znów będzie sobą. To już nie potrwa długo. Ta przepustka wypadła w bardzo odpowiednim momencie, bo wątpię, czy za miesiąc będziemy jeszcze w Anglii.

- Znowu znajdziecie się w ogniu walki?

- Najprawdopodobniej. Tym razem zmierzymy się z samym Napoleonem, a nie z jego podkomendnym, jak to było w Hiszpanii. Wellington jest na to przygotowany.

- Wy dwaj pewnie będziecie uszczęśliwieni. Dla nas to ciężkie przeżycie. Możemy tylko siedzieć w domu i mieć nadzieję, że nie pozwolicie się zabić. - Próbowała się roześmiać, lecz z jej gardła wyrwał się szloch.

Zaskoczony Richard zatrzymał się i spojrzał jej prosto w twarz.

- Nic nam z Johnnym nie będzie, przysięgam. Przestań płakać, Aleksandro. Proszę.

- Wiem, że jestem idiotką - odparła, próbując otrzeć łzy. - Z Hiszpanii wróciliście bez draśnięcia. Po prostu... po prostu oboje z papą sądziliśmy, że wojny już się skończyły i że Johnny niedługo wróci do domu na dobre. Papa starzeje się i bardzo go potrzebuje. - Energicznym ruchem otarła kolejną łzę, która stoczyła się po jej policzku.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Richard wyjął nieskazitelnie czystą chusteczkę do nosa i otarł łzę. Nie cofnął dłoni i wpatrywał się z natężeniem w Aleksandrę.

- Z co ze mną? - zapytał miękko. - Potrzebujesz mnie?

- Nad życie - odparła, patrząc na niego z miłością.

- Pamiętasz, kiedyś właśnie przy tym przełazie poprosiłaś, żebym cię pocałował - szepnął, ledwie poruszając ustami.

- A ty powiedziałaś, że nie chcesz.

- Kłamałem. Bardzo chciałem, ale byłaś za młoda. Musiałem poczekać. Pocałowałem cię w Vauxhall, a ty się rozgniewałaś... Marzyłem o tym, żeby cię całować, i było mi jeszcze trudniej czekać. Gdybyś wiedziała, Aleksandro, jak mnie prześladowała tamta rozmowa przy przełazie, jak usilnie próbowałem ją zapomnieć... Nie udało się. A teraz... Gdybyś jeszcze raz spytała, czy chcę cię pocałować, tym razem powiedziałbym prawdę. - Objął ją wpół, zajrzał jej w oczy i szepnął cicho: - Zapytaj mnie znowu, Aleksandro.

- Czy chcesz mnie pocałować, Richardzie? Uśmiechnął się i zaczął ją całować najpierw delikatnie, jakby była niezmiernie cennym cackiem, potem objął rękami jej twarz i zaczął

okrywać pocałunkami oczy, brodę i szyję, na której odnalazł puls bijący w szalonym tempie. Wziął ją w ramiona i jego pocałunki stały się bardziej zaborcze. Leksi nie czuła wstydu. Właśnie o tym marzyła, bez Richarda była niczym...

Po chwili Richard odetchnął głęboko i odsunął ją od siebie na długość ramienia.

- Ależ ty masz nade mną władzę, Aleksandro. Nikt inny nie potrafi sprawić, bym zapomniał o całym świecie.

- Richardzie? - szepnęła, nie zdając sobie sprawy z błagalnej nutki w swoim głosie.

- Jesteś nieprawdopodobnie pociągająca, ale nie możemy posunąć się dalej. Przecież sama o tym wiesz, prawda? - Kiedy odwróciła wzrok i nie odpowiedziała, potrząsnął nią lekko. - Prawda, Aleksandro?

Kiwnęła głową twierdząco. Ujął jej dłonie i leciutko ją pocałował.

- Musimy jeszcze tylko trochę poczekać, moja śliczna, najdroższa Aleksandro. Musimy zaczekać do zakończenia tej awantury z Francuzami. A wtedy przyjdzie czas na rozmowę o naszej przyszłości.

Rozdział czwarty

Leksi jęknęła i przewróciła się na drugi bok. Z ust wyrwał jej się głęboki szloch. Murdie wstała i przysunęła jej szklanę do ust. Napój miał gorzkawy smak, ale po chwili Leksi poczuła, że odpływa w błogosławioną niepamięć.

Następnego dnia Murdie znowu siedziała przy łóżku chorej, kiedy Richard wszedł do sypialni żony.

- Spodziewałem się zastać tu ciotkę - powiedział. - Gdzie ona się podziewa?

- Lady Deverell zasnęła i milady postanowiła trochę odpocząć.

- Rozumiem. Ty także możesz odejść. Posiedzę przy żonie. - Służąca zawahała się, dodał więc stanowczo: - Jestem pewien, że twoja pani cię potrzebuje.

Murdie dygnęła i wyszła z pokoju.

Richard popatrzył na śpiącą, przysunął do jej łóżka stojący pod oknem bujany fotel i usiadł w nim, żeby poczekać. Był nieludzko zmęczony. Wszystkie plany wzięły w łeb i jeśli miał cokolwiek uratować z tej katastrofy, to najwyższy czas porozmawiać z Aleksandrą. Doktor Loudon zapewnił go, że żona jest wystarczająco silna, aby wstać z łóżka, nie zamierzał więc dłużej zwlekać.

Nie miał pojęcia, jak będzie przebiegała ich rozmowa.

Nic nie wskazywało na to, żeby zaczęły rozchodzić się skandaliczne pogłoski. Tylko pięć osób obecnych w zakrystii wiedziało o dramatycznym zakończeniu ceremonii ślubnej. Od tego czasu nikt nie odwiedził Aleksandry, ale jeżeli obecna sytuacja będzie się przedłużać, nie da się uniknąć plotek. Trzeba znaleźć sposób unormowania sytuacji choćby tylko na sześć miesięcy.

Po wielu burzliwych latach, po pokonaniu tylu barier na drodze do szczęścia, perspektywa zamieszkania z Aleksandrą w Channings była niezwykle pociągająca. Uśmiechnął się ponuro. Pociągająca? Dlaczego nie mógł choćby raz, przed samym sobą, przyznać się do własnych uczuć? O niczym bardziej nie marzył. Wiedział, że podejmuje ryzyko, żeniąc się z nią w takim pośpiechu, zanim otrząsnęła się z szoku po śmierci ojca. Wydawało mu się, że nie ma innego wyjścia. Ta śmierć sprawiła, że i tak trudna sytuacja zmieniła się w prawdziwy koszmar...

Richard wstał i zaczął krążyć po pokoju. Zaręczyny i ślub ze spadkobierczynią sir Jeremyego dały mu wgląd w dokumenty związane z majątkiem Rawdon. Najtrudniejsze problemy rozwiązał jeszcze przed ślubem i miał nadzieję, że z czasem upora się również z pozostałymi, zachowując przy tym daleko idącą dyskrecję, by nikt nie dowiedział się, co zrobił poprzedni właściciel Rawdon Hall.

Spojrzał na łóżko. Aleksandra nadal spała. Rozpaczliwie pragnął się nią zaopiekować. Została całkiem sama na świecie, pozbawiona domu. Mark Rawdon był dość miły, ale prawie obcy. Aleksandra nie zniosłaby życia w Rawdon Hall po śmierci ojca. Nie, pospieszne małżeństwo było naprawdę konieczne. Natomiast on wykazał się nadmiernym optymizmem, licząc na to, że rozwiąże ono jego własne problemy.

Znowu spojrzał na leżącą w łóżku żonę. Co tak diametralnie odmieniło Aleksandrę? Dlaczego zwróciła się przeciwko niemu? Kiedy zaledwie pięć tygodni temu poprosił ją o rękę, nie było w niej ani śladu wrogości. Coś musiało wydarzyć się krótko przed ślubem. Kiedy próbował dociec, co się stało, udzielała mu wymijających odpowiedzi i wyraźnie go unikała. Ciotka Honoria mówiła o przedślubnym zdenerwowaniu, a on uznał to tłumaczenie za wiarygodne.

Czy naprawdę strzeliłaby, gdyby nie jego udana interwencja? W zakrystii musiał być o tym przeświadczony, skoro kupił sobie trochę czasu, składając obietnicę. Sześć miesięcy na udowodnienie, że jej oskarżenia były fałszywe. Jak, u licha, tego dokonać? Gdyby powiedział jej prawdę, wszystkie wysiłki ostatnich kilku miesięcy poszłyby na marne. Musiał znaleźć satysfakcjonujące ją rozwiązanie. Jedno było dla Richarda oczywiste. Ktoś kryjący się w mroku działał na szkodę rodziny Rawdonów i im wcześniej Richard dowie się, kim jest ten człowiek, tym lepiej dla wszystkich. Dla Aleksandry, Marka Rawdona i dla niego samego.

Niech diabli porwą tego nikczemnika! Ciekawe, kto powiedział Aleksandrze o grze w karty? Jak tylko przyjdzie do siebie, z pewnością zapyta, dlaczego ojciec postawił wszystko na jedną kartę. I co ma jej, do diabła, odpowiedzieć? Zarówno Johnny, jak i Jeremy już nie żyli, ale co by jej przyszło z informacji, dlaczego jej ojciec tak ochoczo naraził się na klęskę i niesławę?

Wszystkie jego plany się zawaliły, ale przynajmniej jedno mu się udało - ocalić reputację jej rodziny. Nikt nie dowie się, że sir Jeremy Rawdon, były sędzia i filar społeczeństwa, złamał prawo. Wymagało to od Richarda sporej zręczności i zajęło mu czas pomiędzy zgonem sir Jeremy'ego a ślubem z Aleksandrą. I, jak na ironię, wszystkie wysiłki zwróciły się teraz przeciwko niemu.

A na jeszcze większą ironię zakrawały oskarżenia Leksi, że manipulował dowodami w sprawie śmierci Johnny'ego. W tym punkcie miała, oczywiście, absolutną rację... Manipulował.

Leżąca w łóżku Leksi westchnęła i poruszyła się.

- Mogę prosić o wodę? - zapytała ochrypłym głosem. - Po specyfikach doktora Loudona zawsze zasycha mi w ustach.

Richard nalał wody do szklanki. Wsunął ramię pod plecy Leksi i uniósł ją do pozycji siedzącej.

- Proszę - powiedział, podsuwając jej szklankę do ust. - Pij. Leksi natychmiast szeroko otworzyła oczy, a na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

- Ty! - zawołała z odrazą. Odepchnęła szklankę z taką siłą, że woda zalała nocną koszulę i pościel.

- Zachowujesz się jak dzieciak, Aleksandro! - skwitował poirytowany Richard. Podniósł szklankę i postawił ją na stole. - Co ty wyprawiasz? Nie jestem potworem.

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Zawołaj pokojówkę.

- Nikogo nie zawołam, zamierzam z tobą porozmawiać. Leksi próbowała wstać, ale popchnął ją z powrotem na poduszki i mocno przytrzymał.

- Posłuchaj teraz, moja droga - powiedział łagodnie, przysuwając się do niej tak blisko, że ich twarze dzieliły zaledwie cale. - Czekałem już zbyt długo. Nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki nie odbędziemy rozmowy, nawet gdybym musiał zatrzymać cię tu siłą.

- Nie możesz tego zrobić.

- Owszem, mogę. Jestem twoim mężem. Zapomniałaś? Mogę zrobić z tobą, co zechcę. Nikt nie odważy się ingerować w to, co robię w twojej sypialni.

Leksi wtuliła się w pościel z oczami pociemniałymi ze strachu.

- Lady Honoria... - zaczęła roztrzęsionym głosem.

- Ciotka Honoria ci nie pomoże. Raczej poradzi, żebym ci sprawił lanie, kiedy wrócisz do sił. Oczy Leksi stały się jeszcze większe i jeszcze ciemniejsze.

- Nie martw się - zapewnił Richard. - Nie zamierzam stosować się do jej rad.

- A co zamierzasz?

- Chyba nie sądzisz, że wejdę do łóżka, żeby się z tobą kochać? - zapytał z goryczą.

- Powiedziałeś, że jesteśmy mężem i żoną - przypomniała nerwowo.

- Moja droga, nie jestem szczególnie wrażliwy, ale trzeba być wyjątkowo gruboskórnym, żeby kochać się z żoną, która niedawno celowała we mnie z broni i groziła, że mnie zastrzeli. Za kogo ty mnie uważasz?

Leksi spojrzała na niego posępnie.

- Kiedyś marzyłam, żebyś się ze mną kochał, niczego nie pragnęłam bardziej - wyznała - a teraz sobie tego nawet nie wyobrażam.

Richard odsunął się gwałtownie i podszedł do okna. Zapadła cisza.

- Czego więc chcesz, Deverell? - zapytała po pewnym czasie Leksi.

Odwrócił się w jej stronę.

- Zawarliśmy umowę. Jesteś gotowa przedyskutować to ze mną?

- Chyba nie mam wyboru.

Richard podszedł do komody i wysunął szufladę, po czym wyjął świeżą nocną koszulę.

- Przebierz się, zanim zaczniemy - polecił. - Na pewno źle się czujesz w mokrej bieliźnie.

- Nie!

- Jesteś zbyt słaba, żeby się przebrać?

- Nie jestem za słaba, ale nie zamierzam się przy tobie rozbierać!

- Jestem twoim mężem. Mogę zdjąć z ciebie wszystko, co masz na sobie, i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Chcesz, żebym to zrobił?

-Nie!

- Zatem zrób, co ci każę. Jeśli chcesz, mogę w tym czasie wyglądać przez okno. Jednak nie wyjdę z pokoju, Aleksandro.

Usiadła, pospiesznie zmieniła koszulę, po czym położyła się i podciągnęła kołdrę aż po brodę. Richard odwrócił się i pokiwał głową na widok żony.

- Chyba masz dość sił, żeby usiąść. Jutro wstaniesz z łóżka i rozpoczniesz nowe życie.

Leksi zeszywniała.

- Co to niby miało być?

- Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać, moja droga. Bądź grzeczną dziewczynką i usiądź. Jeśli ci podam kolejną szklankę wody, to rzucisz nią we mnie?

- Nie, chce mi się pić. Proszę - powiedziała Leksi potulnie. Kiedy wypić, Richard wziął od niej szklankę i usiadł w bujanym fotelu.

- Musimy zdecydować, jak będziemy żyć przez najbliższe sześć miesięcy, ale najpierw chciałbym ustalić parę spraw. Zdradź mi, kiedy postanowiłaś mnie zabić. Nie sądzę, żebyś to planowała, przyjmując moje oświadczenia.

- Nie - przyznała.

- Kiedy zmieniłaś o mnie zdanie?

- Zaraz potem. Podśledzałam rozmowę dwóch służących. Niemal żałuję, że to zrobiłam.

Widzieli, jak w przeddzień śmierci papy grałeś z nim w karty. Mówili, że papa był wściekły.

Krzyczał, że go zrujnowałeś. - Leksi odwróciła się i spojrzała Richardowi prosto w oczy. -

Nawet nie spróbowałaś zaprzeczać - powiedziała z goryczą. - Zabiłeś Johnny'ego i właściwie można uznać, że zabiłeś również mojego ojca. Odebrałeś mu Rawdon, a następnego dnia już nie żył.

- Gdybyś wiedziała, jak bardzo tego żałowałem! Nieczęsto zdarza mi się popełniać tak katastrofalne pomyłki. Zapewniam cię, że chciałem tylko pomóc.

- Jak? Odbierając ojcu to wszystko, czym żył? Zostawiając go z niczym? Wiedziałaś przecież, jak kochał Rawdon, jaki był dumny z tytułu, z dziedzictwa. Byłeś świadkiem, jak cierpiał po śmierci Johnny'ego. Pomagałeś mu odszukać Marka Rawdona, ponieważ papa chciał zaprosić do nas przyszłego dziedzica dóbr rodowych, żeby zdążył poznać i pokochać Rawdon równie mocno jak on. I co zostało z Rawdon, kiedy dokonałeś swego dzieła? Dwór i mała farma, to wszystko. Tak okrojone Rawdon nie miałyby szansy przetrwać. Ojciec zmarł, bo się załamał. I ty ponosisz za to odpowiedzialność!

Richard wstał z fotela i podniósł rękę.

- Proszę, przestań! Znowu wpędzisz się w chorobę, a ja...

- Urwał. - Nie chcę cię widzieć w takim stanie. Dokończymy tę rozmowę innym razem.

- Nie! Dokończymy ją teraz! Przyjęłam twoje oświadczenia, bo byłam przekonana, że cię kocham. Jednak gdy dowiedziałam się o tej grze, nie chciałam cię więcej widzieć.

- Dlaczego nie poprosiłaś mnie o wyjaśnienia? Sądziłem, że mi ufasz.

- Próbowałam, ale od tamtego dnia nie zdołałam cię zastać samego. Ciągłe zamykałeś się z agentami i prawnikami.

- Nie mogę przyjąć tego tłumaczenia, Aleksandro. Przed ślubem było mnóstwo spraw do załatwienia. Jednak dla ciebie znalazłbym czas, gdybyś mnie o to poprosiła. Dlaczego nie starałaś się do mnie dotrzeć?

- Wymyśliłam coś lepszego.

- Postanowiłaś nie zrywać zaręczyn, wyjść za mnie i zażądać Rawdon jako prezentu ślubnego, czy tak?

- To był jedyny sposób ocalenia Rawdon. Tylko w ten sposób mogłam cię zmusić do zwrotu wszystkich należących dawniej do majątku ziem.

- Uważałaś się za męczennicę, która poświęca życie dla sprawy? - zapytał z goryczą Richard. - Byłaś gotowa płacić za to, znosząc do końca życia moje odrażające towarzystwo?

- Tak. Byłam gotowa.

- Kiedy doszłaś do wniosku, że jednak nie dasz rady? Że będziesz musiała mnie zastrzelić?

- Nie, mylisz się! Początkowo w ogóle nie zamierzałam tego robić. Żyłabym z tobą i starałabym się być tak dobrą żoną jak to tylko możliwe...

- Co za szlachetność! - rzucił z ironią Richard. - Nie przyszło ci do głowy, że może ja nie chciałbym takiej żony? Czy nigdy nie zadałaś sobie pytania, dlaczego zrobiłem coś tak okropnego twojemu ojcu, do którego przez całe życie byłem bardzo przywiązany? Swojemu

przyjacielowi. Oczywiście, że nie zadałaś. Logiczne myślenie nigdy nie było twoją najmocniejszą stroną, prawda?

- O co ci chodzi? - zapytała Leksi. Richard w milczeniu stanął przy oknie. Przez chwilę czekała, wreszcie wstała z łóżka, okryła się kapą i podeszła do niego. - O co ci chodzi, Deverell?

- Ani przez chwilę nie zamierzałem zatrzymać tego, co wygrałem. Gdyby twój ojciec nie umarł, zwróciłbym mu wszystko, kiedy tylko odzyskałby zdrowy rozsądek. On nie był sobą. Zrobił coś głupiego, co mogło zniszczyć jego reputację. Postanowiłem - przyznaję, że bez zastanowienia - wszystko naprawić albo przynajmniej ukryć. Niestety, zmarł, zanim zdążyłem wytłumaczyć mu, co zaplanowałem.

- Co papa zrobił?

- Nie musisz zaprzętać tym sobie głowy. Wszystkim się zająłem. Dlatego właśnie byłem przed ślubem tak zajęty.

- Powiedz mi, muszę wiedzieć.

- Przykro mi, ale nie mogę ci tego zdradzić. Leksi przyjrzała się Richardowi.

- To musiało mieć związek z pieniędzmi - powiedziała po namyśle. - Wiem, że papa ostatnio dużo pożyczył, nie rozumiem dlaczego, bo Rawdon przynosił znaczny dochód. Zaciąganie długów nie rujnuje reputacji... - Leksi usiadła na krawędzi łóżka. - Przecież nie chodziło o ziemie majoratu, prawda? - Richard nie odpowiedział, więc wykrzyknęła: - Nie mogło o to chodzić! Ojciec na pewno nie pożyczałby pod zastaw ziem majoratu. To nie tylko niehonorowe, ale i sprzeczne z prawem.

- Aleksandro, wracaj do łóżka albo zadzwoń po pokojówkę i się ubierz. Chodzenie po pokoju w nocnej bieliźnie to nierozsądne. A twoje włosy są rozczochrane.

Leksi spojrzała na niego buntowniczo jak za dawnych czasów.

- Jesteśmy małżeństwem, Deverell. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że chodzę w dezabilu po własnym pokoju?

- Wręcz przeciwnie, moja droga - odparł Richard i podeszedł bliżej. - Uważam to za szalenie pociągające.

Leksi pospiesznie wskoczyła do łóżka i starannie owinęła się kołdrą.

- Nie masz na mnie ochoty, pamiętasz? Richard przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

- Wygląda na to, że czujesz się znacznie lepiej - orzekł. -Przyślę ci pokojówkę. Powiedz jej, że chcesz zejść na dół na obiad. Dobrze ci zrobi opuszczenie tego pokoju, choćby na krótko.

Przyjdę po ciebie. - Już w drodze do drzwi dorzucił: - Przy obiedzie będzie ciotka Honoria, rozmowę musimy więc odłożyć do jutra. Dzisiaj poćwiczmy przyzwoite zachowanie w towarzystwie.

- Nie boisz się, że znów urządzę scenę? Zatrzymał się przy drzwiach.

- Jestem pewien, że tego nie zrobisz. Złożyłaś przysięgę, pamiętasz?

- W naszej umowie nie było ani słowa o tym, że w towarzystwie mam udawać przykładną małżonkę.

- Mówiłem o obietnicy, jaką złożyłaś w kościele, Aleksandro. Przysięgaliśmy szanować się, wspomagać i wspierać, póki nas śmierć nie rozłączy. Na razie nie zamierzam cię prosić o wypełnienie pozostałych zobowiązań. Chyba możesz pójść mi na rękę? Nie należysz do kobiet, które świadomie łamią złożone obietnice.

- Dlaczego zależy ci na moim towarzystwie? Myślałam, że będziesz wolał zostawić mnie samej sobie.

- Nie chcę dawać powodu do plotek. Szczególnie że pozostało jeszcze między nami wiele niewyjaśnionych kwestii. Przynajmniej na forum publicznym róbmy dobrą minę do złej gry i

udawajmy, że nasze małżeństwo zostało zawarte z właściwych powodów. Przecież to tylko sześć miesięcy. Możesz to zrobić?

Spojrzała na niego pociemniałymi ze smutku oczami.

- Spróbuję - odparła. - Jeśli mówiłeś prawdę, Deverell, to chcę wiedzieć, co zrobił papa. Nie sądzę, że jeszcze raz uda ci się mnie zbyć.

Po odejściu Richarda Leksi pograżyła się w zadumie. Wiele by dała, żeby wiedzieć, czy Richard powiedział prawdę na temat karcianej gry z papą. Fenomenalne szczęście Richarda w kartach było znane. Ojciec musiał być naprawdę zdesperowany, skoro zgodził się zagrać z nim o tak wysoką stawkę. Dlaczego Richard zaproponował mu grę? Wydawało jej się to tak sprzeczne z jego charakterem, że kiedy się o tym dowiedziała, zaczęła szukać Richarda, żeby zażądać wyjaśnień. Ale on przez cały dzień naradzał się z prawnikami.

W tym momencie weszła pokojówka i jej paplanina położyła kres rozważaniom Leksi. Po godzinie Leksi była już wykąpana i skropiona wodą lawendową, a jej jedwabiste włosy zostały wyszczotkowane i związane na czubku głowy w lśniący kok, tylko jeden kosmyk opadał zalotnie na kark. Bładoliliowa suknia z delikatnym srebrnym haftem, srebrzysty tiulowy szal i srebrne pantofelki dopełniały stroju. Była już prawie gotowa, gdy zjawił się Richard z aksamitnym pudełeczkiem w ręku.

- Chciałbym, żebyś je włożyła - powiedział, wyjmując sznur pereł. Leksi spojrzała na długi sznur idealnie dobranych pereł. - Jeszcze jeden ślubny prezent - stwierdził z gorzkim uśmiechem. - Są jeszcze kolczyki do kompletu. Należały do mojej matki.

- Nie mogę ich nosić - szepnęła Leksi.

- Możesz i będziesz, Aleksandro. - W uprzejmym z pozoru głosie Richarda zabrzmiała stalowa nuta. Ruchem dłoni odesłał pokojówkę, posadził Leksi przy toalecie przed lustrem, stanął za nią i utkwiał wzrok w jej odbiciu. Patrzyła na niego buntowniczo. - Włóż je, Aleksandro - powtórzył spokojnie. - Pomogę ci zapiąć.

Leksi z lekkim wzruszeniem ramion dwukrotnie owinęła sznur pereł wokół szyi. Richard odsunął na bok włosy żony i zapiął zameczek. Dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy poczuła dotyk jego palców na karku. Wyczuł to i podniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Leksi widziała nieznaną sobie twarz człowieka uczuciowego, nawet namiętnego i głęboko zranionego. Trwało to ulotną chwilę, potem znów miała przed oczami dawnego, spokojnego i zrównoważonego Richarda. Podał jej kolczyki.

- Myślę, że poradzisz sobie z nimi lepiej niż ja. A może zawołać pokojówkę?

- Nie, dam sobie radę - odparła Leksi, starając się panować nad głosem. Dopiero po kilku próbach udało jej się umieścić kolczyki w uszach. Wstała i stanęła twarzą w twarz z mężem.

- Wyglądasz pięknie - zauważył. - Gotowa do odegrania swojej roli?

Rozdział piąty

Lady Honoria czekała na nich w salonie.

- Jednak nakłoniłeś ją, by zeszła. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Udało mi się przekonać żonę, że czuje się na tyle dobrze, by zejść na dół, ciociu Honorio. Wyjaśniłem jej, jak bardzo za nią tęsknimy.

- Postanowiłeś tak to rozegrać... Muszę przyznać, Richardzie, że wygląda całkiem dobrze.

Suknia jest bardzo twarzowa. Widzę, że nosi perły twojej matki.

- Obecnie do niej należą. Widzę w drzwiach Kirby'ego, Aleksandro. Pewnie próbuje dać nam do zrozumienia, że możemy przejść do jadalni na obiad, nie sądzisz?

Leksi zerknęła na kamerdynera, a potem przeniosła wzrok na ciotkę Honorię, która rzuciła cierpko:

- Nie patrz na mnie. Teraz ty jesteś panią tego domu. Od ciebie zależy, kiedy zasiądziemy do stołu. Na twoim miejscu nie trzymałabym Kirby'ego zbyt długo w drzwiach, bo dostanie mu się od kucharki.

Kamerdyner chrząknął z dezaprobatą.

- Kucharka poda obiad wtedy, gdy pani będzie gotowa, milady. Nie wcześniej. Czy wolno mi powiedzieć, jak bardzo jesteśmy wszyscy szczęśliwi, widząc panią na dole?

- Dziękuję, Kirby - powiedziała Leksi z uśmiechem. Potem zwróciła się do lady Honorii: - Wejdziemy?

W czasie posiłku starali się prowadzić lekką konwersację, szczególnie Richard i lady Honoria, ale i Leksi od czasu do czasu włączała się do rozmowy. Ponieważ nie urządzali wielkiego przyjęcia weselnego, dyskutowali o tym, kogo powinni w ciągu następnych tygodni zaprosić na obiad.

- Nie musisz tego robić, jeśli nie masz ochoty, Leksi - oświadczyła na koniec lady Honoria. - Wszyscy rozumieją, że młodzi małżonkowie pragnęliby na pewien czas zostać sami. Dlatego też teraz, kiedy już schodzisz na dół, mogę wrócić do domu.

- Proszę nie wyjeżdżać! - zawołała Leksi, przestraszona perspektywą pozostania w Channings tylko z Richardem.

- Oczywiście, że nie chcemy, byś wyjechała - poparł żonę Richard. Służba posprzątała ze stołu i wyszła, zamykając za sobą drzwi. - Wiesz przecież, ciociu, że nasze małżeństwo jest dość nietypowe.

- Ha! - zawołała wiekowa dama. - Tak to określasz?! Miałam do czynienia z nietypowymi małżeństwami, ale twoje bije wszystkie inne na głowę. Nie słyszałam, żeby panna młoda próbowała zastrzelić świeżo poślubionego męża. Masz rację, Richardzie. To zdecydowanie nietypowy związek.

- Ciociu Honorio, zrób mi tę grzeczność i nie wspominaj już o incydencie w zakrystii.

Aleksandra zgodziła się udawać przy świadkach, że nasze małżeństwo jest całkiem normalne, i chciałbym, żebyś ty zachowywała się tak samo. Dotrzymanie danego jej słowa będzie ode mnie wymagało dość wysiłku i bez zmagania się z plotkami.

- Co masz na myśli?

- Richard chce mieć święty spokój, żeby móc wymyślić wiarygodną bajeczkę na usprawiedliwienie oszustwa, jakiego dopuścił się w stosunku do mojego ojca - wyjaśniła Leksi. Richard przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Przecież sama nie wierzysz, że oszukiwałem.

- Czy mam rozumieć, że to, co mówiła Leksi, jest prawdą? Rzeczywiście zagrałeś z jej ojcem w karty o Rawdon?

- Tak, ciociu Honorio.

- To haniebne! Musieliście obaj być kompletnie pijani. Nic dziwnego, że była na ciebie wściekła, chociaż nic nie może usprawiedliwić jej zachowania w zakrystii. Czy dlatego zwróciłeś jej majątek jako ślubny prezent?

- Nie byli pijani - oświadczyła niespodziewanie Leksi. - Papa był zrozpaczony.

- Zrozpaczony? - zapytał Richard.

- Istnieją tylko dwa wytłumaczenia twojego postępowania, Deverell. Albo jesteś nikczemnikiem i podstępnie wyzuliś mojego ojca z Rawdon, a pod słowami „podstępnie wyzuliś” rozumiem nakłonienie go do gry w karty. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zagrałby z tobą w karty o swoje dobra rodowe. A już na pewno nie mój ojciec, szczególnie o Rawdon. Albo też powiedziałeś prawdę, papa tonął w długach i próbowałeś ocalić resztę jego majątku. W takim razie dlaczego nie pożyczyłeś mu pieniędzy?

- Jeremy Rawdon? Zadłużony? - wtrąciła lady Honoria. - Nie wierzę. To był rozważny mężczyzna, a Rawdon przynosiło dobry dochód.

Richard wstał od stołu i podszedł do kominka.

- Jeremy Rawdon rzeczywiście tonął w długach - powiedział. - Nie pożyczyłem mu pieniędzy dlatego, że odmówił ich przyjęcia. Twój ojciec nie żyje, Aleksandro, a jego reputacja została ocalona. Rawdon pozostało w rodzinie i jest wolne od długów, czego, jak sama stwierdziłaś, ojciec by sobie życzył. Na tym powinniśmy zamknąć ten temat. Zresztą zrobiło się późno. Życzymy sobie nawzajem dobrej nocy.

Lady Honoria wstała.

- Znam ten ton głosu. Nie ma sensu dyskutować z Richardem, kiedy mówi w ten sposób. Swoją drogą, Richardzie, musiałeś wydać fortunę dla ocalenia reputacji Jeremy'ego, choć pewnie nie powiesz mi ile.

- Więcej, niż mogłabyś sobie wyobrazić, ciociu Honorio.

- Richard nie powinien był grać z twoim ojcem - zwróciła się lady Honoria do Leksi - ale on nie kłamie. Nadal uważam, że zachowałeś się w zakrystii w sposób niewybaczalny, ale skoro Richard jest gotów ci darować, to ja też powinnam. Chciałabym tylko wiedzieć, czy zamierzasz mieszkać pod jego dachem, jeść jego chleb i korzystać z opieki, nie odwołując tej absurdalnej umowy. Powinnaś o niej zapomnieć. Dobranoc.

Wyszła. Richard podszedł do Leksi.

- Nie musisz nic mówić. Doskonale sobie radziłaś, ale wyglądasz na zmęczoną. Pozwól, że odprowadzę cię na górę.

Kiedy stanęli pod drzwiami pokoju Leksi, Richard powiedział z lekkim zniecierpliwieniem:

- Czuję, że z każdą chwilą coraz bardziej sztywniejesz. Nie masz powodu do obaw. Nie oczekuję, że mnie zaprosisz, i nie zamierzam domagać się od ciebie wypełniania obowiązków małżeńskich. Przynajmniej na razie. Kiedy to wszystko się skończy...

- Jesteś bardzo pewny siebie - wpadła mu w słowo.

- Muszę być. Nie martw się. Wbrew radzie ciotki Honorii nie zamierzam anulować naszej umowy.

- Twoja ciotka ma rację. Szkoda, że zawarliśmy tę umowę. Nie mam pojęcia, jak zamierzasz spełnić obietnicę, i nie, wiem nawet, czy chciałabym, żebyś ją spełnił... - Głos jej się załamał. Po chwili dodała: - Wierzę, że szczerze pragniesz udowodnić, iż się pomyliłam. Chciałabym ufać także pozostałym twoim słowom, niestety, nie potrafię. Już nie wiem, w co wierzyć.

- To już pewien postęp. Jeszcze dwa dni temu nie miałaś najmniejszych wątpliwości. Idź spać, Aleksandro. Porozmawiamy o tym jutro. Dobranoc.

- Dobranoc - wymamrotała. Począł, aż zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy poszedł do swoich pokojów.

Kiedy przyszedł po nią rano, kończyła się ubierać.

- Widzę, że jestem w samą porę - rzekł z uśmiechem. - Porozmawiamy tutaj czy wolałabyś w bibliotece? - Objął wzrokiem jasnopopielatą suknię z białym kołnierzykiem, która cudownie

kontrastowała z bujnymi rudawymi włosami, a równocześnie prostym krojem podkreślała smukłą, zgrabną sylwetkę.

- Jadłaś śniadanie?

- W łóżku?! Oczywiście, że nie! - Zgorszenie brzmiące w głosie Leksi rozbawiło Richarda.

- To było całkiem niewinne pytanie. Ciotka nie opuszcza swoich pokojów przed południem i, o ile wiem, winszuje sobie czekoladę z bułeczkami, zanim wstanie z łóżka. Pomyślałem, że gospodyni poda ci to samo.

- Zrobiła to, ale odesłałam posiłek. Dość czasu spędziłam w łóżku. Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że masz rację, Deverell. Niezależnie od tego, co będzie za sześć miesięcy, wobec świata powinniśmy udawać całkiem zwyczajną parę. Ufam, że nie będziesz tego wykorzystywał, gdy znajdziemy się sam na sam.

- Rzeczywiście ufasz? - zapytał z lekkim uśmiechem. -Przynajmniej raz masz do mnie więcej zaufania niż ja sam, moja droga. Postaram się nie zawieść twoich oczekiwań, ale z twojej strony spodziewam się czegoś więcej niż tylko biernego tolerowania mojej obecności. Jeśli mamy przed upływem sześciu miesięcy wyjaśnić nasze problemy, będę potrzebował twojej pomocy. Teraz jednak zejdźmy na śniadanie, a potem porozmawiamy.

Po śniadaniu przeszli do biblioteki. Sięgające sufitu półki z książkami, imponujące biurko i wygodne skórzane fotele ustawione przy kominku, w którym płonął ogień, składały się na wyposażenie pomieszczenia. Biblioteka była królestwem ojca Richarda, do którego nikt obcy nie miał wstępu, nawet syn.

Leksi podeszła do okien. Wychodziły na opadający ku tafli jeziora trawnik i ozdobny mostek, przerzucony nad wpadającą do jeziora rzeczką. O tej porze roku ogromne, okalające trawnik rododendrony pokryte były jeszcze liśćmi, ale po kwitnących wczesnym latem kwiatach nie został ślad. Porastające brzegi jeziora potężne buki, lipy i kasztanowce pyszniły się zielonymi, złocistymi i brunatnymi koronami. W wodzie i na brzegu roiło się od kaczek, łysek i kurek wodnych, całkowicie ignorowanych przez dwa łabędzie, płynące z gracją w stronę mostku.

- Jak tu pięknie! - zachwyciła się Leksi.

- Latami zastanawiałem się, jak przekształcić Channings w rodzinny dom - zwierzył się Richard.

- Zawsze było tu pięknie, ale w porównaniu z Rawdon jakoś bezdusznie. Po śmierci mamy ojciec prawie cały czas spędzał w bibliotece, o resztę domu nie dbał, podobnie zresztą jak o wszystko inne.

- Kiedy umarła?

- Zaraz po moim urodzeniu.

- Zatem jej nie pamiętasz?

- Nie, zapamiętałem twoją mamę.

- Ona również młodo zmarła. Jak wiesz, miałam wtedy dziesięć lat.

- Była dla mnie bardzo dobra. Podobnie jak cała twoja rodzina. W Rawdon czułem się jak w domu. Mój ojciec kompletnie o mnie nie dbał.

Leksi rzuciła Richardowi ukradkowe spojrzenie. Zbliżyli się do niebezpiecznego tematu.

- Może usiądziemy? - zaproponował, wskazując fotele. -Powiedziałem służbie, żeby nam nie przeszkadzano.

Usiedli przy kominku i po chwili Richard zaczął z poważną miną:

- Oskarżyłaś mnie o dwie zbrodnie, Aleksandro. Ja, w przeciwieństwie do cioci Honorii, sądzę, że wiedziałaś, co robisz, mierząc do mnie z pistoletu. Wierzyłaś, że jestem winien. Skąd ta pewność? Mówiłaś, że podsłuchiłaś rozmowę służących o grze w karty. Czy ktoś jeszcze ją słyszał?

- Mark.

Richard zeszywniał.

- Mark Rawdon? Co on na to?

- Nic, nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Stał w głębi korytarza, ze służbą. Ja byłam wyżej, na pół-piętrze.

- Mark Rawdon plotkował ze służącymi o twoim ojcu?

- Nie. Mark podszedł do nich i zapytał, o czym rozmawiają. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć i kazał im wszystko powtórzyć, szczególnie co mówił papa i jak wyglądał. Potem zabronił im to rozpowiadać, żehy nic nie dotarło do moich uszu. Było już za późno. Słyszałam wszystko.

- Rozumiem - rzekł Richard. - Szukałaś mnie i nie mogłaś znaleźć. Rzeczywiście próbowałaś?

- Oczywiście! Ufałam ci, ale zdawałaś się mnie unikać...

- I doszłaś do wniosku, że jednak mogło w tym coś być...

- Wniosek nasuwał się sam. Wieczorem pokłóciliście się i papa był bardzo zdenerwowany. Nie zapominaj, że następnego dnia zmarł.

- Jakbym mógł zapomnieć. - Richard wstał i wyrzwał przez okno.

- W pierwszej chwili nie chciałam mieć z tobą nic wspólnego, a już w żadnym wypadku nie zamierałam za ciebie wyjść.

- Potem obmyśliłaś plan ocalenia Rawdon. Czy rozmawiałaś o tym z kimś? Na przykład z Markiem?

- Mark mówił najpierw, że trudno mu się zdobyć na bezstronność, bo przecież dziedziczy Rawdon Hall. Oczywiście spojrzał na to z męskiego punktu widzenia. Uznał, że kiedy papa zasiadł z tobą do gry, świadomie podjął ryzyko, masz więc pełne prawo zabrać wygraną. Powiedział, że to dług honorowy. W końcu jednak zrozumiał, jak bardzo mi zależy, żeby Rawdon Hall pozostało własnością rodziny Rawdonów, i przystał na mój plan.

- Pełen zrozumienia młody człowiek. Szkoda tylko, że ten twój kuzyn tak dokładnie wypytywał o wszystko służących.

- Nie wiedział, że podsłuchiwałam. Zresztą jestem zadowolona, że to usłyszałam. Otworzyły mi się oczy i wiedziałam, za kogo wychodzę za męża. A przynajmniej wydawało mi się, że wiem. Jeśli jednak myślę się w ocenie tej gry, to dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co papa zrobił?

- Nie mogę.

- Próbujesz mnie chronić? A może miałam rację? Może tylko udajesz, że chcesz mnie chronić, żeby ukryć własną winę?

- Do licha, to nie jest udawanie, Aleksandro! - wybuchnął Richard.

- Mówisz szczerze - orzekła Leksi. - Rzeczywiście próbujesz mnie chronić, prawda? Przed czym?

Richard zdążył już odzyskać panowanie nad sobą.

- Nieważne - odparł. - Podejrzywałem czyjaś złą wolę, - sądziłem, że ktoś celowo wprowadził cię w błąd. Teraz jednak jest dla mnie jasne, że dowiedziałaś się o naszej grze przez przypadek. Nie ma potrzeby dłużej się tym zajmować.

- To ty podjąłeś ten temat, a skoro już zaczęliśmy, to kontynuujmy, póki nie uznam go za zamknięty. Nie wystarczy mi informacja, że mój ojciec zagrał z tobą w karty i przegrał, Richardzie Deverell. Chcę wiedzieć, dlaczego w ogóle zaryzykował grę.

- Nie zapomniałaś, jak mam na imię.

-Co?

- Od ślubu zwracałaś się do mnie wyłącznie: Deverell. Przed chwilą nazwałaś mnie znowu Richardem.

- Nieprawda. Powiedziałam: Richardzie Deverell. Zrobiłam to celowo. Będę zwracać się do ciebie po nazwisku dopóty, dopóki nie zdobędę całkowitej pewności, że jesteś niewinny. Richard należy do przeszłości, to człowiek, którego kochałam i obdarzałam pełnym zaufaniem.

- Nauczysz się znowu mi ufać.

- Zaczynaj od opowiedzenia mi całej historii. Wczoraj wyjawiliś, że papa popełnił błąd. Jeżeli mówisz prawdę, musiało to być coś znacznie poważniejszego, prawda? Papa złamał prawo, rzucając na szalę ziemi i pałac należące do dóbr rodowych, do majoratu. Nie patrz tak na mnie, wiem, że mam rację.

- Tak, i skończmy już ten temat. Nie draż tego więcej, Aleksandro. Podniosła się i stanęła obok niego przy oknie.

- Musisz mi powiedzieć, dlaczego papa popadł w długi. - Zamilkła w nadziei, że doczeka się wyjaśnień. Richard jednak się nie odezwał, podjęła więc tonem perswazji: - Nie musisz obawiać się o moje uczucia. Niezależnie od tego, co papa zrobił, będę go kochała tak samo mocno jak teraz. Kiedy się kogoś kocha, nie przestaje się widzieć jego wad. Kocha się go pomimo tych wad. Już ci to kiedyś mówiłam. Pamiętasz?

- Tak. Doskonale pamiętam. Twoje słowa najwyraźniej nie miały zastosowania do mnie. Leksi tak gorliwie starała się przekonać Richarda, że mimowolnie położyła mu rękę na ramieniu. Nie miał racji. Mogła nienawidzić Deverella, uważać go za kłamcę i oszusta, odpowiedzialnego za śmierć jej brata, a jednak w głębi duszy, pomimo wszystko, nadal go kochała. Spojrzał na jej dłoń, cofnęła ją więc jak oparzona. Nie wolno jej okazać słabości...

- Ty to co innego. Nie próbuj zmieniać tematu. Czy papa przegrał cały majątek w karty?

- Nie. Ciocia Honoria już ci powiedziała. Twój ojciec nie był hazardzistą.

- A jednak zagrał z tobą o Rawdon, choć miał pewność, że wygrasz. Rawdon znaczyło dla niego więcej niż cokolwiek na świecie. Musiał być przyparty do muru. Dlaczego nie chciał pożyczyć od ciebie pieniędzy? Na pewno nie przez dumę, bo uważał cię za członka rodziny.

- Postawiłem warunki, których nie był skłonny przyjąć. Posłuchaj, Aleksandro, nie chcę...

- Za to ja chcę, Deverell - przerwała mu stanowczo. - Jeżeli mamy współpracować, to muszę wiedzieć wszystko. W przeciwnym razie przeczekam najbliższe sześć miesięcy na własnych warunkach.

- To zabrzmiało poważnie. Odmówisz współpracy? I swojego towarzystwa?

- Odmówię. I będę demonstrować na każdym kroku, co naprawdę o tobie myślę. Jestem nawet gotowa powiedzieć wszystkim, że chciałam cię zastrzelić. Nie mam nic przeciwko wywołaniu skandalu, to tobie, jak widzę, zależy na tym, by go uniknąć. Wielki lord Deverell prawie zastrzelony w kościele przez świeżo poślubioną małżonkę. Co za temat dla prasy bulwarowej! Udało ci się ukryć przed światem wydarzenia w zakrystii, ale ja je mogę ujawnić. Albo opowiesz mi wszystko o ojcu, albo to zrobię!

- Nie postawisz na swoim, posługując się groźbami, moja droga. Popełniasz poważny błąd, jeśli myślisz, że należę do ludzi, którzy pozwolą się szantażować!

Leksi zaalarmował ton głosu Richarda. Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go, kręcąc głową.

- Nie próbuj znów zmieniać tematu. Nie dopuszczę do tego. Nie należysz do ludzi, którzy pozwalają się szantażować. To prawda. A może papa należał? - Zastanawiała się nad tym przez chwilę. - Tak, oczywiście! To dlatego był tak zdesperowany. Odmówiłeś mu pożyczki, bo, jak powiedziałeś, nie akceptujesz ulegania szantażom. Nie, Deverell. Nie próbuj mnie zbyć. Nie

jestem dzieckiem. Jeżeli ojciec popadł w ruinę, oddając szantażyście wszystko, co posiadał, mam prawo o tym wiedzieć.

Po krótkim namyśle Richard potwierdził lakonicznie:

- To prawda. Już nie miał do kogo zwrócić się o pieniądze.

Leksi stała jak porażona.

- Co takiego zrobił? Czym można było szantażować papę?

- Istniał powód szantażu, ale nie wyjawię ci go, choćbyś mi nie wiem czym groziła. Twój ojciec przez kilka miesięcy cierpiał katusze, byle tylko ukryć to przed światem. Nie zamierzam go teraz zdradzić.

Leksi nie spodziewała się innej odpowiedzi, ale przysięgła sobie w duchu, że prędzej czy później dowie się wszystkiego.

- Co zamierzałaś zrobić? - zapytała.

- Postanowiłem wygrać od niego wszystko, co mu jeszcze zostało, żeby nie miał czym płacić szantażyście. Rawdon zostało już praktycznie całkowicie wypompowane z pieniędzy, jeszcze trochę, a zostałyby stracone.

Uratowałem przynajmniej resztkę. Plan nie ograniczał się do ocalenia majątku. Postanowiłem dowiedzieć się, kim jest ten nikczemnik i położyć kres jego działalności. - Richard zacisnął usta i jego twarz przybrała groźny wygląd. - W taki lub inny sposób.

Leksi kiwnęła głową. Gdyby kiedykolwiek dowiedziała się, kim był szantażysta, zrobiłaby to samo.

-Nie przypuszczałem, by okazało się to zbyt trudne - kontynuował Richard. - Bardzo wąskie grono osób mogło mieć dostęp do informacji o tej aferze. Twój ojciec nie wierzył jednak, że mi się uda. Dopiero jego śmierć położyła kres szantażowi. Aleksandro, moja droga, chciałem ci oszczędzić bólu, przykro mi.

Leksi spojrzała na niego z goryczą.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Dlaczego mi nie zaufałeś? - zapytała. - Nie oszczędziłeś mi bólu, Deverell, przyczyniłeś się do jego spotęgowania. - Podeszła do kominka. Zapadło milczenie.

Richard zbliżył się do żony.

-Przepraszam. Powinienem być zrozumieć... - zaczął z czułością w głosie.

Leksi odwróciła się gwałtownie, z oczami gorejącymi w pobladłej twarzy.

- Nie życzę sobie twojej litości! - krzyknęła. - A skoro już chcesz przeproszać, to przepraszaj przynajmniej za rzeczywiste winy. Nie miałeś prawa utrzymywać mnie w niewiedzy. Jak mogłam nie zauważyć, że papa był tak bardzo nieszczęśliwy? Przecież go kochałam. Razem mogliśmy go ocalić, ty i ja. A teraz jest już za późno. Nienawidzę być traktowana jak małe dziecko, Deverell. Nienawidzę poczucia, że jestem od ciebie uzależniona.

- Wierz mi, Aleksandro, nie uważam cię bynajmniej za dziecko. Już nie.

- To traktuj mnie jak odpowiedzialną istotę ludzką. W przyszłości dziel się ze mną swoimi problemami, nie chroń mnie przed nimi.

- Chwileczkę! Czy dramatyczna scena w zakrystii miała świadczyć o tym, że jesteś odpowiedzialną istotą ludzką? Trudno mi w to uwierzyć.

- Działalam pod wpływem stresu. Chodziło nie tylko o ojca, ale i o Johnny'ego.

- A, tak. Johnny.

- Z tego nie będzie ci się łatwo wytłumaczyć, Deverell.

- Nie tracę jednak nadziei - powiedział. - Przecież w sprawie ojca zdołałem cię przekonać, prawda? - Leksi milczała, powtórzył więc pytanie. - Prawda?

- Tak, do licha! Żle cię osądziłam. Ale to tylko twoja wina!

Richard spojrział na jej zaczerwienione z gniewu policzki.

- Możliwe. Czy moglibyśmy odłożyć rozmowę o Johnnym na kiedy indziej? Chyba masz już dosyć. Nie unikam odpowiedzi, Aleksandro. Już ci mówiłem, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Johnny'ego, niezależnie od tego, co słyszałaś. Uważam tylko, że nam obojgu należy się odpoczynek po tej dramatycznej rozmowie. - Czekał przez chwilę, wreszcie dodał: - Za jakieś pół godziny wybieram się do Rawdon. Zostało mi parę spraw do załatwienia. Wolalabyś trochę odpocząć czy pojedziesz ze mną? Świeże powietrze mogłoby dobrze ci zrobić.

Leksi wyczuła, że jej odpowiedź jest dla niego ważna. Nie była zmęczona, chciała jedynie w spokoju przemyśleć wszystko, czego się dowiedziała. Jednak od trzech dni nie wychodziła na dwór i nabrała ochoty na przejażdżkę. Lady Honoria miała rację, niesprawiedliwie osądziła Richarda i coś mu się od niej należało. W tym momencie pomyślała o Johnnym i zawahała się. Zerknęła na Richarda ukradkiem i oceniła, że wziął jej wahanie za odmowę.

- Dziękuję - usłyszała własny głos. - Chętnie. O drugiej?

Rozdział szósty

Richard przyglądał się Leksi schodzącej po frontowych schodach. Wyglądała pięknie w ciemnoniebieskiej amazonce z białym szalem owiniętym wokół szyi. Ogon sukni przerzuciła sobie przez ramię. Wspaniałe włosy schowała pod siatką eleganckiego kapelusza, całości dopełniały rękawiczki i buty w kolorze surowej skóry. Richard zauważył, że ciemne sińce pod oczami żony się zmniejszyły, a policzki nabrały rumieńców.

Świeciło słońce, powietrze było chłodne i rześkie, wiał lekki wiatr. Po raz pierwszy od tamtej dramatycznej sceny w zakrystii Richard pozwolił sobie na nadzieję. Aleksandra nie była już taka pewna, że zawinił przy grze w karty, a przy odrobinie szczęścia może uda mu się również wyplątać z afery z Johnnym. A swoją drogą, jaka ona bystra. Nie wątpił w jej inteligencję, był jednak szczerze zadziwiony tempem, w jakim doszła do wniosku, że jej ojciec padł ofiarą szantażu. Musiał się zdradzić jakimś słowem, a może sposobem, w jaki to słowo wypowiedział. W przyszłości powinien bardziej uważać.

Ruszyli ku Rawdon, a wypoczęte konie były kopytami i zdawały się tańczyć na wietrze. Kiedy pod koniec podróży wjechali na pola, Richard spojrział na Leksi z ukosa i domyślił się, że - podobnie jak on - wspomina, jak często dawniej krążyli pomiędzy Rawdon a Channings. Szczęśliwe chwile, spędzane we trójkę, z Johnnym. Jeszcze teraz Richard był zaszokowany tym, co przyjaciel uczynił. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że tak naprawdę nie znał człowieka, którego uważał za najlepszego przyjaciela. To wstrząsające odkrycie dręczyło go i nie pozwalało zapomnieć o straszliwej prawdzie. Dlatego właśnie przekonanie Aleksandry, że nie ponosi odpowiedzialności za śmierć jej brata, wydawało się szczególnie trudne.

- Naprzód, Deverell! Wybijmy im z głowy te harce. Ścigajmy się do młyna nad stawem. - Leksi zawróciła konia. Richard postanowił na razie zapomnieć o troskach. Ruszył za nią, a jego potężny ogier szybko zmniejszył dzielącą ich odległość. Razem dopadli krańca pól.

- Było wspaniale! - zawołała Leksi, ściągając wodze, kiedy wjechali na teren wsi. - Wydawało mi się, że nie ścigaliśmy się od wieków. Widzę, że Castor nie stracił formy.

Richard poklepał wierzchowca.

- Jeszcze przez ładne parę lat będzie najlepszy. Powinienem jednak dokupić kilka koni. Będziemy potrzebowali pary do powozu, może do faetonu. Gdybyśmy wybrali się wiosną do Londynu, to przydałoby się nawet więcej.

- Wiosną?

Richard powiedział stanowczo:

- Nie możemy uzależniać wszystkich planów od tego, co ma nastąpić za pół roku, Aleksandro. Czy nie moglibyśmy zachowywać się jak normalne małżeństwo, które snuje plany na przyszłość? Nasza codzienność stanie się nie do zniesienia, jeżeli będziemy sobie przypominać o tym, co może się wydarzyć, zanim zrealizujemy te zamierzenia. Zgadzasz się ze mną?

- Najwyraźniej dużo lepiej sobie radzisz w tej sytuacji niż ja, Deverell. Ale spróbuję. Jedziemy dalej?

Mark Rawdon ucieszył się z ich wizyty, prawil Leksi komplementy na temat jej wyglądu i gratulował Richardowi zimnej krwi, dzięki której zdołał rozładować napiętą sytuację w zakrystii.

- Nie dotarli do mnie żadne plotki - powiedział, kiedy usadowili się w salonie. Z uśmiechem wodził wzrokiem od jednego z nich do drugiego. - Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki jestem szczęśliwy, że zdołaście rozwiązać wasze problemy. Przyznasz, Leksi, że źle oceniłaś Richarda. Pozwólcie, że złożę wam obojgu życzenia wszelkiej pomyślności.

- Dziękuję - powiedziała. - Powiedz mi, Marku, jak ci się żyje w Rawdon?

- Wspaniale. Oczywiście wszystko jest jeszcze dla mnie nowe. W ciągu ostatniego roku majątek był nieco zaniedbany, ale nie powstały nieodwracalne zniszczenia. Mam nadzieję, że wkrótce będziesz całkowicie zadowolona z tego, czego tu dokonałem, Leksi. A zawdzięczam to tobie. - Pochylił głowę. - I oczywiście Deverellowi.

- Marku, co wiesz o długach papy?

To niespodziewane pytanie najwyraźniej zaskoczyło Marka. Rzucił przelotne spojrzenie na Richarda i odrzekł:

- Niewiele. Twój ojciec miał problemy finansowe, kiedy przyjechałem tutaj po śmierci Johnny'ego. Już wtedy pożyczal pod zastaw majątku. Nie mam pojęcia dlaczego. Może dokonał niekorzystnych inwestycji. Dlaczego pytasz?

- Próbuję zrozumieć, co się stało. Tak bardzo kochał Rawdon...

- Będę ciężko pracował, Leksi. Nie zawiodę ani ciebie, ani twojego ojca.

- Na pewno nie zawiedziesz. Gdy nadeszła wiadomość o śmierci Johnny'ego, jedynym pocieszeniem dla ojca była świadomość, że istnieje jeszcze jeden Rawdon, który będzie mógł objąć majątek. Dlatego właśnie wysłał Richarda, by cię odnalazł.

Mark uśmiechnął się.

- Ja się nie ukrywałem. Napisałem do twojego ojca list z wyrazami współczucia z powodu śmierci Johnny'ego. Wiedział, gdzie mieszkam.

- Sir Jeremy nie miał pojęcia o twoim istnieniu. - Richard odezwał się po raz pierwszy. - Od lat stracił wszelki kontakt z kuzynami.

- Cóż, mój dziadek, Harcourt Rawdon, był czarną owcą w rodzinie. Wkrótce po ślubie z moją babcią Harcourt roztrwonil cały jej majątek, po czym zostawił ją samą z maleńkim synkiem. Niedługo potem zginął w pijackiej burdzie.

- Nie wiedziałam - powiedziała Leksi ze współczuciem. - Dawniej o tym nie wspominałeś.

- Nie jest to dla mnie powód do dumy. Sam nie wiem, dlaczego teraz zanudzam cię tą opowieścią - odrzekł Mark z przepaszającym uśmiechem.

- To nie jest nudne. Co się stało z twoją babcią i jej dzieckiem?

- Żyli na łasce rodziny, póki mój ojciec nie podrósł na tyle, by zacząć zarabiać na życie. Opiekował się matką aż do jej śmierci. Poszczęściło mu się, bo spotkał i poślubił szacowną młodą damę z Northampton, córkę właściciela tamtejszej manufaktury, i starał się zapomnieć o pokrewieństwie z Rawdonami z Somerset. Przypadkiem przeczytałem w gazecie wzmiankę o śmierci Johnny'ego i napisałem list kondolencyjny. Mój ojciec zmarł rok wcześniej i uznałem, że czas zakończyć właśnie.

- Nie miałeś pojęcia, że jesteś jedynym dziedzicem rodowego majątku? - spytał Richard.

- Najmniejszego! Pewnie powinienem o tym wiedzieć, ale się tym nie interesowałem.

Wychowywałem się w środowisku kupieckim, nie przypuszczałem więc, że będę tu mile widziany.

- Co za nonsens. Bardzo się cieszę, że napisałeś, Marku.

- Ja też, Leksi. Nie tylko ze względu na siebie, ale również ze względu na twojego ojca. - Mark pochylił się i nakrył dłonią rękę Leksi. - Cieszę się, że byłem przy tobie.

Richard, który przyglądał mu się w zamyśleniu, wstał.

- Wszyscy się cieszymy - oświadczył energicznie. - Rawdon, w biurku sir Jeremyego zostało jeszcze kilka dokumentów, do których nie zaglądałem. Kiedy się z tym uporam, oddam ci klucz i biurko wraz z zawartością będzie twoje. Czy mógłbym się tym zająć?

- Oczywiście. Jeśli Leksi będzie miała ochotę, zabiorę ją w tym czasie na przechadzkę wokół domu. Mogę?

- Jasne - odparł Richard po krótkim wahaniu. - To nie potrwa długo.

Początkowo Leksi była szczęśliwa, że może odwiedzić rodzinny dom, jednak wspomnienia okazały się zbyt bolesne, zostawiła więc Marka w stajniach, pogrążonego w rozmowie z koniuszym. Wróciła do domu i znalazła męża w bibliotece, tak jak się spodziewała. Stała w progu. Richard nie usłyszał jej wejścia. Był pogrążony w lekturze kartki, która wyglądała jak wyrwana z zeszytu. Jego twarz wyrażała taką wściekłość, że Leksi wstrzymała oddech. Ten człowiek byłby w stanie zabić. Kiedy jednak dostrzegł ją w drzwiach, jego twarz zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zmiał kartkę i schował ją do kieszeni.

- Myślałem, że dłużej będziesz na dworze - powiedział. - Na pewno się nie znudziłaś.

Wspomnienia sprawiły ci ból?

- Trochę - przyznała Leksi, ciągle jeszcze pod wrażeniem tego, co zobaczyła. Zachodziła w głowę, co takiego było napisane na tej kartce, że zmieniło Richarda w obcego człowieka.

Wczoraj wieczorem również widziała w lustrze twarz nieznanego mężczyzny, pełnego głębokich uczuć, całkiem innego od chłodnego i opanowanego Richarda Deverella. -Przypuszczałam, że skończyłeś. Chyba powinniśmy wracać. Zrobi się ciemno, zanim dotrzemy do domu.

- Do domu?

Leksi zaczerwieniła się.

- Do twojego domu. I mojego również, jak sądzę. Innego nie mam. Już nie.

- Biedactwo - szepnął Richard. Podszedł do Leksi, przyciągnął ją do siebie i objął tak mocno, że czuła bicie jego serca. - Nie, nie odpychaj mnie - poprosił. - Chcę cię tylko pocieszyć, jesteś bezpieczna. Wrócimy do domu, jak tylko uporządkuję dokumenty.

Leksi stała przez chwilę w ramionach męża, czując gorzyc i żal. Wszystko mogłoby być inaczej; mogli wracać z Richardem do Channings, ich wspólnego domu, pełni miłości i wzajemnego zaufania... Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że Richard jest człowiekiem godnym zaufania. Może i mówił prawdę o papie, nie powiedział jednak wszystkiego. Śmierć Johnny'ego stała między nimi. Dopóki nie pozna prawdy także w tej kwestii, nie będzie mowy o prawdziwej bliskości pomiędzy nią a mężem.

Uwolniła się z jego ramion.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Po kilku minutach, zaprosiwszy Marka do Channings, odjechali.

Wracali w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Leksi zastanawiała się, dlaczego, przeglądając dokumenty ojca, nie znalazła kartki, na którą natrafił Richard. Nawet ze znacznej odległości poznała, że była to kartka wydarta z dziennika jej ojca. Wróciła pamięcią do chwili, gdy odkryła, że Richard zabił Johnny'ego. Dwa dni przed ślubem przeglądała dokumenty, żeby wybrać te, które chciała zabrać z sobą do Channings. Znajdował się wśród nich dziennik ojca. Kiedy wzięła go do ręki, ze środka wypadła luźna kartka. Nosiła datę z początku czerwca, kilka tygodni po śmierci Johnny'ego. Kilkakrotnie przeczytała słowa skreślone doskonale sobie znanym charakterem pisma, bo nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Do dziś byłem pewien, że Richard Deverell to człowiek honoru. Trudno mi uwierzyć, że on, którego traktowałem jak własnego syna, okłamał nas. Wygląda na to, że nie tylko był na miejscu, kiedy Johnny zginął - czemu zawsze zaprzeczał - ale w dodatku zainscenizował wszystko tak, żeby stworzyć wrażenie, iż Johnny zabił się przypadkowo. Dlaczego to zrobił? Nie wierzę, że mój syn odebrał sobie życie. Z jakiego powodu miałby posunąć się do tak przerażającego czynu? A może to Richard Deverell zabił Johnny'ego przypadkowo i ukrył prawdę, żeby ocalić własną skórę? Czy tak właśnie było? Czy Richard Deverell mógłby po tym patrzeć w lustro? Może sądzi, że będzie męczyl się zbyt długo? Jutro wyjeżdża, żeby dołączyć do swego regimentu w Belgii. W każdej chwili mogą tam wybuchnąć walki.

Posłałem po niego. Muszę dowiedzieć się prawdy przed jego wyjazdem. Okłamał nas czy nie? Na dole strony znajdował się dopisek, rozwiewający wszelkie wątpliwości. Ojciec był wyraźnie rozstrojony, na co wskazywało nierówne pismo i urywane zdania. Jednak przesłanie było jasne. Dziś wieczór czułem się tak, jakbym dźwigał wielki ciężar. Rozmawiałem z Deverellem. Przyznał się, choć odmówił odpowiedzi na pytanie, dlaczego to uczynił. Co mam o tym sądzić? Mój biedny chłopiec! Mój biedny, biedny chłopiec!

Leksi znalazła się na skraju załamania nerwowego, świadoma, że pomimo zdrady Richarda będzie musiała go poślubić, aby ratować Rawdon. Znalazienie tej kartki sprawiło, że całkowicie przestała się kontrolować. Richard zabił jej brata, przez przypadek, a może i nie! A ponieważ uniknął śmierci pod Waterloo, na nią spadł obowiązek odebrania mu życia dla dokonania zemsty. Pełna gniewu i rozpacz, obsesyjnie myślała o odwecie, snuła plany ze sprytem cechującym często osoby szalone. Ukryła w zakrystii pistolet ojca, zaplanowała, ślub, podpisanie dokumentów, wręczenie aktu darowizny i wreszcie moment kulminacyjny, gdy Richard poniesie karę za zbrodnię. W końcu jednak nie była w stanie go zastrzelić.

Jadąc aleją do Channings, Leksi doszła do wniosku, że miała szczęście. Kiedy przespała trzy doby i uwolniła się od nieustającego stresu, wróciła jej zdolność logicznego myślenia i nabrała pewności, że Richard nie kłamał w sprawie ojca. Rzeczywiście próbował powstrzymać szantażystę. Umowa, którą zaproponował w zakrystii, nie tylko uchroniła ją przed popełnieniem zbrodni, ale również dawała nadzieję, że prześladowca ojca nie pozostanie bezkarny.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Richarda. Skoro myliła się w ocenie jego zachowania w stosunku do ojca, to może również zbyt pochopnie oskarżyła go o śmierć brata? Ze smutkiem uznała, że niepotrzebnie się łudzi. Notatka w dzienniku ojca była jednoznaczna. Musiała poczekać na wyjaśnienia Richarda, o ile zechce ich udzielić. Najpierw jednak powinni znaleźć nikczemnika, który szantażował jej ojca. Potem przyjdzie czas na badanie okoliczności śmierci brata.

Gdzie Richard znalazł kartkę, którą zmiął i schował do kieszeni? Leksi była pewna, że poprzednio nie było jej na biurku. Postanowiła rzucić na nią okiem, i to jak najszybciej. Tego wieczoru obiad zjedli razem, następnego również. Richard większość dnia spędził w majątku, a Leksi przeglądała pudła i skrzynie, przysłane z Rawdon jeszcze przed ślubem. Przedtem nie poświęciła im zbyt wiele uwagi, teraz jednak potrzebowała ubrań i przedmiotów osobistego użytku. Starła się nie myśleć o tym, co będzie później. Richard zadbał o to, by nie powstały plotki o ich małżeństwie, i Leksi, wbrew temu, co powiedziała podczas rozmowy w bibliotece, była mu za to wdzięczna. Postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, by podtrzymać wrażenie małżeńskiej idylli.

Leksi, korzystając z pomocy pokojówki Cissie, wybrała suknie, szale, kapelusze, które mogły się jej przydać w nadchodzących miesiącach, i ustawiła drobiazgi osobiste na komodach i stolikach. Pochowanie pozostałych rzeczy zostawiła pokojówce i zeszła na dół, by dotrzymać towarzystwa lady Honorii.

Zawarły z ciotką Richarda coś w rodzaju rozejmu. Starsza pani nadal nie była pewna, jak się zachowywać w zaistniałej sytuacji, ale kochała bratanek i nie chciała mu jeszcze bardziej komplikować życia. Postanowiła więc zapomnieć o wszystkim, co wiązało się ze ślubem, także o zobowiązaniu Richarda. Żywiła nadzieję, że pozostali również o tym zapomną.

- Wygląda na to, że już całkiem doszłaś do siebie, Leksi - odezwała się na powitanie. - Bardzo się cieszę. Za dzień lub dwa będziesz chyba gotowa przejąć obowiązki pani domu. A jest tu wiele do zrobienia. Matka Richarda miała mnóstwo planów, ale zmarła, biedaczka, zanim zdążyła wprowadzić je w życie.

- Może zapisała swoje pomysły albo zrobiła szkice?

- Tak, na pewno. Muszą być gdzieś w bibliotece, pewnie w tym wielkim biurku. Richard na pewno je znajdzie.

Serce Leksi zabiło mocniej.

- Tam trzyma ważne dokumenty? - zapytała.

- Niektóre. Inne chowa w sypialni. Nie w tej, w której sypia obecnie. W komnacie sypialnej pana domu.

- Gdzie to jest?

- Drugie drzwi od twojej sypialni. Te pokoje są połączone.

- Ach tak

- Teraz, kiedy wróciłaś do zdrowia - powiedziała lady Honoria, świdrując Leksi wzrokiem - Richard przeniesie się pewnie do sypialni pana domu. Gdyby tego nie zrobił, powstałyby plotki, bo przecież jesteście tuż po ślubie. Takie rzeczy zawsze wychodzą na jaw.

- Tak, oczywiście - przyznała Leksi z ociąganiem. - Nie zdawałam sobie sprawy...

- A inne plany? Powiedz mi, czy zamierzacie spędzić Boże Narodzenie w Channings?

- Chyba tak. Chociaż Richard wspominał o kupnie nowego powozu i koni. Może to oznacza, że planuje wyjazd do Londynu.

- A, tak Londyn. Ze zdumieniem dowiedziałam się od Mary Shackleton, że odniosłaś wielki sukces podczas ubiegłorocznego sezonu.

- Dlaczego właściwie była pani zdziwiona? Czyżbym była taka paskudna?

- Nie mam zastrzeżeń do twojego wyglądu, choć musisz przyznać, że masz dość oryginalną urodę. Nie, moje wątpliwości dotyczyły raczej twojego zachowania. Londyńska socjeta chętnie krytykuje wszystkich, którzy odbiegają od normy. Skoro odniosłaś sukces podczas sezonu, to najwyraźniej bardzo się zmieniłaś od naszego ostatniego spotkania.

Leksi zarumieniła się, ale odpowiedziała spokojnie.

- Wszyscy się z czasem zmieniają, proszę pani. Czy jako mała dziewczynka była pani równie szczerą jak obecnie? Trudno mi w to uwierzyć.

Zaskoczona lady Honoria milczała przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Niech no bym tylko spróbowała - odparła, gdy się uspokoiła. - Dostałabym lanie. Musisz mi wybaczyć. Bardzo kocham Richarda. Chciałabym, żeby miał wszystko co najlepsze. Jest teraz ważną osobistością i potrzebuje żony, która potrafi zachować się jak należy w rozmaitych sytuacjach, prowadzić dom w Channings na odpowiednim poziomie i oczywiście uczestniczyć w życiu towarzyskim Londynu. Przyznaję, że początkowo zmartwił mnie jego wybór. Jednak ze słów Mary Shackleton wnioskuję, że mogłabyś podołać tym obowiązkom. A teraz, kiedy podźwignęłaś się z załamania nerwowego, nie widzę powodu, byście nie byli z Richardem szczęśliwi. Jutro wyjadę z Channings.

- Nie!

- Już wysłałam wiadomość, kiedy można oczekiwać mojego powrotu. Uzgodniłszy przecież, że powinniśmy unikać plotek. W czasie twojej choroby moja obecność tutaj była w pełni zrozumiała. Teraz, gdy wróciłaś do zdrowia, muszę zostawić was samych. Nie patrz tak na mnie, nie zmienię decyzji.

Starsza pani pozostała nieugięta i Leksi zrezygnowała z prób jej przekonania. Na myśl o pozostaniu sam na sam z Richardem wpadła w panikę. Przeprosiła lady Honorię i wróciła na górę.

Pokojówka rozpakowała wszystkie kufry i zaniósła je na strych. Ustawiła na tacy kilka drobiazgów, a na stoliku w rogu pokoju stertę książek i dokumentów. Znajdował się wśród nich dziennik sir Jeremy'ego, który Leksi znalazła po śmierci ojca. Wzięła go do ręki i odszukała zapiski z początku czerwca. Jedną z kartek wydarto; znajdowała się w skrytce pod wieczkiem kasetki z biżuterią, należącej do Leksi. Przeglądała dziennik jak przed miesiącem, dopóki przy pierwszych dniach lipca nie znalazła tego, czego szukała. Kolejnych śladów wydarzenia kartki. Czy to ją właśnie zabrał Richard? Co takiego ważnego wydarzyło się w lipcu?

Wróciła Cissy, więc Leksi odłożyła dziennik. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem; oświadczyła, że wybiera się na przejażdżkę. Zawiadomiono stajnie, szybko się przebrała i po chwili stała na dziedzińcu, przyglądając się, jak starszy stajenny siodła ognistą gniadą klacz. Stajenny, Will Osborne, przybył wraz z nią z Rawdon Hall. Nie mogła go zostawić Markowi, należał do najbardziej zaufanych ludzi ojca, a Leksi znała go od urodzenia.

- Nie widziałam jeszcze tej klaczki, Willu! - zawołała. - To prawdziwa piękność.

- Jego lordowska mość kupił ją tydzień temu, panno Leksi... przepraszam, milady. Niech mi wolno będzie powiedzieć, że bardzo się cieszę, widząc milady w dobrym zdrowiu.

- Dziękuję. Dlaczego nigdy dotychczas jej nie widziałam?

- Została przywieziona dopiero dzisiaj. Jest przeznaczona dla pani pod wierzch.

- Nawet gdyby nie była dla mnie przeznaczona, i tak bym ją wzięła na przejażdżkę. Nie mogę się już doczekać, żeby ją wypróbować.

- Ma za sobą długą drogę, a nie widać po niej zmęczenia. Będzie pani z niej zadowolona. Jego lordowska mość zawsze miał dobre oko do koni. Podobnie jak panicz Johnny.

- Jedźmy. Pomóż mi wsiąść.

Wyjechali z dziedzińca przed stajniami, Osborne podążał kilka kroków za swoją panią. Zbliżyli się do bramy, kiedy Leksi dostrzegła Richarda, zmierzającego ku nim na Castorze. Powitał ją swym dawnym, na poły kpiącym, na poły serdecznym uśmiechem. Przez ułamek sekundy miała ochotę wyjechać mu na spotkanie, wzięła się jednak w garść i ściągnęła wodze, by na niego zaczekać.

- Jak ci się podoba klaczka? - zapytał.

- Jest śliczna. - Słowa zabrzmiały dość sztywno, ale Leksi nie potrafiła zdobyć się na spontaniczną odpowiedź. Podjęła kolejną próbę ze względu na obecność stajennego. - To naprawdę cudowna niespodzianka. Jak jej na imię?

- Pomyślałem, że moglibyśmy ją nazwać Faith* [ang. *Wiara*]. A może wolałabyś Hope**[ang. *Nadzieja*]? Wybierasz się na przejażdżkę?

- Miałam ochotę na ostry galop, ale muszę najpierw zapoznać się z tą ślicznotką. Może potem podejmę decyzję w sprawie jej imienia. - Poklepała szyję konia.

Richard zatoczył koło na swoim wierzchowcu.

- Mogę ci towarzyszyć?

- Oczywiście. Pojedziemy do zamku? Stamtąd jest wspaniały widok na łąki.

- Dobry pomysł. Chyba możemy zwolnić Osborna. Stajenny oddalił się ze znaczącym uśmiechem. Jakże się mylisz, stary przyjacielu, pomyślała Leksi. Wolałabym twoje towarzystwo, wcale nie mam ochoty zostać sam na sam z mężem. To nie jest prawdziwy miesiąc miodowy.

Zamek nie był budowlą, lecz systemem starych szanćów, otaczających płaski szczyt wzgórza. Pierwotni właściciele opuścili go dawno temu, ale punkt obserwacyjny, z którego mogli śledzić poczynania wrogów, wykorzystywano dotychczas, ponieważ roztaczał się z niego doskonały widok na okolicę. W słoneczne dni można było nawet dostrzec w oddali wybrzeże Dorset. W dzieciństwie Richard i dwójka Rawdonów często wspinali się na stok. W lecie wracali do domu poplamieni sokiem z czarnych jagód, a jesienią z kieszeniami wypchanymi orzechami laskowymi i kasztanami, niekiedy zaś z grzybami. Zimą zbierali szyszki sosnowe, a wiosną rozglądali się za pierwszymi kwiatami jaskółczego ziela i pierwiosnkami. Zamek był jednym z ulubionych terenów ich zabaw.

Leksi i Richard podjechali galopem, u podnóża góry ściągnęli wodze i zsiadli. Niesforne włosy Leksi wymknęły się spod siatki, zdjęła więc kapelusz, żeby doprowadzić je do porządku.

- Zdała egzamin? - zapytał Richard, wskazując ruchem głowy klacz.

Leksi zapomniała o włosach. Z kapeluszem w dłoniach zwróciła ku mężowi rozpromienioną twarz.

- Jest piękna. To prawdziwa dama. Będę ją nazywać Donia. To po hiszpańsku dama, prawda? Dziękuję, Richardzie.

Stali bardzo blisko siebie. Richard przesunął palcami po twarzy Leksi. Przeszył ją dreszcz, kapelusz wysunął jej się z ręki, ale nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby go podnieść. Patrzyła na Richarda szeroko otwartymi oczami. Uśmiechnął się i wsunął dłoń we włosy Leksi. Poruszyła głową, jakby domagała się pieszczot, a wtedy Richard zawładnął jej ustami.

Nie miała czasu protestować, zresztą wcale tego nie chciała. Wydawało jej się, że pocałunek stanowił punkt kulminacyjny wieloletniej przyjaźni i radosnych wspomnień związanych z tym miejscem. Richard nie przyciągnął jej do siebie, w każdej chwili mogła się odsunąć. Jej ramiona, wiedzione własną wolą, otoczyły jego szyję i, to Richard, a nie ona znalazł się w niewoli.

Zareagował natychmiast, choć wyraźnie starał się panować nad sobą. Nie pocałował żony powtórnie, ale objął ją i przyciągnął do siebie.

- Aleksandro - szepnął.

Chłonęli spokój tego miejsca i czuli, że opuszczają ich złe emocje. Po pewnym czasie Richard puścił Leksi.

- Dziękuję - powiedział.

Stali na krawędzi stoku, wpatrując się w rozciągający się przed nimi krajobraz. Leksi odetchnęła głęboko.

- Powinam tu przyjść dużo wcześniej - wyznała. - Tutaj człowiek jest jakby zawieszony pomiędzy niebem a ziemią i nie ma tu miejsca na żal czy gniew. Spójrz, powietrze jest dziś tak przejrzyste, że widać morze.

Richard odwrócił wzrok od jej twarzy i popatrzył na krajobraz.

- Jest jeszcze tak zielono. W Hiszpanii mielibyśmy przed sobą bezkres brązów i oranżu.

Tęskniłem za widokiem zieleni pól. Johnny także.

Powiedział to bez zastanowienia. Leksi odsunęła się gwałtownie na wzmiankę o bracie.

- Aleksandro, chciałbym przedstawić ci niezbite dowody, potwierdzające moją niewinność, ale to, niestety, niemożliwe. Przysięgam na własne życie, że nie zabiłem Johnny'ego! Ani celowo, ani przez przypadek.

Patrzyła na niego w milczeniu, pełna wrogości.

- Ojciec twierdził co innego - oświadczyła.

- Twój ojciec? Ależ on wiedział... - Urwał.

- Pokażę ci dowód, jeśli sobie życzysz. Możemy wracać?

Nastrój prysł. Richard schylił się, by podnieść jej kapelusz, dosiedli koni i w milczeniu pojechali w kierunku Channings.

Rozdział siódmy

Kiedy wrócili, był już czas przebierać się do obiadu. Richard odprowadził Leksi na górę i odszedł. Był bardziej milczący niż zwykle, ale zachowywał się z typową dla siebie uprzejmością i opanowaniem. Leksi nauczyła się jednak dostrzegać to, co kryło się pod doskonałymi manierami. Wyczuła gniew męża. Nie była zaskoczona, ale też mu nie współczuła. Richard rzadko wykorzystywał swój czar, ale ilekroć uciekał się do jego pomocy, tylekroć - jak twierdziła jego ciotka, lady Honoria - odnosił sukces. Dziś po południu również niemal mu się udało. Musiał być rozczarowany, że zdołała na czas odzyskać zdrowy rozsądek i oparła się jego urokowi.

Leksi podeszła do kasetki z biżuterią, choć nie musiała sobie przypominać zapisków ojca.

Wyjęła ukrytą pod wieczkiem kartkę. Przeczytała te same słowa, równie jednoznaczne jak zawsze. „Rozmawiałem z Deverellem. Przyznał się...”

Łzy napłynęły jej do oczu. Do licha z nim! Jak to możliwe, że Richard nadal potrafił oczarować ją tak, że zapominała o jego zbrodniach? Spojrzała na kartkę z dziennika. To niezbity dowód.

Nic dziwnego, że Richard się nim nie zainteresował. W konfrontacji z zapiskami ojca nie mógłby już się zaklinać, że jej nie okłamywał, że dalej jej nie okłamuje. Wsunęła kartkę z powrotem do schowka. Pozostanie tam, dopóki nie nadejdzie właściwy moment. Wówczas ją pokaże i przekona się, co Richard będzie miał na ten temat do powiedzenia.

Leksi najchętniej nie zeszlaby tego wieczoru na dół, ale nie miała wyboru. Zresztą był to ostatni wspólny posiłek z lady Honoria. Kiedy przyszła pokojówka, Leksi, jakby dla zaakcentowania podłego nastroju, wybrała czarną suknię i kazała Cissie zaczesać włosy do tyłu i upiąć w prosty, pozbawiony ozdób kok. Jeśli jednak chciała wyglądać brzydko, to kompletnie jej się to nie udało. Popołudniowa przejażdżka konna przywróciła jej oczom blask, a policzkom lekkie rumieńce. Ascetyczna fryzura podkreśliła nienaganny owal twarzy, a matowa czerń bynajmniej

nie przyćmiła jej urody, przeciwnie - stanowiła idealne tło dla mleczonej skóry, głębokiego błękitu oczu i lśniących włosów.

Richard czekał na żonę pod drzwiami i razem zeszli szerokimi schodami. Niezorientowany obserwator mógłby wziąć ich za dwoje obcych sobie ludzi, którzy przypadkowo gościli równocześnie w tym samym domu.

- Twoja ciocia uprzedziła, że jutro wyjeżdża - zagadnęła Leksi.

- Tak. Doszła do wniosku, że poradzisz sobie bez jej pomocy. Co o tym sądzisz?

- Teraz czy później, to bez różnicy - odparła. - Zauważyłam, że Channings właściwie prowadzi się samo. Lady Honoria pewnie nie może się już doczekać, żeby wrócić do własnego domu.

- To pewnie jeden z powodów.

Richard nie próbował przerwać ciszy, która zapadła po tym stwierdzeniu, i Leksi podjęła konwersację.

- Lady Honoria powiedziała, że twoja matka zaplanowała zmiany wystroju niektórych pokoi. Zachowałeś jej notatki? Mogłabym je zobaczyć?

- Oczywiście. Przygotuję ci je. Choć muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Nie rozumiem, czemu cię to interesuje.

- A nie powinno?

- Chyba niezbyt długo zabawisz w tym domu, nie przypuszczałem więc, że będziesz chciała cokolwiek w nim zmienić - zauważył.

Znaleźli się już u stóp schodów. Leksi spojrzała na męża.

- To ty proponowałeś, żebyśmy zachowywali się tak, jakby w marcu nie miało się wydarzyć nic szczególnego, Deverell. Zmieniłeś zdanie?

- Oczywiście, że nie. Wybacz. Czasami trudno mi zachować optymizm czy nawet tylko cierpliwość, kiedy widzę, że podejrzewasz, iż postąpiłem nikczemnie.

- To nie podejrzenie, Deverell - stwierdziła Leksi, kiedy wchodzili do salonu. - To pewność.

Później, kiedy służba sprzątnęła już nakrycia po obiedzie, znów zaczęto rozmawiać o planach poprzedniej lady Deverell, związanych z dworem.

- Nie ma sensu snuć teoretycznych rozważań, Leksi - oświadczyła lady Honoria. - Poproś panią Chowen, żeby oprowadziła cię po domu. Będziesz miała lepsze rozeznanie, co należy zmienić.

- Zrobię to jutro po pani wyjeździe. Zakładam, że nadal jest pani zdecydowana nas opuścić?

- Oczywiście. Od tej chwili będziecie sami rozwiązywać swoje problemy. Staralam się nadać temu małżeństwu przynajmniej pozory normalności.

- Co masz na myśli? Jakie problemy? - zapytał Richard.

- Nie próbuj mi wmawiać, że wszystko wam się układa, bo nie uwierzę. Nie wiem, co w was dzisiaj wstąpiło, ale widzę, że nie możecie nawet na siebie patrzeć. - Przez chwilę mierzyła ich ostrym spojrzeniem, potem złagodniała i podjęła: - Na pewno dojdziecie do porozumienia.

Richard powinien w najbliższym czasie zająć się urzędami pokoju dziecinnego; Channings potrzebuje dziedzica. - Zauważyła wyraz twarzy młodych i westchnęła. - Przypuszczam, że nie musicie się lubić, żeby mieć dzieci, choć to niewątpliwie mogłoby pomóc.

Leksi z trudem powstrzymała wybuch histerycznego śmiechu. Po pierwszych słowach Richarda jej rozbawienie minęło, jak ręką odjął.

- Oczywiście, ciociu, masz rację - powiedział, bawiąc się kieliszkiem wina. - Zawsze chciałem, żeby w Channings pojawiły się dzieci. - Uśmiechnął się niewesoło na widok miny Leksi. - Co się stało, Aleksandro? Chyba nie sądziłaś, że - niezależnie od naszych wzajemnych uczuć - dopuszczę, by Channings trafiło w obce ręce?

- Ja w ogóle o tym nie myślałam...

- A nawet gdyby, to i tak pewnie byś się nie przyznała - zauważyła lady Honoria. - Dziewczęta nie powinny za wiele wiedzieć o tych sprawach. Nie martw się, Leksi. Richard wszystkiego cię nauczy, nie wątpię, że ma w tej materii niejaki doświadczenie. A jeśli zdołasz go polubić, to niewykluczone, że będzie ci to nawet sprawiało przyjemność.

- Musisz wybaczyć mojej ciotce bezpośredniość – wtrącił Richard. - Wychowywała się w innej epoce. Jej brak delikatności nie powinien wprawiać cię w zakłopotanie.

- W moich czasach, może i swobodniejszych, kobiety doskonale znały swoje obowiązki - stwierdziła stanowczo lady Honoria. - Leksi nie może się od nich wymigać. Wie z własnego doświadczenia, jak to jest, kiedy tytuł może wygasnąć z powodu braku męskiego spadkobiercy, a majątek rodowy przejść w obce ręce. Wiadomo, do czego sama się posunęła, byle tylko przekazać Rawdon Hall sir Markowi.

Zapadła cisza. Leksi pochyliła głowę. Było jej wstyd. Przez cały ten czas troszczyła się wyłącznie o Rawdon. Ani przez chwilę nie pomyślała, co bezpotomna śmierć Richarda oznaczałaby dla Channings i pozostałych dóbr Deverellow.

Spojrzała na męża. Siedział u szczytu stołu, obracając w palcach pusty kieliszek. Arystokrata w każdym calu, ostatni potomek sławnego rodu. Przeniosła wzrok na jego dłonie. Smukłe, długie palce, wąskie, ale silne nadgarstki. A gdyby te ręce dotknęły jej ciała? Gdyby przyznała mu prawo do zasiania w niej nowego życia? Gdyby miała dziecko Richarda?

Drgnęła, słysząc swoje imię.

- Przepraszam?

- Powiedziałam, że muszę jutro wcześniej wstać, zamierzam więc już teraz udać się na spoczynek

- oświadczyła lady Honoria. - Życzę wam obojgu dobrej nocy. Pamiętaj, co powiedziałam.

Teraz, kiedy Richard wrócił do swej dawnej sypialni, będzie o to łatwiej - dodała i wyszła.

Zapadło milczenie.

- To musiało być dla ciebie żenujące - powiedział Richard. - Przepraszam, Aleksandro.

- Za co? To stara kobieta, która mówi, co myśli. Jest dumna ze swojej rodziny, tak jak ja ze swojej. I ma rację. Zrobiłam wszystko, byle tylko Rawdon Hall pozostało w rękach Rawdonów...

- Urwała, po czym zawołała - Nie wiem, co dalej!

- W tej chwili i ja nie wiem. Mówiłem serio - Channings nie może przejść w obce ręce.

- Dlatego wróciłeś do swoich dawnych pokoi? Nie przypominam sobie, żebym kazała gospodyni je przygotować.

Richard westchnął.

- Uprzedziłbym cię, ale sam o niczym nie wiedziałem. Kiedy przywiozłem cię tutaj po ślubie, powiedziałem pani Chowen, że będę spał w innym skrzydle, aby zapewnić ci zalecany przez doktora Loudona spokój. To była doskonała wymówka. Obawiam się jednak, że kiedy wstałaś z łóżka, gospodyni doszła do wniosku, iż wrócę do poprzedniej sypialni. Wolałbym jej nie wyjaśniać, że sobie tego nie życzysz. Ale nie bój się. To niczego nie zmieni w naszej sytuacji... dopóki nie będziesz gotowa.

Lady Honoria wyjechała z samego rana w towarzystwie pokojówki, stangreta i dwóch koniuszych. Richard i Leksi odprowadzili ją do powozu. Podziękowała im za gościnę i życzyła szczęścia, po czym odjechała, powstrzymując się, ku ogromnej uldze obojga młodych, od dalszych rad.

Richard odprowadził wzrokiem znikający w oddali powóz.

- Ileż się wydarzyło od chwili, gdy ciotka Honoria przyjechała tutaj, żeby uczestniczyć w moim ślubie - zauważył. - Kilka razy nawet ona nie miała pojęcia, jak się zachować. Bóg jeden wie, co

jeszcze nas czeka, zanim tu ponownie zawita. - Przez chwilę daremnie czekał na reakcję Leksi i podjął: - Chodź, Aleksandro. Pokażę ci plany matki. Są w moim pokoju.

Leksi ruszyła za nim do jego sypialni. Była taka jak jej własna, z dwoma oknami wychodzącymi na jezioro. Zawahała się w drzwiach, gdy wyczuła lekki, męski zapach, kojarzący jej się nieodmiennie z Richardem. Pomiędzy oknami stała toaletka z lustrem, zestawem oprawnych w srebro szczotek i innych męskich drobiazgów. Szlafrok z ciemnoczerwonego jedwabiu wisiał przerzucony przez oparcie fotela, a łóżko przykrywała narzuta z takiego samego materiału. Na prawo od łóżka znajdowały się drzwi prowadzące do garderoby, przez którą można było przejść do sypialni Leksi. Naprzeciw łóżka, pomiędzy kominkiem a lustrem, stał misternie intarsjowany sekretarzyk z czasów królowej Anny.

Richard nie czekał na żonę. Zdecydowanym krokiem podszedł do stolika pomiędzy oknami i najpierw zatrzasnął wieczko niewielkiego srebrnego pudełeczka, a dopiero później wziął z tacy ze szczotkami klucz i podszedł do sekretarzyka. Otworzył kłapę i oczom Leksi ukazały się nader interesujące szufladki i schowki wokół centralnej szafeczki wypełnionej porządnie poukładanymi teczkami i papierami. Richard wyjął jedną z teczek, odwrócił się i dopiero w tej chwili zauważył, że Leksi zatrzymała się w progu.

- A! Zostałaś zwabiona do jaskini lwa - rzekł z krzywym uśmiechem. - Tak przecież pomyślałaś, prawda?

- Wcale nie. Ja tylko... oglądałam pokój. Masz taki sam widok jak ja? - Podeszła do okna, żeby ukryć zdenerwowanie. Zobaczyła znajomą ławkę, schodzącą pochyło ku brzegowi jeziora. Podskoczyła, kiedy mąż dotknął jej ramienia.

- Mam notatki mamy - powiedział, cofając się. - Proponuję, żebyśmy zabrali je na dół. A może wolałabyś najpierw obejrzeć dom?

Leksi wzięła się w garść. Nadarzyła jej się sposobność wyśledzenia, gdzie Richard mógł ukryć stronicę z dziennika, którą czytał w bibliotece w Rawdon, i nie powinna takiej okazji zmarnować. Intarsjowany sekretarzyk, najbardziej oczywisty schowek, stał akurat otworem.

- Jest śliczny - stwierdziła i pieszczotliwie pogładziła mebel. - Uwielbiam takie sekretarzyki, w których można ukryć najcenniejsze skarby, listy miłosne i tym podobne. - Przesunęła palcem wzdłuż linii intarsji na szufladkach i wyciągnęła rękę ku teczkom...

- Obawiam się, że nie znajdziesz tu nic romantycznego - oświadczył Richard i podszedł, żeby zamknąć pokrywę sekretarzyka. - Większość z tych listów to służbowa korespondencja z okresu, gdy byłem w wojsku.

-I nie ma tu żadnych sekretnych szufladek? Ani listów miłosnych od hiszpańskich księżniczek?

- Nic z tych rzeczy. Jest tu tajemna skrytka, obawiam się jednak, że nie znalazłabyś w niej nic interesującego.

- Pokaż mi.

- Nie bądź dzieckiem, Aleksandro. Gdybym ci pokazał tajemną skrytkę, to natychmiast przestałaby być tajemna, prawda? Zejdziemy na dół?

Zdecydowanie podszedł do drzwi i Leksi, rada nie rada, musiała ruszyć za nim.

Chociaż sporządzone przez poprzednią lady Deverell projekty zmiany wystroju wnętrz pochodziły sprzed trzydziestu lat, nic nie straciły na atrakcyjności. Leksi studiowała je przez godzinę, od czasu do czasu pomrukiwała z uznaniem, dodawała swoje komentarze, niekiedy zadawała pytania siedzącemu w sąsiednim fotelu Richardowi. Była oczarowana i zachwycona. Rawdon było starym dworzyszczem o grubych murach i wąskich okienkach. W zimie zapewniało domownikom ciepło, a latem chłód, ale w jego wnętrzach panował półmrok. Nie dałoby się go zmienić w nowoczesny budynek i sir Jeremy nawet tego nie próbował.

Natomiast dwór w Channings został wybudowany na dawnych fundamentach w pełnym wdzięku neoklasycyźnym stylu, z wielkimi oknami i przestronnymi pomieszczeniami. Idealnie pasowały tutaj pastelowe barwy, jakie wymarzyła sobie lady Deverell. Leksi zapomniała o swej niepewnej przyszłości i rozkoszowała się myślą o wprowadzeniu tych projektów w życie.

- Twoja matka była niebywale uzdolnioną kobietą - powiedziała z entuzjazmem. - Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć, jak ten dom będzie wyglądał.

Richard wstał.

- Czy mam poprosić panią Chowen, by cię oprowadziła? Wielu pomieszczeń jeszcze nie widziałaś.

- Dziękuję, ale zanim wyjdiesz, wyjaśnij mi, co to za dodatkowe szkice.

Richard stanął tuż przy niej.

- Mama zamierzała dobudować salę balową.

- Salę balową?!

- Tak. Uwielbiała towarzystwo i postanowiła zrealizować marzenie trzeciego lorda Deverella: rozsławić Channings jako miejsce wydawania wspaniałych balów. Niestety, potem umarła.

- Biedna - szepnęła Leksi. Richard kiwnął głową.

- Zobaczyłaś już w tych planach wszystko, co chciałaś? Niestety, muszę cię opuścić. Obiecałem zajrzeć rano do jednego z gajowych, a minęło południe. Przed odjazdem przysię ci panią Chowen.

- Dziękuję! - zawołała Leksi, kiedy był już przy drzwiach.

Dwór był większy, niż Leksi przypuszczała, i zwiedzenie go zajęło jej całe popołudnie. Pani Chowen uparła się, żeby pokazać wszystkie zakamarki, nawet spiżarnię i magazyn naczyń stołowych. Gospodarstwo domowe było prowadzone wzorowo. Służba wykonywała obowiązki gorliwie, ale i z pełnym szacunku uśmiechem. Pani Chowen miała powody do dumy. Została gospodynią Channings po czterdziestu latach służby i odnosiła się do młodej pani z pewnego rodzaju matczyną pobłażliwością. Związała swe losy z rodziną jeszcze przed przyjściem na świat Richarda i oczywiście znała poprzednią lady Deverell.

- Piękna pani. Poprzedni dziedzic bardzo ją kochał. Szkoda, że nie widziała ich pani razem, milady. On czcił ziemię, po której stąpała. Kiedy się pobrali, miał czterdzieści lat, a ona dziewiętnaście. Po jej śmierci już do końca życia nie chciał nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Zresztą na pewno sama pani o tym wie, jest pani miejscowa. Podobno wszyscy mężczyźni z rodu Deverellow są tacy. Kiedy dokonają wyboru, to już na zawsze. - Skłoniła lekko głowę i dodała z uśmiechem: - Obecny lord jest z pewnością taki sam.

- Mam... nadzieję - odparła nerwowo Leksi. - A jak się nazywa ten pokój?

- Błękitny salonik. To był ulubiony pokój milady, po jej śmierci poprzedni lord Deverell nie pozwalał tu nikomu wchodzić. Dopiero pan Richard kazał go odkurzyć i przewietrzyć przed pani przyjazdem. Sądził, że może chciałaby pani z niego korzystać.

- Jest... bardzo troskliwy.

- To prawda. Nie wierzyliśmy, że uda się utrzymać go przy życiu. Był taki maleńki. To prawdziwy cud, że przeżył.

- I jak wyrósł, pani Chowen! - zawołała Leksi z mimowolnym uśmiechem. - Dzisiaj nikt nie nazwałby go małym.

- Oczywiście, co ja gadam. Jest wspaniałym mężczyzną i bardzo dobrym panem. Wszystko świetnie się dla niego skończyło, podobnie jak dla Channings. Jego lordowska mość wrócił z wojny cały i zdrowy i szczęśliwie się ożenił. Tak, teraz będzie inaczej. - Spojrzała na pobladłą twarz Leksi. - Obawiam się, że jest pani wyczerpana, milady. Jego lordowska mość prosił,

żebym pani nie zmęczyła, a ja tymczasem trzymam panią na nogach od przeszło godziny. Czy chciałaby pani, żebym kazała rozpaść w kominku w błękitnym saloniku? A może kucharka przysłałaby coś dobrego do zjedzenia?

Udawanie, że jej małżeństwo z Richardem było tak idealne, jak wyobrażała sobie pani Chownen, kosztowało Leksi wiele wysiłku. Zjadła trochę przysłanych przez kucharkę frykasów, po czym wyciągnęła się na ustawionym przy oknie szeszlunku i wyjrzała na zewnątrz. Z tej strony teren wznosił się aż do niewielkiego zagajnika. Na trawnikach zostały posadzone wspaniałe drzewa, aby ich rozłożyste korony zapewniały latem cień. Teraz liście zaczynały już opadać, tworząc na trawie cudowny kobierzec utkany ze szkarłatu, miedzi i złota.

Leksi westchnęła. Channings wydawało się jej wręcz cudownym miejscem - zarówno ze względu na położenie, piękno domu, atmosferę starej siedziby z tradycjami, jak i na... samego Richarda. Kusilo ją, by zapomnieć o przeszłości, bardzo ją kusilo. Pozwoliła sobie na marzenia. Oczami wyobraźni zobaczyła obrazy z ich wspólnego życia pełnego wzajemnej miłości, z każdym rokiem silniejszej. Widziała pikniki na świeżym powietrzu, słyszała śmiech i muzykę w letnie noce, cieszyło ją światło świec, opromieniające ciepłym blaskiem ich twarze w zimowe wieczory... Zobaczyła też dzieci. Niemowlęta, tulone w ramionach, maleństwa, niepewnie stawiające pierwsze kroki i czekające, by tatuś je podniósł, kiedy upadły... Zapadła w sen z błogim uśmiechem na twarzy.

Kiedy otworzyła oczy, na dworze zapadał zmrok, a pokój oświetlał płonący w kominku ogień. Ktoś musiał tu przyjść, by go rozpaść. Przy kominku dostrzegła parę wygodnie wyciągniętych, długich nóg. Resztę sylwetki skrywało oparcie rozłożystego fotela.

- Richard? - zapytała miękko Leksi, pozostająca jeszcze pod wrażeniem cudownego snu.

Początkowo wydawało jej się, że nie usłyszał, bo nawet nie drgnął. Po chwili jednak wstał, podszedł do niej i przysiadł na brzegu szeszlunku.

- Wreszcie się ocknąłeś - powiedział. - Zaczynałem się zastanawiać, czy cię nie obudzić. Zaraz będzie obiad.

- Spałam?

- Nawet nie drgnęłaś, kiedy wszedłem.

- To ty napaliłeś w kominku?

- Starąłem się ciebie nie obudzić.

- Śniłam.

- To musiały być miłe sny. Uśmiechałaś się. -Richardzie...

- W ciągu kilku minut już drugi raz zwróciłaś się do mnie po imieniu. Wczoraj także powiedziałaś do mnie: Richardzie.

- Naprawdę? Chwilami zapominam, że cię nienawidzę.

- Rzeczywiście mnie nienawidzisz, Aleksandro?

- Staram się, ale to trudne. Nienawiść to destrukcyjne uczucie. I przyszłość rysuje się wtedy w tak ciemnych barwach.

Drżący blask ognia, wspomnienia uroczego snu i cisza, jaka zapadła po tych słowach, podziały na nią w dziwny sposób. Pomyślała, że może jednak, pomimo wszystko, mieliby szansę na wspólne życie. Głęboko nabrała powietrza i zapytała:

- Richardzie, zastanawiam się... a gdybyśmy tak... gdybyśmy odcięli się od przeszłości?

Gdybyśmy spróbowali zapomnieć o tym, co było? Sądzisz, że to możliwe? - Z napięciem czekała na odpowiedź, żałując, że nie mogła dostrzec ukrytej w cieniu twarzy Richarda. Cisza trwała długo, zbyt długo jak na jej gust.

- Powiedz mi, dlaczego zmieniłaś zdanie - odezwał się w końcu.

- Pod wpływem słów lady Honorii. Byłam małą dziewczynką, kiedy umarła moja mama i nie zdążyła mnie nauczyć, jak dziewczęta powinny podchodzić do małżeństwa. Nie wszystkie związki zawierane są z miłości. Ludzie potrafią przecież żyć z sobą bez romantycznych wzlotów. Dobrze, że lady Honoria przypomniała mi o obowiązkach i wskazała, jak bardzo mi zależało na zapewnieniu przyszłości Rawdon. Channings znajduje się w rękach Deverellow niemal równie długo jak Hall w posiadaniu Rawdonów. To mi dało do myślenia. Dotychczas nie zastanawiałam się, czym dla Channings byłaby twoja bezpotomna śmierć.

- A co z twoją awersją do człowieka, który zrujnował ci ojca i zabił brata?

- Nie zrujnowałeś mojego ojca. Wierzę w twoje wyjaśnienia. Próbowaleś go ratować.

- A co z bratem? - nie ustępował Richard. - Nadal uważasz, że go zabiłem? Pomimo moich zaprzeczeń?

- To całkiem inna sprawa. - Leksi wyczuła, że Richard zeszytniał. - Wierzę, że to był wypadek - oświadczyła desperacko. - Na pewno nie chciałeś go zabić. Chyba zdołam zapomnieć albo przynajmniej usunąć to z myśli. Z czasem.

Richard wstał.

- Co za kusząca perspektywa! - rzekł. - Niestety, nie takiego małżeństwa pragnę. Nie chcę żony, która „spełnia obowiązki małżeńskie”, żeby dać mi dziedzicę. I z całą pewnością nie chcę żony, która wzdraga się i odwraca wzrok, ilekroć w rozmowie padnie imię jej brata. W ciągu trzech lat wojny Johnny i ja niejednokrotnie ratowaliśmy sobie nawzajem życie. Był mi bliższy niż brat. Kiedy zmarł, zrobiłem dla niego wszystko, co w ludzkiej mocy. Dla niego i dla twojej rodziny, Aleksandro. Nie zabiłem go i niech mnie piekło pochłonie, jeśli zostanę ojcem dzieci, których matka będzie w głębi duszy uważała mnie za mordercę i kłamcę.

Leksi wstała z szeszlony i spojrzała mu w oczy.

- A w co mam wierzyć?! - krzyknęła. - Przecież odmówiłeś mi wyjaśnień! Ojciec uważał, że zabiłeś Johnny'ego i że przyznałeś się do tego! Chcesz powiedzieć, że papa kłamał? Tak? Tego oczekujesz?

- Nie wierzę, że twój ojciec coś takiego powiedział. Nie mógł!

- Mam dowód.

- Już to mówiłaś. Gdzie on jest? Pokaż mi.

- Pokażę!

Wypadła prawie pędem z błękitnego saloniku, wbiegła po schodach, nie oglądając się, żeby sprawdzić, czy Richard za nią idzie. W pokoju była Cissie, która szykowała dla swojej pani suknię na wieczór. Leksi kazała jej wyjść takim tonem, że pokojówka wybiegła bez słowa. W drzwiach minęła się z Richardem.

- Gdzie to jest?

Leksi wyjęła kartkę ze skrytki w kasetce z biżuterią. Na papierze widoczne były ślady łez, ale pismo pozostało czytelne. Richard przeczytał kartkę pod czujnym okiem Leksi. Zaciśnął zęby i odetchnął głęboko, zanim się odezwał.

- I to ma być ten twój „dowód”? Przyczyna sceny w zakrystii?

- To mało?

- Tak, do licha, to mało! - krzyknął z gniewem. - Pomyśleć tylko, że byłaś gotowa obwołać mnie przed całym światem kłamcą i oszustem, zastrzelić mnie, zniszczyć życie nas obojga - bo przecież nie zdołałabyś uniknąć kary - na podstawie strzępka papieru! Na podstawie kartki wydartej z dziennika człowieka, który odchodził od zmysłów z rozpaczy po śmierci jedyne go syna. To niesłychane!

Po tym wybuchu zapadła cisza, którą przerwała Leksi.

- Skąd wiesz? - wycodziła.

- O co ci chodzi? - zapytał ostro nadal zagniewany Richard.

- Skąd wiesz, że to kartka z dziennika papy? - Podeszła do sterty książek na stolyczku i wyjęła jeden tom. - Oczywiście, masz rację - stwierdziła, przerzucając strony. - Tutaj zostały ślady wyrywania strony. Ale skąd o tym wiedziałeś, Deverell?

Richard milczał przez chwilę.

- Łatwo rozpoznać kartkę z dziennika. Charakter pisma twojego ojca...

Leksi przerzucała kartki, dopóki nie doszła do lipca.

- Brakuje jeszcze jednej. Widzisz? - Pokazała mu to miejsce, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. - Nie udało mi się jej znaleźć. Ciekawe, co się z nią stało?

Richard rozczarował Leksi, bo nie dał się sprowokować. Zapytał natomiast:

- Gdzie znalazłaś tę kartkę? I kiedy?

- Dwa dni przed ślubem. Była wsunięta do dziennika i wypadła, gdy pakowałam niektóre książki i dokumenty.

Richard zmarszczył czoło.

- Pracowałam przy biurku poprzedniego dnia - powiedział wolno - i nie pamiętam, żebym widział na nim dziennik czy tę kartkę.

- Jakże to ma znaczenie, czy ją widziałeś, czy nie! - krzyknęła. - Znow próbujesz zmienić temat? Dla mnie ta kartka jest wystarczającym dowodem, że zabiłeś Johnny'ego! Jak możesz zaprzeczać? Jak inaczej wytłumaczyć słowa ojca?!

- Wyznałem sir Jeremy'emu, że manipulowałem dowodami. Nic więcej nie mam w tej sprawie do powiedzenia.

Leksi rozważała przez chwilę te słowa.

- Twierdzisz więc, że manipulowałeś dowodami już po śmierci Johnny'ego. Tak? - Richard patrzył na nią w milczeniu. - Dlaczego? Chyba że... - Słowa zamarły jej na ustach.

Spojrzała na Richarda z przerażeniem. - Chcesz powiedzieć, że mój brat popełnił samobójstwo?

- Nic nie chcę ci na ten temat powiedzieć.

- Nie wierzę! To absurd! Bez sensu! Nie możesz tak tego zostawić. Dlaczego Johnny miałby coś takiego zrobić?

- Ja... nie wiem.

- Kłamiesz! Jednak jesteś kłamcą, Richardzie Deverell! Albo go zabiłeś, albo wiesz, dlaczego odebrał sobie życie. Nie ma innej możliwości. Żądam, żebyś powiedział mi prawdę!

- Uwierz mi, Aleksandro, lepiej, żebyś nie wiedziała. Rozległo się pukanie do drzwi. Leksi odpowiedziała i do pokoju zajrzała Cissie.

- Proszę o wybaczenie, milady. Robi się późno. Czy zamierza pani przebrać się do obiadu?

Richard podszedł do drzwi.

- Kiedy indziej dokończymy tę rozmowę - oświadczył. - Dziś wieczorem muszę wyjechać.

Leksi podbiegła i złapała go za rękaw.

- Nie możesz tego tak zostawić.

- Niestety, muszę. Obiecałem kanonikowi Harmondowi, że jeszcze dziś wpadnę na plebanię. To pilna sprawa, nie mogę mu sprawić zawodu.

- Nie wierzę, żeby stan dzwonnicy czy co tam macie omawiać, był bardziej naglący niż temat naszej rozmowy.

- Przykro mi. - Richard uwolnił ramię. - Będziesz gotowa, by zejść na obiad za pół godziny? Wyraźnie był zdecydowany odejść, a Leksi w obecności służącej nie mogła go powstrzymać. Odparła z wymuszonym spokojem:

- Oczywiście.

W czasie posiłku Leksi kilkakrotnie próbowała wrócić do przerwane go tematu, ale Richard unikał odpowiedzi na jej pytania, zasłaniając się obecnością służby. A kiedy służący odeszli, przeprosił i również opuścił pokój. Leksi zabrała ze sobą na górę kieliszek wina. Wypiła więcej niż zwykle, ale nie poprawiło jej to nastroju, liczyła jednak na to, że ten kieliszek pozwoli jej zasnąć.

Cissie pomogła swojej pani się rozebrać, a potem wyszczotkowała jej włosy i związała je białą wstążką. Po wyjściu pokojówki Leksi włożyła szlafrok i zaczęła niecierpliwie krążyć po pokoju. Wino nie poskutkowało. Popołudniowa drzemka okazała się błędem, teraz w ogóle nie chciało jej się spać. Richard zdecydowanie odmówił rozmawiania o śmierci Johnny'ego, a ona była wobec tego bezsilna. A może w głębi duszy bała się, że Richard cały czas mówił prawdę? Może powoli i z oporami dochodziła jednak do wniosku, że Johnny, jej wesoły, niefrasobliwy, kochany przez wszystkich brat, został doprowadzony do takiej rozpacz y, że targnął się na własne życie?

Leksi wzięła do ręki dziennik ojca i przyjrzała się miejscu po brakującej stronie. Początek lipca, kilka tygodni po śmierci Johnny'ego. Jakie zapiski ojca z tego okresu mogły tak rozgniewać Richarda? Jeżeli Johnny popełnił samobójstwo, to na tej kartce mogło się znajdować wyjaśnienie zagadki. Nagle podjęła decyzję. Odłożyła dziennik i weszła do garderoby Richarda.

Nasłuchiwała przez chwilę. Od wyjazdu jej męża minęła co najmniej godzina, lokaj powinien już pójść do swojego pokoju. Najwyższy czas poszukać w sekretarzyku brakującej kartki.

Otworzyła drzwi i weszła.

W świetle świec pokój Richarda wyglądał inaczej. Okna zostały zasłonięte kotarami uszytymi z tego samego materiału co baldachim łóżka. Nie dostrzegła Phillipsa, ale kapa na łóżku była odwinęta, a koszula i przybory toaletowe zostały przygotowane na powrót pana domu. Richard musiał powiedzieć lokajowi, żeby na niego nie czekał. Leksi uważnie zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała bez ruchu, żeby się uspokoić, po czym zdecydowanym krokiem podeszła do sekretarzyka. Był zamknięty. Rano Richard wziął klucz z małej tacki obok lustra. To pewnie ten. Już miała wrócić do sekretarzyka, kiedy przypomniała sobie srebrne pudełeczko, które Richard zatrzasnął, gdy była tu poprzednim razem. Ciekawe, co chciał ukryć przed jej wzrokiem? Czyżby klucz do tajemnicy? Rzuciła okiem na stół. Jedy nym interesującym obiektem był zegarek w srebrnej rzeźbionej kopercie...

Leksi otworzyła ją. Bardzo piękny, ale całkiem zwyczajny zegarek. Dlaczego Richard starał się go przed nią ukryć? Obracała go w palcach, wreszcie nacisnęła niewielką wypukłość z boku. Koperta odskoczyła, ukazując jeszcze jedną komorę. Oczom Leksi ukazał się jej własny miniaturowy portrecik i ukryty za szkiełkiem rudawy kosmyk. Wpatrywała się w to z osłupieniem. Od jak dawna Richard nosił to przy sobie? Johnny portretował ją wielokrotnie, miał do tego talent. Miniatura musiała zostać namalowana na podstawie jednego ze szkiców brata. A kosmyk? Przypomniała sobie. Parę lat temu Johnny wyśmiewał się z jej włosów, złapała więc w złości nożyczki krawieckie i zaczęła obcinać swoje loki. Richard musiał schować jeden kosmyk, zanim ją powstrzymał.

To odkrycie bardzo ją zdziwiło. Nie podejrzewała Richarda o sentymentalizm. A może włożył jej portrecik do koperty zegarka dopiero ostatnio, jako gest kurtuazji wobec świeżo poślubionej małżonki? To wydawało jej się bardziej prawdopodobne. Wpatrywała się w zegarek przez kilka minut, ale nagle uświadomiła sobie, że czas ucieka, a ona nie zajrzała jeszcze do sekretarzyka. Zamknęła kopertę zegarka i odłożyła go na miejsce, a potem wzięła klucz i wróciła do sekretarzyka. Była tak zdenerwowana, że kiedy próbowała przekręcić klucz w zamku,

upuściła go na podłogę. Krzyknęła cicho, schyliła się i podniosła klucz. Tym razem udało jej się włożyć go do zamka. Nareszcie! Wyjęła jedną z teczek znajdujących się w środkowej części sekretarzyka i zaczęła przeglądać schowane w niej papiery.

- Szukasz listów miłosnych? Już ci mówiłem, że ich nie znajdziesz. - Leksi zamarła. To był głos Richarda.

Richard wrócił z plebanii przed kilkanaście minutami. Kanonik Harmond bynajmniej nie rozmawiał z nim o wieży kościelnej, błagał o pomoc dla wnuka, który służył w armii i popadł w konflikt ze starszymi oficerami. Poczciwy kanonik był okropnie zdenerwowany i uspokojenie go zajęło Richardowi sporo czasu. Musiał obiecać, że zrobi wszystko, co tylko możliwe, by pomóc chłopakowi.

Wracał do domu już po zapadnięciu zmroku i czuł się bardzo zmęczony. Wino, które wypił na plebanii, choć z dobrego rocznika, tym razem nie poprawiło mu nastroju. Życie przynosiło mu same problemy, a najpoważniejszym były stosunki z żoną. Dlaczego, do licha, nie mogła przyjąć na wiarę tego, co jej mówił, zaufać mu? Poznanie prawdy przysporzyłoby jej tylko dodatkowego bólu. Dlaczego nie chciała uwierzyć mu na słowo? Bo taka właśnie była, po prostu. Przez wszystkie lata ich znajomości nigdy nie zadowolili się najprostszym rozwiązaniem. Zawsze kierowała się własnym sądem i walczyła o to, w co wierzyła. I za to, między innymi, ją kochał. Tego wieczoru zapomniała o animozjach i uśmiechała się do niego. Tak pięknie wyglądała w blasku ognia płonącego w kominku i nazwała go Richardem. Jej pierwsze słowa obudziły w nim nadzieję, lecz potem przedstawiła mu propozycję i nadzieja zgasła. Czy naprawdę sądzi, że mógłby zgodzić się na parodię małżeństwa, na związek mający na celu jedynie zapewnienie Channings dziedzica? Czy wierzy, że mógłby kochać się z nią, wiedząc, co o nim myśli? Czy jednak Aleksandra mogła zaproponować coś innego? Żyjąc takie przekonania, nie mogła przecież kochać go tak namiętnie i z takim oddaniem, jakiego pragnął i na jakie zasługiwał. Może oczekiwał zbyt wiele. Naprawdę powinien się nauczyć, że nie ma w życiu nic doskonałego.

Kiedy przyjechał, dom był cichy, służba udała się już do swoich pokojów. Wszedł po schodach, starając się nie robić hałasu. Przez cały czas zastanawiał się, czy nie nazbyt pochopnie odrzucił propozycję Aleksandry. Nie o takim małżeństwie marzył, ale jeżeli nie zdarzy się cud, to jedynie na takie mógł liczyć. Nie zamierzał wyjawiać żonie, co się naprawdę stało z Johnnym, nawet za cenę jej utraty.

Wszedł z korytarza prosto do garderoby i usiadł, żeby zdjąć buty. Starał się nie hałasować, żeby nie obudzić Aleksandry, bo absolutnie nie był w nastroju do kontynuowania przerwanej rozmowy o jej bracie. Zrzucił płaszcz i surdut, zdjął fular i zaczął rozpinać koszulę, gdy dobiegł go jakiś dźwięk. Znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Ktoś był w jego pokoju. Na pewno nie służący, bo przed wyjazdem uprzedził Phillipsa, żeby nie czekał. Richard ostrożnie, po cichu, otworzył drzwi do sypialni. Aleksandra była tak zaabsorbowana tym, co robiła, że nie zauważyła jego obecności. Przyglądał się, jak przerzuca papiery w jednej z teczek. Stała na tle kominka, przez co jej nocna koszula wydawała się przezroczysta, ujawniając jego oczom delikatne zaokrąglenia jej ciała i długie, smukłe nogi.

Co żona robi o tej porze w jego pokoju? Niewątpliwie czegoś szuka, pytanie tylko czego? Nieważne. Liczyło się to, że znalazła się w jego sypialni w stroju jak najbardziej odpowiadającym pragnieniom, które oładnęły nim do tego stopnia, że wykluczyły wszelkie inne myśli. Do diabła z cierpliwością, powściągliwością i wszystkimi rozsądnymi postanowieniami! Dzisiaj zażąda tego, do czego ma święte prawo i czego pragnie od lat.

Aleksandra jest jego żoną. Najwyższy czas osiąść ją w pełnym tego słowa znaczeniu. Należy jednak zabrać się do tego ostrożnie. Znajomość strategii nie zawadzi...

- Szukasz listów miłosnych? Mówiłem ci, że ich nie znajdziesz.

Rozdział ósmy

Leksi odwróciła się. Richard stał oparty o drzwi garderoby i patrzył uważnie. Musiał wrócić jakiś czas temu, ale była tak zaabsorbowana zegarkiem i przeszukiwaniem sekretarzyka, że tego nie zauważyła.

Przed wejściem do sypialni zdjął płaszcz, surdut i buty, a koszula była rozpięta pod szyją. Nagle zaschło jej w gardle.

- Ja... myślałam... - Urwała i zaczęła jeszcze raz: - Myślałam, że nie będzie cię przez cały wieczór.

Richard spojrzął na otwarty sekretarzyk i teczkę w jej rękach.

- Najwyraźniej.

- Ja... widziałam te teczki dziś rano, kiedy sekretarzyk był otwarty. Byłam ciekawa, czy są tu dokumenty, które należały do papy.

- Nie mogłaś zasnąć, dopóki się nie upewniłaś - powiedział ze współczuciem, ale Leksi nie dała się zwieść.

Nagle uświadomiła sobie, że ma na sobie nocną koszulę i szlafroczek. Koszula z batystu i szlafroczek z jedwabiu i koronki służyły raczej uwypukleniu kobiecych kształtów niż ich ukrywaniu. Richard zbliżył się.

- Popatrzymy razem? - zaproponował i wyjął z jej rąk teczkę.

- Nie! - krzyknęła Leksi, świadoma jego niepokojącej bliskości. - Mogę się bez tego obyć. Na razie. Dziękuję ci... Ja... chyba już pójdę do siebie. - Chciała się cofnąć, ale Richard położył rękę na jej talii. Ta ręka zdawała się palić ją przez cienki materiał.

Odłożył teczkę, nie puszczając Leksi, po czym odwrócił ją twarzą do siebie.

- Rozczarowałaś mnie - stwierdził miękko. - Tak?

- Tak. Zastanawiałem się właśnie, czy nie za pochopnie odrzuciłem po południu twoją propozycję dotyczącą naszej przyszłości. Wiesz, dzieci i tak dalej. Zacząłem ponownie ją rozważać.

- Nie sędzę, żeby to był odpowiedni moment... - Leksi próbowała się od niego odsunąć, ale bez najmniejszego wysiłku przyciągnął ją do siebie.

- Kiedy cię zobaczyłem w swojej sypialni, przemknęło mi przez myśl, że postanowiłaś mnie uwieść, żebym się zgodził na twój plan. - Objął ją. - Podoba mi się ten pomysł - dodał, skubiąc jej lewe ucho.

- Richardzie! - zawołała Leksi, choć znacznie mniej stanowczo niż pragnęła. - To niemożliwe, żeby coś podobnego przyszło ci do głowy. Wcale nie próbuję cię uwieść. - Odsunęła się, by umknąć przed jego ustami, ten ruch sprawił jednak, że zetknęły się dolne partie ich ciał. Odkryła, że Richard był całkowicie gotów dać się uwieść.

- Ciii! - Położył palec na ustach. - Oczywiście, że próbujesz. A w jakim innym celu mogłabyś przyjść do mojej sypialni?

-Ja... chciałam... poszukać pewnych dokumentów -szepnęła.

W odpowiedzi Richard pociągnął troczki jej szlafroka. Leksi, wbrew samej sobie, próbowała go powstrzymać. Bez trudu unieruchomił jej ręce i zaczął ją całować - delikatnie, słodko, kusząco. Westchnęła z lubością i nagle wstrzymała oddech, bo Richard odnalazł dłonią jej pierś. Szlafrok zsunął się na ziemię z lekkim szelestem, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Musisz opowiedzieć mi o tych dokumentach, ale najpierw. .. - Richard uniósł ją i powoli odsuwał się od sekretarzyka, każde słowo punktując pocałunkiem. Delikatnie położył ją na łóżku i natychmiast się przy niej wyciągnął.

- Richardzie, ja...

- To tylko rozmowa, Aleksandro - rzekł, zdejmując koszulę. - Tutaj będzie nam znacznie wygodniej. Nie zimno ci? - Przyciągnął Leksi do siebie i nogą unieruchomił jej nogi.

- N... nie - wyjąkała Leksi.

- To dobrze. - Richard zaczął podciągać rąbek jej nocnej koszuli. - Co mówiłaś?

Leksi nie była w stanie nic powiedzieć. Richard zawładnął jej ustami, po czym uniósł jej biodra i całkiem podciągnął koszulę. Zaczął wodzić ustami po jej ciele. Leksi zatraciła się w rozkoszy, nie mogłaby uciec, nawet gdyby chciała.

- Nie wolno ci tego robić - wyszeptwała z trudem, kiedy jego wargi przesuwwały się w górę ku jej piersiom.

- Dlaczego? Jesteś moją żoną, Aleksandro. Pamiętasz, powiedziałem ci, że mogę z tobą zrobić, co tylko zechcę. Przeszanę, jeśli naprawdę tego nie chcesz. - Uniósł się i spojrzał na nią z uśmiechem. - Mam przestać?

- Nie! - zawołała. - To znaczy... Tak! Och, sama nie wiem. Nie powinnam. Richardzie, proszę.

- O co prosisz? Nie bój się przyznać do własnych pragnień. Nie ma nic złego w zadowoleniu z pieścizot męża. Pozwól mi to zdjąć. Niepotrzebnie nam zawadza, nie sądzisz? - Uniósł jej ramiona i ściągnął nocną koszulę. Leksi próbowała osłonić się rękami, ale je unieruchomił.

- Moja żona - powiedział miękko.

Pocałował ją szybko i wstał z łóżka. Leksi poczuła się nagle opuszczona, ale Richard pozbył się tylko reszty ubrań i natychmiast do niej wrócił. Na widok jego nagiego ciała wstrzymała oddech. Chłopiec, z którym dorastała, zmienił się we wspaniałego mężczyznę - szczupłego, silnego, potężnego. Leżała pełna napięcia i niepewności, świadoma tylko tego, że pragnie, by do niej wrócił. Wydawało jej się, że przez całe życie czekała tylko na tę chwilę, jakby na świecie nie istniało nic poza tym mężczyzną i tajemniczą tęsknotą w głębi jej ciała, którą jedynie on mógł zaspokoić.

Kiedy znów wyciągnął się przy niej, zniknął jego lekko kpiący wyraz twarzy i przez moment Richard wydawał jej się obcy, całkowicie niepodobny do znanego jej człowieka. Ledwo panował nad sobą, szarpany gwałtownymi emocjami. Wystarczyło jednak, że wyszeptwała jego imię i dotknęła go, jakby szukała pocieszenia, a objął ją z czułością i wymruczał jej imię. Zaczął ją całować - najpierw delikatnie, potem bardziej intymnie, wreszcie uniósł ją i ich ciała splotły się ze sobą. Leżała pod nim, wijąc się z pożądania i pragnęła poczuć go w sobie, bo bez niego czuła się niekompletna, choć równocześnie obawiała się tego ostatecznego kroku.

W ostatnim momencie Richard się powstrzymał. Ujął jej twarz w obie dłonie. Spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział z naciskiem:

- Kocham cię, Aleksandro. Kochałem cię jako dziecko i kocham cię nadal. Zaufaj mi. Oddaj mi się, kochanie. - Chwila paniki, krótkotrwały ból i był cały jej, całkowicie i bez reszty. Tak jak ona była jego. Nie istnieli już Richard i Aleksandra, stopili się w jedną istotę, już na zawsze...

Leksi obudziła się syta pieścizot i rozleniwiona. Richard kochał się z nią tej nocy niejedną raz, oboje usnęli zaspokojeni. Zaznała ekstazy, przewyższającej wszystko, co mogła sobie

wyobrazić. Chwilami wydawało jej się, że umrze z rozkoszy, ale reagowała entuzjastycznie na każdą kolejną pieszczotę. Wreszcie wziął ją w ramiona i tulił, dopóki nie zasnęła, wsłuchana w miarowe, mocne uderzenia jego serca.

Odsunęła się i spojrzała na Richarda. Czarne włosy i smagła cera kontrastowały z białą pościeli. Taki przystojny. .. Nawet szrama na policzku nie przyćmiewała jego urody. Leksi przesunęła po niej palcem, a potem musnęła ciemny zarost na brodzie i nad górną wargą...

Nagle złapał jej palce zębami. Otworzył oczy, puścił jej palce i uśmiechnął się. W tym uśmiechu było tyle słodczy, że serce Leksi natychmiast stopniało jak воск.

- Dzień dobry - szepnęła z czułością. Pocałował ją w odpowiedzi i pogładził jej piersi. Przeszył ją dreszcz. - Raczej nie - dodała z niekłamanym żalem. - Słyszę jakieś hałasy. Pewnie już późno.

- Może masz rację - stwierdził. Jego głos miał głębsze, bardziej matowe brzmienie. Uznała je za niezwykle pociągające i powiedziała mu to. - A pani, moja małżonko, jest czarująca - oznajmił i znowu ją pocałował. - Do tego stopnia czarująca, że człowiek zapomina, na jakim świecie żyje, i szybkuje aż do gwiazd. Masz rację, muszę wstać. - Włożył szlafrok, podszedł do okna i rozsunął kotary. Pokój zalało światło.

- Wyglądasz... imponująco! - zawołała Leksi, która uklękła na łóżku i napawała się jego widokiem. - Czy powinnam wrócić do swojego pokoju, zanim się ubierzesz? Phillips mógłby tu wejść?

- Jest na to zbyt mądry - odrzekł Richard i złapał nocną koszulę Leksi. Kiedy po nią sięgnęła, odrzucił ją za siebie, ukląkł na łóżku i szeroko rozkrzyżował jej ramiona. Przyglądał jej się z zachwytem. - Aleksandra! - mruknął gardłowo, pochylił się i zaczął pokrywać jej ciało pocałunkami. Pobudzał ją aż do chwili, gdy nie była już w stanie więcej znieść i pociągnęła go na pomięte prześcieradła. Kochali się namiętnie i razem osiągnęli spełnienie. Leżeli potem w milczeniu, Richard wsparł głowę na piersi Leksi.

- Richardzie... - szepnęła po chwili.

- Tak, wiem. Muszę wstawać.

- Mógłbyś mi podać nocną koszulę? Czy powinnam wrócić do swojego pokoju, zanim ktoś przyjdzie? Jeszcze nie znam wszystkich reguł.

Richard roześmiał się bez troski, wstał i podał jej koszulę, kradnąc jej przy tym całusa.

- Ostatniej nocy zламаłaś wszelkie reguły.

- Naprawdę?

- W szacownych domach damy zwykły skromnie czekać w swoich pokojach na odwiedzinę małżonka. W żadnym wypadku nie szukają ich w ich sypialniach. Takie zachowanie uchodzi za zdecydowanie nazbyt śmiałe.

- Ale ja myślałam, że cię nie zastanę. Nie przyszłam tu, żeby...

Richard uciszył ją pocałunkiem.

- Wiem. Tylko się z tobą droczyłem. To była największa niespodzianka... i najbardziej rozkoszna w całym moim życiu. Czy mogę panią zanieść do jej pokoju?

- Mogę pójść sama.

- Naprawdę?

- Jesteś uosobieniem kobiecych marzeń - oświadczyła Leksi.

Porwał ją w ramiona.

- Kocham cię! - zawołał. - Chciałbym trzymać cię tutaj cały dzień, ale tymczasem muszę odnieść cię do twojego pokoju.

Zaniósł Leksi do jej sypialni i ułożył na szezlongu przy oknie.

- Cissie już była - zauważyła Leksi na widok rozsuniętych zasłon i tacy przy łóżku. - Tajemnica wyszła na jaw... Nic mnie to nie obchodzi.

Richard pocałował żonę ze śmiechem.

- Kiedy będziesz gotowa, zabiorę cię na śniadanie. Nie schodź na dół beze mnie! - zawołał od drzwi garderoby.

Nadeszły piękne dni. Jesienne poranne mgły rozpraszało olśniewające słońce, świecące na czystym, błękitnym niebie, a rześkie powietrze smakowało jak chłodne białe wino. Drzewa pyszniły się najwspanialszymi kolorami, choć lada moment mroźne podmuchy zimy miały огоłocić ich gałęzie, a na żywopłotach, bramach i furtkach powiewały lekko pajęcze nitki i migotały kropelki rosy jak drogie kamienie.

Richard i Leksi codziennie po śniadaniu wychodzili na spacer, wędrowali po otaczającym dwór parku i podziwiali piękno świata, radośni i roześmiani. Bardzo silnie odczuwali swą fizyczną obecność, bez przerwy się dotykali, trzymali za ręce. Ramię Richarda stale otaczało talię lub ramiona żony, a kiedy pomagał jej przejść przez przełazy czy furtki, domagał się pocałunku, zanim ją puścił. Leksi nigdy nie widziała go tak rozluźnionego, przyjaznego, szczęśliwego.

Nocami kochali się gwałtownie, namiętnie, czule, czasem ze śmiechem, czasem rozmawiając, a czasem, kiedy nie potrzebowali słów, w milczeniu. Nie widywali nikogo. Napotkani podczas konnych przejażdżek albo spacerów po niemal pustych alejkach i ścieżkach ludzie uśmiechali się, kiwali głowami i czuli się podniesieni na duchu widokiem takiego szczęścia.

Piękna pogoda utrzymała się przez tydzień. Ostatniego dnia wspięli się na wzgórze za domem, na którym pod drzewami kwitły jeszcze cyklameny, a wiewiórki uwijały się, żeby zdążyć zgromadzić zapasy na zimę. Richard zatrzymał się na skraju lasu porastającego wierzchołek wzgórza, odwrócił Leksi i przyciągnął do siebie.

- Popatrz!

U ich stóp leżał dwór w Channings, biały, piękny, lśniący w promieniach słońca.

Leksi wydała przeciągłe westchnienie.

- Och, Richardzie, jaki śliczny!

- Jest twój, Aleksandro. Twój i mój, aż po kres naszych dni. Razem zmienimy go w dom, w którym nasze dzieci będą rosły w poczuciu bezpieczeństwa i przekonaniu, że rodzice je kochają. I w szczęściu. - W uszach Leksi te słowa zabrzmiały jak uroczysta przysięga.

Zamrugła powiekami, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

- W taki dom, jakiego ty nigdy nie miałaś. Och, Richardzie, z całego serca pragnę, żeby to się spełniło.

- Spełni się. Jestem przekonany. - Chmura przesłoniła na moment słońce i Leksi zadrzała. -

Zmarzłaś, wracamy.

- Nie. Za chwilę słońce wyjdzie zza chmur. Zostańmy. Spacerowali dalej, trzymając się za ręce, snując plany, całując się, coraz bardziej zakochani w Channings i w sobie.

Obeszli park dookoła i kiedy znaleźli się w alei wjazdowej, w pewnej odległości od domu dostrzegli Marka Rawdona. Jeden ze stajennych prowadził jego konia do stajni.

Richard zacisnął pięści i zaklął pod nosem.

- Kompletnie zapomniałam - powiedziała Leksi. - Podczas wizyty w Rawdon zaprosiliśmy go do nas. Będziemy musieli go zabawić. Na szczęście mamy nów. Zostanie najwyżej godzinę. Nie lubi jeździć konno po ciemku.

Richard się roześmiał.

- Sądziłem, że lubisz kuzyna?

- Lubię, ale...

- ... nie masz ochoty go dzisiaj zabawić. O to chodzi?

- Jest tylko jedna osoba, którą mam ochotę dziś zabawić - powiedziała Leksi i rzuciła mu na poły nieśmiało, ale pełne uwodzicielskiego uroku spojrzenie.

- On szybko wyjedzie, kochanie. A wtedy...

- Nie muszę pytać, jak się czujesz, Leksi - stwierdził Mark. - Mimo trudnych początków stan małżeński najwyraźniej ci służy. Bardzo się cieszę ze względu na was oboje.

Siedzieli we dwoje z Markiem w błękitnym saloniku, czekając na Richarda. Pan domu zamknął się w bibliotece z kanonikiem Harmondem, który wpadł niespodziewanie z bardzo poważną miną i po paru minutach zwyczajowych uprzejmości i ogólnej pogawędki poprosił Richarda o rozmowę na osobności.

- Nie miałam jeszcze okazji powiedzieć ci, Marku, że Richard mówił prawdę o pamiętnej grze w karty. Rzeczywiście próbował pomóc ojcu. Służba z Rawdon nie znała całej historii.

- Rozumiem. To wspaniale. Sprawę Johnny'ego też ci wytłumaczył? Oczywiście! Inaczej nie promieniałaśbyś szczęściem.

Leksi wstała.

- Nie, nie wytłumaczył - przyznała. - Jeszcze nie. Ale jestem pewna, że z czasem doczekam się wyjaśnień.

- Richard to wspaniały chłop. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że potrafi oczyścić się z wszelkich podejrzeń. To oczywiste, że darzyli się z sir Jeremym całkowitym zaufaniem. - Mark roześmiał się. - Wiesz, podejrzewam, że twój ojciec wolałby, aby to Richard odziedziczył Rawdon.

- To nie tak. Tata był bardzo zadowolony, kiedy dowiedział się o twoim istnieniu.

- Richarda uważał za drugiego syna. Byli sobie bardzo bliscy.

- A jednak uwierzyłeś, podobnie jak ja, że Richard go zdradził.

- No cóż, służba opowiedziała bardzo przekonującą historię. Jak wspomniałaś, nie znaleźliśmy całej prawdy.

Mark powiedział to lekko pytającym tonem. Wyraźnie był ciekaw, co właściwie wydarzyło się pomiędzy Richardem a sir Jeremym, ale Leksi nie była skłonna oświecić go w tej kwestii. Im mniej osób wiedziało o szantażu, tym lepiej.

- Cóż, już po wszystkim - odrzekła pospiesznie. - Jak widzisz, wyjaśniliśmy sobie z Richardem wszelkie nieporozumienia i jesteśmy szczęśliwi.

- A więc nie ma już mowy o półrocznej umowie?

- Oczywiście, że nie. To był dziwny pomysł. Musiałam być niespełna rozumu.

- Nie, tylko przerażona. Gdybym wiedział, co zamierzasz uczynić...

- Nie domyślałaś się? Byłam przez ostatnie kilka dni przed ślubem w takim stanie, że nie potrafiłam niczego ukryć. Richard na pewno zacząłby coś podejrzewać, gdyby nie był tak bardzo zajęty.

- W przeciwieństwie do mnie. Martwiłem się, oczywiście. Wiedziałem, że kiedy dowiedziałaś się o Johnnym, chciałaś zrezygnować z małżeństwa z Richardem. Potem zmieniłaś zdanie. Zrozum, Leksi, miałem związane ręce, bo przecież ratując Rawdon, ratowałaś tym samym i mnie. Jak bym sobie poradził, gdybyś nie wyszła za Deverella? Nie miałem najmniejszych szans, przecież wiesz, w jakim stanie znajdował się majątek. Sir Jeremy może i był dumny ze swego nazwiska, ale w testamencie nie zostawił mi nic, poza tym, co przynależało do tytułu, czyli dworu i ziemi, na której stoi. Całą resztę ty dziedziczyłaś.

- Jestem pewna, że papa chciał zmienić testament - oświadczyła Leksi. - Ten powstał po śmierci Johnny'ego, lecz przed poznaniem ciebie. Papa... miał inne sprawy na głowie. Nie spodziewał się, że... tak prędko umrze... - Głos jej zadrżał. - Zrobiłam wszystko, żeby to naprawić...

- Moja droga Leksi. Dzięki tobie Rawdon wkrótce wróci do dawnej świetności. Do końca życia będę ci za to wdzięczny. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że pomiędzy tobą a Richardem tak dobrze się układa. Wiedziałem, oczywiście, że Richard zawsze będzie cię chronić.

- Chronić?

- Nie powiedział ci? Twój ojciec wymusił na nim taką obietnicę.

- Wtedy, gdy Richard prosił ojca o zgodę na nasze małżeństwo?

- Niezupełnie. Gdyby twój ojciec żył, na pewno by do tego doszło. Każdy mężczyzna byłby dumny, mając cię za żonę.

- Ale cóż to była za obietnica?

- To było mniej więcej tydzień przed śmiercią sir Jeremyego. Rozmawialiśmy we trzech o stanie majątku. Richard opowiadał mi, jaka byłaś dla niego dobra i ile zawdzięcza rodzinie Rawdonów. Twój ojciec przerwał mu i właśnie wtedy oznajmił, jak już wspominałem, że uważa Richarda za drugiego syna. I dodał: „Jeśli coś się ze mną stanie, Richardzie, to liczę na to, że będziesz chronił moją Leksi. Mam nadzieję, że wiesz, o czym mówię. Obiecujesz, że będziesz się nią opiekował?”.

- Richard obiecał?

- Naturalnie. Zresztą w tej sytuacji nie miał innego wyjścia, prawda?

- I nie wspomniał ani słowem, że chce się ze mną ożenić?

- Nie, wtedy nie. Obiecał, że się tobą zaopiekuje. Nie mógł przewidzieć, nikt z nas nie mógł wówczas przewidzieć, jak prędko będzie zmuszony dotrzymać danego słowa. Tydzień później twój ojciec zmarł... doprowadzony do ruiny właśnie przez Richarda, który przecież powinien był go ocalić. - Leksi chciała zaprotestować, więc pospiesznie dodał: - Jak twierdzisz, było inaczej, teraz to rozumiem. Muszę przyznać, że Richard wywiązał się z obietnicy. Zadbaj o siebie w sposób, który dał rewelacyjne efekty. Jeszcze nigdy nie wyglądałaś lepiej.

- Dziękuję - mruknęła Leksi.

Mark miał na pewno jak najlepsze intencje, ale jego słowa rzuciły cień na tak dotychczas pogodny dzień. Przez cały ubiegły tydzień udawało jej się odsuwać od siebie pozostające ciągle bez odpowiedzi pytania o Johnny'ego. Chciała, by idylla trwała, ale teraz była zagrożona. Podeszła do drzwi.

- Przepraszam cię, Marku, na chwilę. Spróbuję uratować Richarda z opresji, w ostateczności zaproszę nawet kanonika na herbatę. Zdążyłeś zamienić z nim tylko kilka słów, a zaraz zrobi się ciemno.

Zamknęła za sobą drzwi i odetchnęła głęboko. Lubiła kuzyna, ale czy musiał przyjechać właśnie dzisiaj? Przywiózł ze sobą przeszłość. Pragnęła trochę dłużej napawać się szczęściem, które tylko Richard potrafił jej ofiarować.

Zaszlochała. Dlaczego Mark przyjechał tu ze swoimi pytaniami, dlaczego wyraził przypuszczenie, że wszystko zostało wyjaśnione? Richard kochał ją tak samo jak ona jego. Na pewno. Przez ostatni tydzień powtórzył to setki razy i mogłaby przysiąc, że naprawdę cieszył się z jej towarzystwa. Nie mógł przez cały czas udawać, spełniając jedynie obowiązek, dotrzymując danego ojcu słowa. Musiałby być genialnym aktorem.

Cień wątpliwości jednak pozostał. I nagle wróciły do niej miażdżące słowa lady Honorii.

„Dlaczego, do licha, musiał ożenić się właśnie z tobą? Powiem ci dlaczego. Wystarczy spojrzeć na jego obecne zachowanie. Po prostu było mu cię żal. Dlatego. Sądził, że opieka nad tobą jest jego powinnością wobec twojego ojca”.

Czyżby lady Honoria miała rację? Leksi uświadomiła sobie, że mężczyźni różnili się od kobiet pod względem uczuciowym. Richard wcale nie musiał jej kochać, żeby sypianie z nią sprawiało mu przyjemność.

Gniew i rozczarowanie Leksi wzmogły się, kiedy dowiedziała się, że Richard pojechał z kanonikiem Harmondem na plebanie. Wieża kościelna stała tu od wieków i z pewnością by się nie zawaliła, gdyby przyszło jej poczekać jeszcze dwa czy trzy dni. Jak on mógł tak sobie po prostu wyjechać i zostawić jej zabawianie gościa? I jak w ogóle mógł zostawić ją samą na tak długo dla jakiejś mało istotnej sprawy?

Wróciła do Marka.

- Przepraszam. Okazało się, że Richard wyjechał bez uprzedzenia. Sprawa kanonika Harmonda musi być znacznie poważniejsza, niż mi się wydawało.

- Rozumiem, Leksi. Mam parę pytań do Richarda, ale mogą poczekać. Zaczynam rozumieć, jak wygląda życie właściciela ziemskiego - człowiek musi być na każde zawołanie, nawet podczas miodowego miesiąca, jak się okazuje. - Przyjrzał jej się uważnie. - Jesteś przygnębiona?

- Nie. Przykro mi tylko, że nie udało ci się porozmawiać z Richardem.

- Dlaczego? Żebym złożył mu sprawozdanie z mojego zarządzania? - spytał z przekąsem.

- Co ty mówisz? Jesteś pełnoprawnym właścicielem Rawdon, i nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie jesteś zarządcą Richarda.

Mark potrząsnął głową, roześmiał się i dodał tytułem wyjaśnienia:

- Przepraszam. Ciągle czuję na sobie krytyczny wzrok Richarda. Pewnie dlatego, że zdaję sobie sprawę, iż jestem nowicjuszem w gospodarowaniu majątkiem ziemskim. Wybacz, Leksi, nie powinienem być taki czuły na punkcie własnej godności. Richard na pewno miał bardzo istotny powód, żeby poświęcić czas kanonikowi Harmondowi, a nie mnie. - A potem, ku ogromnej uldze Leksi, dodał: - Jednak nie będę dłużej na niego czekał. Po zachodzie słońca wasze wiejskie drogi są zbyt ciemne i kręte dla mieszczucha.

- Porozmawiam z Richardem po jego powrocie - zapewniła go Leksi. - Wkrótce zorganizujemy następne spotkanie.

Zbierając się do wyjścia, Mark przytrzymał dłużej dłoń Leksi i przyjrzał jej się z troską.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - zapytał. - Oczywiście - zapewniła, może nieco zbyt entuzjastycznie.

- Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

- Nonsens. Niczego mi nie zawdzięczasz. Rawdon należało ci się z mocy prawa, Marku. Tak czy owak, wszystko jest w idealnym porządku. Richard i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Mark najwyraźniej nie był przekonany.

- Chciałbym, żebyś mnie traktowała nie tylko jak kuzyna, ale także jak przyjaciela.

Leksi cofnęła rękę.

- Dobrze. Dobranoc, jedź bezpiecznie.

Po wyjeździe Marka Leksi została sama ze swymi myślami. Nie były już tak miłe jak rano. Chodziła w tę i z powrotem po pięknym pokoju, który niegdyś należał do matki Richarda, szarpana ponownie rozbudzonymi wątpliwościami. Chciała, żeby Richard wrócił i pocałunkami rozproszył jej zmartwienia, by kochał się z nią tak, aby zapomniała o wszystkim poza rozkoszą. Kiedy służący przyniósł wiadomość, że coś zatrzymało Richarda i wróci znacznie później, o mało nie straciła panowania nad sobą. Miała ochotę odesłać nieszczęśnika z powrotem na plebanie z poleceniem, by nie wracał bez swojego pana. Z trudem zdobyła się na zdawkowe podziękowanie i znów zaczęła krążyć po pokoju.

Po chwili podjęła decyzję. Trudno, musi wiedzieć. Richard, świadomie lub nie, sprawił, że przestała myśleć o kartce z dziennika. Teraz ciekawość odżyła, zobaczy tę notatkę. W tej chwili w sypialni męża na pewno był lokaj, to jego pora, ale wkrótce powinien stamtąd wyjść. A wtedy ona pójdzie na górę, żeby się przebrać i jeszcze raz zajrzy do sekretarzyka.

Okazało się, że Cissie, niemal równie szczęśliwa z powodu poprawy wzajemnych stosunków państwa jak sama Leksi, była nieco sentymentalna i postanowiła tego wieczoru przybrać włosy swojej pani kwiatami. Wybrała też dla niej suknię z białego tiulu na jedwabnym spodzie, z różyczkami wokół dekoltu i kokardkami przy szyi i rękawach, stosowną raczej dla panny młodej.

- Nie tę! - zawołała Leksi. - Włożę tamtą prostą, z liliowego jedwabiu. Nie mam czasu na układanie włosów. Uczesz mnie tak jak zwykle. Proszę.

Wyraźnie zasmucona Cissie zastosowała się do poleceń swojej pani. Leksi była milcząca. Nie mogła się już doczekać końca toalety i natychmiast po odejściu pokojówki pobiegła do pokoju Richarda. Miała szczęście, bo natknęła się na Phillipa w garderobie. Wybierał dla swego pana strój na wieczór.

- Lord Deverell wróci późno - powiedziała Leksi. - Masz co najmniej godzinę wolnego.

Lokaj skłonił się i wyszedł, a Leksi mogła być spokojna, że nikt jej nie przeszkodzi. Tym razem się nie wahała. Wzięła klucz, otworzyła sekretarzyk i zaczęła pospiesznie przeglądać zawartość teczek. Brakująca kartka musi tutaj być. Sprawdziała teczki jedną po drugiej. Wreszcie znalazła to, czego szukała.

Niemal w tym samym momencie usłyszała głos Richarda, wołającego ją po imieniu. Na szczęście tym razem nie stał w drzwiach, głos dobiegał ze schodów.

- Aleksandro! Gdzie jesteś?

Leksi schowała kartkę za stanik, wepchnęła wszystkie teczki na miejsce i zamknęła kłapę sekretarzyka na klucz. Potem podbiegła do stolika, żeby odłożyć klucz na miejsce. Porwała leżący na zwykłym miejscu zegarek w srebrnej kopercie i kiedy Richard stanął w drzwiach, obracała go w palcach.

- Ładny - stwierdziła i podniosła go, jakby chciała go pokazać nadbiegającemu Richardowi, który zignorował jej słowa, objął ją i zaczął namiętnie całować.

- Obawiałem się, że nigdy do ciebie nie wrócę - szepnęła. - Miałem udzielić pewnych rad biednemu Harmondowi, a myślałem tylko o tym, że czekasz tu na mnie. Tęskniłaś?

Leksi stała w objęciach męża i miała taki mętlik w głowie, że nie mogła wykrztusić słowa.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, jak za tym tęskniłem - rzekł i zanurzył twarz w jej włosach. - Czas bez ciebie jest czasem straconym. Czy Mark długo siedział?

- Prawie do zmroku.

- Cieszę się, że miałaś towarzystwo. Ale na szczęście zostaliśmy sami. Widzę, że przebrałaś się już do obiadu. Wpadło mi do głowy, że mogliby podać nam go tutaj. Co ty na to?

- Ale służba...

- Do diabła ze służbą! Chcę zostać sam na sam z własną żoną i być blisko niej, a nie siedzieć przy końcu długiego stołu w jadalni, po której ciągle kręcą się służący.

Leksi musiała się roześmiać.

- Przecież stół w jadalni został skrócony, a odkąd jesteśmy sami, usługują nam tylko Kirby i jeden lokaj. Co by pani Chowen powiedziała na takie wymysły?

- Chowen jest w głębi serca sentymentalna jak pensjonarka. Nawet by nie mrugnęła. Zresztą, czemu właściwie rozmawiamy o służbie? Gdybym nie był taki głodny, natychmiast byśmy się kochali. Co ty na to?

Leksi była rozdarta. Pomysł zjedzenia posiłku w sypialni wydawał jej się nadzwyczaj kuszący, w tej chwili była jednak wzburzona, a poza tym musiała pozbyć się wsuniętej za stanik kartki, zanim Richard ją zauważy.

- Sądzę, że nie powinieneś chodzić głodny, Richardzie. I... chyba wolałabym zjeść na dole.

Leksi uniknęła do swojego pokoju i schowała kartkę z dziennika ojca obok poprzedniej.

- Jesteś bardzo małomówna, kochanie - zauważył Richard podczas obiadu.

- Naprawdę? Przepraszam. To tylko zmęczenie.

- Musimy więc zadbać, żebyś dzisiaj wcześniej położyła się spać. - Leksi zaczerwieniła się, a w oczach Richarda pojawił się znajomy błysk.

- Chyba pójdę na górę - wyjąkała.

- Chodź, pójdziemy razem. - Ruchem ręki odprawił kamerdynera i sam pomógł żonie wstać od stołu.

- Przecież ty nie musisz jeszcze odchodzić od stołu. Nie dopiłeś wina.

- Nie muszę - oświadczył. - Pójdę z tobą. Chcę ci coś dać.

- Co takiego? - zapytała, zastanawiając się gorączkowo, jak zareagować, gdyby Richard postanowił pokazać jej wreszcie kartkę z dziennika jej ojca.

- Wyjątkowy pierścionek. Należał do mojej babki. Powinienem ofiarować ci go wcześniej, ale czekałem na naszą rocznicę.

- Rocznicę?

- Przed tygodniem zostaliśmy kochankami. Tydzień idealnego szczęścia. Chciałem spędzić cały ten dzień tylko z tobą, niestety, wizyta Marka i sprawy kanonika Harmonda weszły nam w drogę. Ale pierścionek dostaniesz. Mam go na gorze. Chodź!

Zaprowadził ją do swojego pokoju, usadowił w fotelu i pocałował.

- Siedź tu, zaraz go przyniosę, kochanie. Potem będziesz mogła pójść do siebie i położyć się spać, jeśli masz ochotę. Wyglądasz bardzo pięknie, ale blade. Nie możesz się znów rozchorować. - Wziął klucz i podszedł do sekretarzyka. - Co ci powiedział Mark? Jego wizyta najwyraźniej nie wyszła ci na dobre.

Leksi z niepokojem obserwowała, jak wkłada klucz do zamka.

- Mówił o moim ojcu i o Rawdon.

- Chyba cię nie zdenerwował? Jeśli tak, to z nim porozmawiam.

- Nie trzeba. Chciał dobrze.

Richard odwrócił się do niej plecami i Leksi wydawało się, że mruknął pod nosem: „Doprawdy?”, ale była zbyt wystraszona, żeby się tym teraz przejmować.

Przekręcił klucz. Drzwiczki sekretarzyka stanęły otworem i na podłogę posypały się wetknięte niedbale teczki.

- Co, do diabła? - Richard wpatrywał się w podłogę. - Wygląda na to, że znowu szukałaś listów miłosnych.

Rozdział dziewiąty

- Nie drażnij się ze mną, Richardzie. Doskonale wiesz, że nie.

- Czego więc szukałaś?

- Mówiłam ci już poprzednio. Papierów ojca. - Zawahała się, odetchnęła głęboko i zdobyła się na odwagę: - A dokładniej mówiąc, jednej kartki.

- I znalazłaś? - Tak.

Pochylił się i przejrzał dokumenty, które wypadły z jednej z teczek.

- Chyba wiem, o czym mówisz, ale sama mi powiedz.

- Szukałam drugiej brakującej kartki z dziennika papy. Tej, o której podobno nic nie wiedziałeś.

- Skąd wiedziałeś, że ją mam?

- Widziałam ją w twojej dłoni, kiedy byliśmy z wizytą w Rawdon. Przeczytałeś ją i miałeś taki wyraz twarzy jak w tej chwili. To zwróciło moją uwagę. Zmiałeś ją i schowałeś do kieszeni.

Postanowiłam wówczas dowiedzieć się, co to jest.

- Dlaczego mnie nie spytałeś?

- Nie bądź śmieszny. Nigdy byś mi jej nie pokazał.

- Masz cholerną rację! - rzekł z gniewem. Zastanawiał się przez chwilę i podjął z namysłem: - Zastałem cię w swoim pokoju tuż przed obiadem. Pewnie właśnie wtedy ją znalazłeś, ale nie miałeś czasu jej przeczytać. Jesteś blada i zdenerwowana, ale nie wstrząśnięta. Przypuszczalnie wróciłem zbyt szybko. Gdzie ona jest?

Leksi milczała.

- Gdzie ona jest, Aleksandro? - Richard położył jej ręce na ramionach. - Powiedz, gdzie ją schowałeś.

- Ani myślę, Deverell! - Leksi odzyskała głos. - Masz rację, jeszcze jej nie przeczytałam, ale zamierzam to zrobić.

- Na litość boską, dziewczyno, nie przysparzaj sobie więcej cierpienia, niż już musiałaś znieść. Oddaj mi tę kartkę.

Leksi wyrwała się i wykrzyknęła:

- Nie! Domyślam się, co zawiera. Informację o tym, czym szantażowano papę. Prawda, Deverell?

- Przestań zwracać się do mnie „Deverell”, Aleksandro! - zawołał. - Nie jestem twoim wrogiem. Dlaczego mi nie ufasz? Nie psuj wszystkiego... Proszę.

- Nie psuć?! A co tu jest do zepsucia? - Gniew dławił ją w gardle, ledwo mogła mówić. -

Kochasz się bosko, Deverell, to muszę przyznać. Kobieta może w twoich ramionach zapomnieć o całym świecie. Okazałam się idiotką, bo uwierzyłam, że darzysz mnie miłością. Pomyliłam się, prawda? Gdyby tak było, to niczego byś przede mną nie ukrywał i nie patrzyłbyś na mnie tak jak teraz. Ożeniłeś się ze mną, bo było ci mnie żal, bo obiecałeś to mojemu ojcu.

- Nie rozumiem.

- Nie udawaj, że nie wiesz. Mark powiedział mi o tym dziś po południu. Był obecny, kiedy ojciec wymusił na tobie obietnicę, że będziesz mnie chronił.

- Rozumiem... Mark ci powiedział... Uważasz, że kłamałem, mówiąc, że cię kocham? Że przez cały poprzedni tydzień, kiedy było nam razem tak cudownie, udawałem? I te wszystkie nasze plany na przyszłość, marzenia o wspólnym życiu w Channings... - Richard odsunął się od Leksi i potrząsnął głową. - Przez ten tydzień wierzyłem, że wszelkie nieporozumienia mamy już za sobą i wreszcie ufamy sobie bez zastrzeżeń. - Spojrzał na żonę z gniewnym zdumieniem. - Myślałem, iż znalazłem wreszcie to, na co czekałem całe życie. Okazuje się jednak, że nie.

W głosie Richarda był taki ból, że Leksi ścisnęło się serce. Pełna skruchy, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie, Aleksandro - odepchnął ją od siebie. - Muszę się zastanowić. Nie uświadamiałem sobie, co naprawdę czujesz. - Z widocznym wysiłkiem odzyskał panowanie nad sobą i zaczął mówić spokojniej. - To wszystko musi poczekać. Rzeczywiście złożyłem twojemu ojcu pewną obietnicę, choć inną, niż przedstawił ci Mark, i muszę jej dotrzymać. Oddaj mi natychmiast

kartkę, którą zabrałaś z mojego sekretarzyka, oddaj mi ją nieprzeczytaną, a zaczniemy wszystko od nowa. Spróbujemy posklejać to, co zostało roztrzaskane w kawałki.

Leksi zeszywniała: najpierw odtrącił jej próbę pocieszenia, a teraz usiłuje zmusić ją do posłuszeństwa.

- Nie zmienisz mojej decyzji, Deverell. Mam prawo wiedzieć, co mój ojciec napisał w swoim dzienniku.

- Nie, do licha, nie masz prawa! To osobiste zapiski twojego ojca, nieprzeznaczone dla osób postronnych. - Położył jej ręce na ramionach i spojrzał w oczy. - Posłuchaj! Mark się mylił. Twój ojciec od lat wiedział, że chcę się z tobą ożenić. Kazał mi przysiąc, że będę cię chronił, byś się nie dowiedziała, czym był szantażowany. Podejrzewam, że sam wyrwał z dziennika te strony, żebyś ich nigdy nie zobaczyła. Bóg jeden wie, w jaki sposób znalazły się po jego śmierci na biurku. - Odetchnął głęboko i dodał z naciskiem: - Obstawę przy tym, żebyś oddała mi tę kartkę, Aleksandro. Musisz w tej sprawie okazać mi posłuszeństwo. To rozkaz! - Rozkazujesz mi? Nie! Nie ma mowy! - krzyknęła Leksi, mierząc go wściekłym wzrokiem. - Przeczytam tę kartkę! - Uciekła do swojego pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na klucz. Podbiegła do drzwi prowadzących na korytarz i również je zamknęła. Potem wyjęła gęsto zapisaną po obu stronach kartkę z kasetki na biżuterię i, nie zwracając uwagi na dobijanie się Richarda, zaczęła ją zachłannie czytać, trzymając blisko światła.

Dzisiaj Richard potwierdził, że pogłoski o Johnnym są prawdziwe. Spełniły się moje najstraszniejsze obawy, muszę zapłacić prześladowcy. O, mój Boże, taki byłem pewien, iż Richard mnie wyśmiej, że każe mi zapomnieć o tym, co było w tamtym liście. A on dokładnie wszystko potwierdził. Jak to znieść? Jak znieść myśl o tym, że Johnny, mój dumny żołnierz, mój syn, moja radość, został przyłapany na sprzedawaniu wrogom państwowych tajemnic! Jeszcze nigdy nie widziałem tak rozwścieczonego Richarda. Zrobił wszystko, byle tylko oszczędzić rodzinie Johnny'ego prawdy, i wpadł w furję, że jednak się dowiedziałem. Powiedział mi potem o wszystkim, co się wydarzyło tamtej nocy, pewnie - tak sędzę - próbował mnie jakoś pocieszyć. Bezpieczeństwo państwa ani przez chwilę nie było zagrożone, dokumenty uratowano, zanim trafiły w niepowołane ręce, i nie zostały wykorzystane przez wroga. Johnny uniknął aresztowania w gospodzie, choć podejrzewam, że Richard maczał w tym palce. Kiedy wrócił do zajmowanej przez nich kwatery, Johnny już nie żył. Zginął z własnej ręki. Richard obwinia się chyba, że nie zdołał temu zapobiec, ale ja jestem zadowolony. Zadowolony! Czy to takie dziwne? Śmierć syna oszczędziła rodzinie Rawdonów niesławę, jaką okryłby ją proces sądowy i egzekucja. Dzięki staraniom Richarda, żeby nadać śmierci Johnny'ego pozory wypadku, mój syn miał przyzwoity pogrzeb na rodzinnym cmentarzu. I tam pozostanie, niezależnie od tego, czy popełniłem grzech, chowając go w poświęconej ziemi, czy nie.

Podziękowałem Richardowi za wszystko, co dla nas zrobił, ale gdy zapytał, od kogo się dowiedziałem, odmówiłem odpowiedzi. Nie mogłem się przyznać, że ugiałem się przed pogrózkami szantażysty i że jeszcze ktoś zna prawdę i żąda pieniędzy za milczenie. Zapłacę. Muszę zapłacić. Gdyby prawda wyszła na jaw, nazwisko Rawdon zostałoby okryte hańbą na wieki. Co by się wtedy stało z Leksi? Richard obiecał mi, że od niego moja córka nie dowie się prawdy.

A jeśli ten nikczemnik okaże się człowiekiem chciwym i w przyszłości będzie żądał coraz więcej? Rawdon to wspaniałe dobro, ale to w większości ziemia. Miałbym problemy ze zdobyciem większej ilości gotówki. Będę jednak musiał sobie poradzić. Na razie jeszcze mam czym płacić. Och, Johnny, Johnny!

Leksi drgnęła, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł Richard.

- Oddaj mi to!

Podła mu kartkę bez słowa. Spojrzał na jej zbielełą twarz.

- Przeczytałaś - stwierdził. Podtrzymał ją, bo chwiała się na nogach. - Jesteś idiotką, Aleksandro! Cholerną idiotką! I co ci przyszło z tego, że poznałaś prawdę?

Odepchnęła go, jej oczy płonęły gniewem.

- Prawdę? Wierzysz w ten nonsens?

- Jesteś wstrząśnięta. Wiedziałem, że tak będzie. Poślę po Cissie. Chyba mamy jeszcze proszki nasenne doktora Loudona. Czujesz się lepiej, kiedy wypoczniesz.

- Zostaw mnie w spokoju! Nie chcę Cissie. I nie jestem wstrząśnięta, jestem wściekła! I zdumiona.

- Zdumiona?

- Jak ty i papa mogliście uwierzyć w zdradę Johnny'ego? To niemożliwe!

- Dowody były niepodważalne. Aleksandro, gdybym miał choć cień wątpliwości, nie spocząłbym, póki nie udowodniłbym jego niewinności. Do licha, czy sądzisz, że chciałem uznać winę Johnny'ego? Był moim przyjacielem, zawdzięczam mu życie... - Urwał i odwrócił się.

- Jakie dowody? Pewnie niezbyt dokładnie je zbadałeś. - Richard nie odpowiedział od razu, więc zaczęła krzyczeć: - Odpowiedz! Z góry uprzedzam, Deverell, że nic mnie nie zmusi, bym uwierzyła w zdradę mojego brata! Takie postępowanie nie leżało w jego naturze! Miał swoje wady, oczywiście, ale coś takiego?! Nigdy, słyszysz? Nigdy!

- Zrobiłem wszystko, żeby dotrzymać słowa danego twojemu ojcu - powiedział. - Nie udało się. W tej sytuacji chyba lepiej powiedzieć ci całą prawdę. Nie będziesz mogła upierać się, że Johnny był niewinny.

Leksi zbliżyła się do Richarda i spojrzała mu prosto w oczy.

- I tak nie uwierzę, ale chcę poznać dowody, żeby znaleźć błąd w waszym rozumowaniu.

Richard popatrzył na Leksi ze współczuciem.

- Chyba napiłbym się wina. Tobie także dobrze by zrobiło. Richard posłał po karafkę wina i kieliszki. Usiedli oboje w fotelach. Leksi cierpliwie czekała, aż Richard wypije trunek i zbierze myśli. Chciała poznać najdrobniejsze szczegóły tragicznych wydarzeń. Wreszcie zaczął mówić.

- Kiedy w kwietniu zostałem skierowany do służby w Gwardii Konnej, Johnny służył tam już od kilku miesięcy. Od razu zauważyłem, że jest nieswój, źle się tam czuje, pragnie brać udział w walce, a nie, jak to określał, przerzucać papierki z miejsca na miejsce. Sama mnie wtedy pytałaś, czy Johnny pije. Pił. O wiele za dużo, więcej niż przypuszczasz. I uprawiał hazard. - Na ustach Richarda pojawił się cień uśmiechu. - Oboje wiemy, że nie miał głowy ani do jednego, ani do drugiego.

Leksi potwierdziła, wpatrując się w niego z napięciem.

- Opowiadam ci o tym, żeby nakreślić tło późniejszych wydarzeń. Martwiłem się, ale byłem przekonany, że kiedy wreszcie znajdziemy się w akcji, obojętne - w Belgii czy we Francji, Johnny znów stanie się sobą. Był urodzonym żołnierzem. Jednym z najlepszych.

- Właśnie dlatego jestem pewna, że nie zdradził. Johnny był prostoduszny. Nieco egoistyczny, ale odważny i szczery. Dlaczego właśnie ty go oskarżyłaś?

- Niestety, nie miałem wyboru. Zaraz po przyjeździe dowiedziałem się, że dowództwo Gwardii Konnej boryka się z poważnym problemem. W jej szeregach znalazł się tajny agent, który sprzedawał informacje szpiegom Bonapartego. Niektóre dokumenty i listy, powierzone pieczy Johnny'ego i mojej, były łakomym kąskiem dla obcego wywiadu. Na przykład desperackie prośby księcia Wellingtona o ludzi i broń, zawierające niekiedy informacje o żywotnym znaczeniu, choćby plany rozmieszczenia wojsk sprzymierzonych. Księżę wybrał nas na oficerów

łącznikowych, bo znając strategię, byliśmy w stanie wyjaśnić właściwym ludziom jego zamiary. Musieliśmy więc zachować szczególną ostrożność.

- Innymi słowy, księżę wiedział, że może mieć do was pełne zaufanie. Do was obu.

- Był przekonany, że tak.

- I miał rację. Na razie dowiedziałam się od ciebie tylko tyle, że Johnny nudził się w Londynie i szukał rozrywki w niewłaściwych miejscach. A to nie jest zagrożone karą śmierci, prawda?

- Trochę cierpliwości, Aleksandro, niełatwo mi o tym mówić. - Richard wypił parę łyków wina. -

Poproszono mnie w tajemnicy, żebym miał oko na pewną osobę, nie wojskowego, lecz cywila.

Podejrzewano, że ten człowiek mógł być francuskim agentem. Pewnego dnia otrzymaliśmy poufną informację, iż jeszcze tej nocy spodziewa się on wiadomości o ogromnym znaczeniu.

Zabrałem ze sobą dwóch najbardziej zaufanych sierżantów, którzy walczyli pod moim dowództwem na Półwyspie Iberyjskim, i poszliśmy za agentem aż do gospody na przedmieściu.

Wydawało się, że Richard zapomniał o obecności Leksi. Przed jego oczami ponownie

przesuwały się sceny, których świadkiem był kilka miesięcy temu, a jego głos zdradzał, jak bardzo je nadal przeżywa, jak głęboko nad nimi boleje.

- Wewnątrz było ciemno, tłok, dym tytoniowy. Śmierdziało okropnie. Nie mieliśmy na sobie mundurów i nikt nie zwracał na nas uwagi. Człowiek, którego śledziliśmy, siedział w kącie, w pobliżu drzwi... - Urwał.

- Mów dalej! - zawołała niecierpliwie Leksi.

- Czekaliśmy. Wreszcie ktoś się do niego przysiadł. Miał na sobie pelerynę i nasunięty na oczy kapelusz. Już na pierwszy rzut oka wyglądał podejrzanie. Obserwowaliśmy, jak targowali się o pakiet, który człowiek w pelerynie trzymał w ręku. W końcu przekazał paczkę w zamian za sakiewkę. Ciągle mam przed oczami tę sakiewkę, przesładuje mnie ten obraz. Widzę, jak Francuz podaje ją na wyciągniętej dłoni. Kiedy ten drugi zacisnął na niej palce, dziwnym zrządzeniem losu padł na nią promień światła, widziałem więc wyraźnie, jak ją wziął.

- Co zrobiłeś?

- Ruszyliśmy na nich. Najpierw uratowaliśmy dokumenty, bo ich ocalenie miało żywotne znaczenie dla kraju. Jeden z moich sierżantów aresztował francuskiego agenta. Niestety, niektórzy ze stałych bywalców gospody uznali, że doszło do bójki, i postanowili się przyłączyć. W ogólnej bijatyce człowiek w pelerynie i kapeluszu zniknął.

- Mój ojciec sądził, że maczałeś w tym palce.

- Tak? - Twarz Richarda była nieprzenikniona. - Może rzeczywiście maczałem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, rozpoznałem człowieka w pelerynie. To był Johnny.

- To niemożliwe! Mroczna tawerna, peleryna, nasunięty na oczy kapelusz... Jak możesz być pewien?

- Widziałem przez chwilę jego twarz.

- Przez chwilę. Pod rondem kapelusza.

- To był kapelusz Johnny'ego. Doskonale mi znany, zniszczony, stary kapelusz, który Johnny nosił od lat. W Hiszpanii niemal nie zdejmował go z głowy dla ochrony przed słońcem.

- Z pewnością na świecie są setki takich kapeluszy. Nie, Deverell, nie przekonałeś mnie.

- To jeszcze nie wszystko.

- Mów!

- Twój ojciec miał rację, byłem pewien, że to Johnny, i gdy udało mi się zabezpieczyć dokumenty, pozwoliłem mu ulotnić się w wywołanym przez bijatykę zamieszaniu. Nie spuszc-

czalem go jednak z oka. Kiedy dotarł do drzwi, jeden z bywalców gospody przypadkowo strącił mu kapelusz z głowy. Johnny nie miał tak jasnorudych włosów jak ty, ale i tak rzucały się w oczy.

Leksi nie chciała ustąpić.

- Nie jesteśmy jedyną rudowłosą rodziną w Anglii. Zresztą ten człowiek mógł być Irlandczykiem.

Richard opowiadał dalej, jakby Leksi w ogóle się nie odezwała.

- Zabrałem dokumenty i dopilnowałem wyprowadzenia Francuza. Kiedy wróciłem na kwatere, Johnny leżał martwy z głową na stole. Zastrzelił się.

Leksi wstała i odeszła w drugi koniec pokoju. Odwrócona plecami do Richarda, powiedziała z bólem:

- Z tym jednym nie mogę dyskutować. Nie sposób zaprzeczyć, że tej nocy Johnny zmarł.

Wierzę, że zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby jego śmierć wyglądała na wypadek, bo chciałeś oszczędzić nam cierpienia.

- Dziękuję - odparł z przekąsem Richard.

- Nadal jednak nie przyjmuję do wiadomości twojej historii. - Gwałtownie odwróciła się w stronę męża.

- Czego jeszcze żądasz, do licha? Z jakiego innego powodu miałyby się zastrzelić?

Niespodziewanie zobaczył mnie w gospodzie. Musiał zdawać sobie sprawę, że został rozpoznany i nie ma dla niego ucieczki. - Richard ukrył twarz w dłoniach. - Boże, Aleksandro - rzekł zdławionym głosem. - Pomyśl tylko, jak się wtedy czułem. Zrozum, gdyby istniało jakiegokolwiek inne wytłumaczenie, uchwyciłbym się go kurczowo, obiema rękami.

- Johnny nie był zdrajcą - powtórzyła Leksi z uporem. Richard odjął ręce od twarzy i powiedział wolno, z naciskiem:

- Dokumenty, które miały zostać sprzedane Francuzom, znajdowały się przez cały dzień w rękach Johnny'ego. Na własne oczy widziałem te papiery na jego biurku tego popołudnia. Rozzłościłem się nawet, że tak beztrząsliwie zostawia je na wierzchu, gdzie każdy mógłby je zobaczyć.

To było jak cios w splot słoneczny. Nogi ugięły się pod Leksi i musiała usiąść. Richard nalał jej kolejny kieliszek wina.

- Wypij.

Wzięła od niego kieliszek i upiła odrobinę, ale ręce tak jej się trzęsły, że kilka kropel wylało się na suknię.

- Pozwól, że ci pomogę. - Richard wyjął jej z palców kieliszek, ukląkł przy fotelu i zbliżył wino do jej warg. - Jesteś bledsza niż przy ołtarzu w czasie ślubu. I to przeze mnie. Dlaczego, u licha, byłem tak niedbały? Dlaczego nie schowałem tej kartki tak, byś jej nigdy nie znalazła?

Leksi wypila łyk wina, po czym odsunęła kieliszek.

- Nie mów tak. Gdybym jej nie zobaczyła, nie moglibyśmy starać się udowodnić niewinności Johnny'ego.

- Z całego serca chciałbym to zrobić - powiedział łagodnie. - Ty dowiedziałaś się o postępkach Johnny'ego przed chwilą, a ja muszę z tym żyć od wielu miesięcy. Johnny był winien, bez cienia wątpliwości. Nie sposób udowodnić, że było inaczej. Jesteś wstrząśnięta, to zupełnie naturalne. Nie potrafię wyrazić, jak ja się czułem, jak nadal się czuję. Zrozumiałem jednak, że aby żyć dalej, trzeba zaakceptować jego winę i spróbować mu wybaczyć.

Leksi poderwała się, strącając przy tym kieliszek wina.

- Nie bądź głupi! - krzyknęła. - Mówię ci, że nie mamy mu czego wybaczać! Owszem, przeżyłam wstrząs i rzeczywiście jestem wytrącona z równowagi. Ale jeszcze nie zwariowałam. Musiałabym być naprawdę niespełna rozumu, żeby uwierzyć w tę bzdurę.

- Twój ojciec nie przyznałby ci racji. Przyjął to...

- Ojciec był stary i chory. Już sama przedwczesna śmierć Johnny'ego była ciosem. Nawet on nie mógł uwierzyć w jego zdradę, dopóki nie przybyłeś ze swoimi tak zwanymi dowodami.

- Gdybyś uważniej przeczytała zapiski ojca, wiedziałabyś, że niczego nie musiałem mu udowadniać. Jakiś człowiek znał fakty i zagroził, że ujawni je całemu światu, jeśli nie dostanie pieniędzy. Zanim się o tym dowiedziałem, twój ojciec doprowadził się już do ruiny, żeby zaspokoić żądania szantażysty. Daję słowo, że starałem się namówić sir Jeremy'ego do stawienia czoła nikczemnikowi, ale on bał się zaryzykować. Zapewniam cię, Aleksandro, że informacje szantażysty były w najdrobniejszych szczegółach prawdziwe.

- Z wyjątkiem tego, co najważniejsze: że to nie Johnny sprzedał dokumenty wagi państwowej.

- Dobry Boże, ależ jesteś uparta! Jak można być tak ślepą? Wszystkie dowody świadczą przeciwko Johnny'emu.

Leksi milczała przez kilka minut i Richard doszedł do wniosku, że wreszcie zdołał ją przekonać.

- Chcę pojechać do Londynu - oznajmiła nagle.

- Do Londynu? Co zamierzasz tam robić?

- A co mogę zrobić w Somerset?

- Chyba nie rozumiem, o czym mówisz.

- Zwykle nie jesteś taki niedomyślny, Deverell. Chcę zobaczyć miejsce, w którym zginął Johnny, spotkać się z jego przyjaciółmi i współpracownikami. Ale przede wszystkim chcę porozmawiać z człowiekiem, który towarzyszył ci tamtej nocy.

Richard wpatrywał się w nią w osłupieniu. Kiedy się otrząsnął, oświadczył z naciskiem:

- Nie ma mowy. Nie pozwolę ci się nawet do nich zbliżyć.

- Dlaczego? - zapytała.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że wymogłem na nich obietnicę, że w sprawie Johnny'ego będą milczeli jak zakłeci. Przecież oni też go rozpoznali. A zgodzili się dlatego, że od lat znali i lubili Johnny'ego. Niektórzy z nich nawet... - Urwał.

- Nawet co? - podsunęła.

- Francuz zginął tamtej nocy podczas bijatyki. Nie jestem pewien, kto go zabił, podejrzewam jednak, że sierżant Chalmers doszedł do wniosku, iż tak będzie lepiej. Martwy człowiek nie gada za dużo. Sierżant był lojalny w stosunku do przełożonych, a Johnny był jego ulubionym oficerem. - Richard milczał przez chwilę, po czym dodał: - Dlatego nie wierzę, by któryś z sierżantów szantażował potem twojego ojca. Nie mam jednak pojęcia, kto poza nimi mógł znać prawdę. Zamierzałem ich o to zapytać, ale sir Jeremy zmarł i uznałem, że lepiej dać temu spokój.

- W takim razie jeszcze bardziej zależy mi na rozmowie z nimi.

- Powiedziałem: nie! To nie są ludzie, z którymi powinnaś się spotykać.

- Nie opowiadaj byle czego! Zrobię to, co uznam za konieczne. Nie wiem tylko, czy dam sobie radę sama. Będziesz musiał mi pomóc.

- W czym? W rozbijaniu głową muru? W tym na pewno ci nie pomogę, Aleksandro. Pamiętaj, że jeśli zaczniesz zadawać pytania na temat okoliczności jego śmierci, możesz zniszczyć to, co udało mi się zrobić dla ocalenia czi Johnny'ego i twojej rodziny.

- Rozumiem - odezwała się Leksi po namyśle. - Wybacz, ale chciałabym położyć się do łóżka. Sama.

Richard skłonił głowę.

- Oczywiście - oświadczył chłodno. - Należało się tego spodziewać. - Znów był pełnym rezerwy, opanowanym mężczyzną, jakiego dawniej znała. - Przysnęła pokojówkę, żeby wytarła wino z podłogi. Możesz chwilę poczekać? Dopilnuję, by przyszła niezwłocznie. Dobranoc, Aleksandro. - Skłonił się i wyszedł.

Zamiast spać, Leksi obmyślała plany. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby Richard zgodził się jej pomóc, ale jego odmowa ani jej nie zaskoczyła, ani nie zniechęciła. Wiedziała, że brat był niewinny, i postanowiła to udowodnić. Jej matka chrzestna ma spore grono znajomych, któryś z nich mógłby okazać się pomocny. Pod jednym względem Richard ma rację. Prowadząc własne dochodzenie, musi dołożyć wszelkich starań, by nie wzbudzić najmniejszych wątpliwości co do okoliczności śmierci Johnny'ego. Wszyscy byli przekonani, że zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku, i tak musi pozostać, póki nie uda jej się udowodnić jego niewinności.

Dopiero nad ranem udało jej się zasnąć, ale po godzinie czy dwóch obudziła się zalana łzami. Nękała ją wspomnienie poprzednich nocy, gdy czuła przy sobie ciepło ciała Richarda, tęskniła do ukojenia, jakie znalazła w jego ramionach, do jego siły i namiętności...

Zdołała wziąć się w garść. Jak błyskawicznie Richard się zmienił, kiedy go odtrąciła, jak zdecydowanie ją odepchnął. Czy zachowywałby się w taki sposób, gdyby ją kochał? I, przede wszystkim, czy tak łatwo przyjąłby jej decyzję, że będzie spała sama? Nie, Richard prawdopodobnie ożenił się z nią z litości, jak sądzili lady Honoria i Mark.

Nie mieściło jej się w głowie, że Richard uznał Johnny'ego za winnego zdrady kraju. Jak mógł?! Po tylu latach przyjaźni, po wspólnie spędzonym dzieciństwie i późniejszych doświadczeniach życiowych... To Richard był zdrajcą, to on sprzeniewierzył się wyjątkowej więzi, jaka łączyła ich troje. Zarzucał jej brak zaufania. A gdzie się podziało jego zaufanie? To jego własna niewiara skruszyła fundamenty, na jakich został zbudowany ich związek.

Leksi zadrzała. Tydzień takiego szczęścia, jakiego w życiu nie zaznała, i oto pomiędzy nią a Richardem otworzyła się przepaść. Przepaść, która pogłębi się jeszcze, gdy Leksi zacznie realizować plany, które właśnie obmyślała.

Richard postawił przy łóżku butelkę brandy. Napełnił szklaneczkę, wychylił ją jednym haustem i nalał ponownie. Ponuro patrzył w sufit. Po latach oczekiwania i niespodziewanych traumatycznych przejściach podczas ślubu i w następnych dniach osiągnął wreszcie wymarzony cel szczęśliwe życie w Channings wraz z ukochaną kobietą. Ich wzajemne uczucie, wspólne dzieci mogły ożywić te puste mury, mogły zburzyć bariery, którymi otoczył się Richard, by już nikt nie zranił go tak, jak niegdyś uczynił to ojciec.

To były mrzonki, które przetrwały tylko tydzień. Teraz stali się sobie bardziej dalecy niż kiedykolwiek. Jak ona mogła choć przez chwilę pomyśleć, że poślubił ją z poczucia obowiązku? Jak mogła nie zauważyć, że kocha ją nad życie? Dlaczego ma do niego tak mało zaufania, że jedna uwaga kuzyna, którego znała zaledwie od miesiąca czy dwóch, zmieniła jej nastawienie? Aleksandra przypomniała mu Johnny'ego i zmusiła go, by wrócił pamięcią do najgorszych chwil swego życia.

Ze straszliwą wyrazistością stanęła mu przed oczami scena w gospodzie, kiedy rozpoznał kapelusza, i gdy przejrzał tamte przekłete dokumenty. Pospiesznie wracał do domu, żywiąc nadzieję, że nastąpiła pomyłka, a powierzone opiece Johnny'ego papiery nadal spoczywają bezpiecznie na stole. Albo że zastanie na kwaterze samego Johnny'ego, który przedstawi mu wiarygodnie wyjaśnienia, na przykład udowodni, iż to był podstęp czy pułapka zastawiona na Francuza.

Richard był przyzwyczajony do widoku krwi - który żołnierz nie jest do tego przyzwyczajony? - nigdy jednak nie zapomni szoku, jakiego doznał na widok ciała Johnny'ego leżącego w ciemnej kałuży.

Dlaczego Johnny nie zginął w bitwie? On przeżyłby to ciężko, tęskniłby bardzo, ale w końcu nauczyłby się z tym żyć i byłby dumny, że znał Johnny'ego Rawdona. Ale to było jak rak, zżerający znany mu - jak mu się wydawało - obraz przyjaciela, wszystko, co w nim podziwiał. A teraz siostra Johnnyego Rawdona postanowiła wbrew faktom dowieść jego niewinności. To niemożliwe.

Richard leżał bezsennie i systematycznie dolewał sobie brandy. Tylko w ten sposób mógł znaleźć zapomnienie. Wreszcie osiągnął cel i zapadł w niespokojny, pełen widziadeł sen. W jednej chwili miał przy sobie Aleksandrę, która odpowiadała na jego pieszczoty z namietnością, jakiej się nie spodziewał. Taką Aleksandrę, jaką była przez cały ubiegły tydzień. Potem nagle znajdował się znowu w tamtej gospodzie i jego żona z rozwianymi włosami znikła za drzwiami, próbując uciec z torbą zbyt ciężką na jej wątłe siły. Przyśniło mu się leżące na stole ciało Johnnyego z zakrwawioną głową... Kiedy jednak przyjrzał się uważniej, okazało się, że to nie była twarz Johnnyego. To była twarz Aleksandry.

Richard zerwał się z łóżka. Czuł się fatalnie. Nalał sobie kolejną szklaneczkę brandy i aż do świtu siedział w fotelu przy oknie. Co, do diabła, powinien zrobić?

Następnego dnia Richard zapowiedział, że nie będzie go w domu do wieczora. Nie wyjaśnił, co zamierza, a Leksi nie pytała. Wyjazd męża wydawał jej się niespodziewanym prezentem od losu. Z samego rana napisała dwa listy i kazała je spieszenie dostarczyć do urzędu pocztowego w Dorchester, żeby zostały wyekspediowane pierwszym dyliżansem. Potem wybrała się do stajni, znalazła Willa Osbornea i kazała mu za godzinę podstawić gig. Wyjaśniła, że chce się wybrać na krótką przejażdżkę do Dorchester. Wybrała też parę sztuk garderoby i zapakowała je do kuferka, który przyniosła ze strychu. Na koniec napisała list do Richarda i starannie go zapieczętowała. Wsunęła go do skrytki w wieczku kasetki z biżuterią.

Richard przez cały poranek galopował po mało uczęszczanych drogach. Wreszcie świeże powietrze i panująca wokół cisza złagodziły nękający go ból głowy i wróciła mu zdolność logicznego myślenia. Wiele się wydarzyło od dramatycznej sceny w zakrystii, doszedł jednak do wniosku, że był idiotą, skoro choć przez chwilę wierzył, iż możliwe jest szczęście w miłości. Bardzo wcześnie odkrył tajemnicę szczęścia: polegała na kontrolowaniu własnych uczuć i nieoczekiwaniu niczego od nikogo. W ostatnim tygodniu zapomniał o tej zasadzie, ale w przyszłości powinien o niej pamiętać.

Z typową dla siebie dyscypliną wewnętrzną Richard zdołał odsunąć własne cierpienie i zaczął rozważać sprawę Johnnyego. Dlaczego Aleksandra nie potrafi tak ślepo uwierzyć w męża, jak wierzy w brata? Jej przeświadczenie o niewinności Johnnyego było niezgodne z elementarną logiką, ze zdrowym rozsądkiem, ale niezachwiane. Richard przypomniał sobie jej żarliwe próby przekonania go i mimowolnie zaczął zastanawiać się nad własnym osądem Johnnyego. Fakty świadczyły niezbicie o zdradzie przyjaciela; poza jednym szczegółem wszystko pasowało jak ulał.

Poza jednym szczegółem... Richard nie znalazł przy Johnnym sakiewki, którą Francuz wręczył mu w gospodzie. Przeszukał bardzo dokładnie pokój przyjaciela i wszystkie jego rzeczy, żeby upewnić się, czy nic nie obali jego teorii nieszczęśliwego przypadku. Nigdzie nie natrafił na większą sumę pieniędzy. Gdzie się podziała sakiewka? Nie wierzył, by któryś ze służących mógł ją ukraść i odejść, nie podnosząc alarmu. Na widok zwłok Johnnyego każdy wybiegłby z pokoju z krzykiem. Poza tym służący przez cały dzień przebywali poza domem.

Gdzie się podziały pieniądze?

Zawrócił do Channings. Podjął decyzję. Postanowił spełnić życzenie Aleksandry i zabrać ją do Londynu. Nie może obalić jej niezachwianej pewności, że w sprawie Johnny'ego wszyscy się pomylili, dopóki choćby jedno pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Po powrocie usłyszał, że żona wybrała się do Dorchester. Zdziwił się, że po przeżyciach poprzedniego dnia miała na to siłę, i zachodził w głowę, co zamierza tam robić. To prawda, że był właśnie dzień targowy. Może liczyła na to, że wyprawa oderwie ją od smutnych myśli? Odczuwał rozczarowanie, że nie może od razu jej zawiadomić, że zmienił zdanie. Mógł jednak poczekać. Aleksandra jest bezpieczna. Zabrała ze sobą szczerze jej oddanego Willa Osborna, który z pewnością nie dopuści, by się przemęczała.

Richard poszedł do biblioteki. Skoro w najbliższym czasie planował podróż z Aleksandrą do Londynu, musiał uporządkować pewne sprawy. Należało uprzedzić o przyjeździe personel miejskiej rezydencji przy Brook Street, a także wydać polecenia służbie w majątku. Jeden ze stajennych został wysłany z listem do londyńskiej gospodyni, a następny na plebanię z przeprosinami, że Richard nie weźmie udziału w planowanym zebraniu. Wkrótce w całym domu rozgorzały gorączkowe przygotowania. Decyzja zapadła nieoczekiwanie, ale to nie powód, żeby ją odkładać. Wszyscy domownicy byli zaskoczeni, iż jego lordowska mość wybiera się ze świeżo poślubioną żoną do Londynu.

Rozdział dziesiąty

Richard załatwił większość najpilniejszych spraw i zaczął się zastanawiać, gdzie się podziewa Aleksandra. Rozległo się pukanie i w drzwiach stanęła pani Chowen, której twarz wyrażała niezwykle u niej zatroskanie.

- O co chodzi? - zapytał Richard.

- Proszę o wybaczenie, milordzie - powiedziała, dygając. - Martwimy się o lady Deverell. W Dorchester nie ma zbyt wiele do oglądania, nawet w dzień targowy, a pani tak długo nie wraca. Wszyscy jesteśmy zdania, że powinna już być w domu.

- Myślę, że nie ma powodów do zmartwienia, pani Chowen. Jest całkowicie bezpieczna, ma przy sobie Osborna.

Pani Chowen nie wyglądała na uspokojoną. Widać było, że się waha i chce coś powiedzieć.

- Coś jeszcze, pani Chowen?

- Pod drzwiami stoi pokojówka lady Deverell, milordzie. Chyba ma panu coś do przekazania.

- Cissie? Przyślij ją tutaj.

Służąca weszła, dygnęła przepisowo i spojrzała na panią Chowen pytająco.

- Tak? - odezwał się Richard. - O co chodzi?

- Pani Chowen uważa, że powinnam panu o tym powiedzieć...

- Więc mów - mruknął zniecierpliwiony Richard.

- Chodzi o to, milordzie, że kiedy kazano mi zapakować pani rzeczy na wyjazd do Londynu, to zauważyłam, że na toalecie brakuje niektórych przyborów. Zniknęła również jedna z nocnych koszul mojej pani. I kilka książek, które leżały na stoliku w rogu pokoju.

Richard wstał.

- Jesteś pewna?

- Tak, całkiem pewna. Znam wszystkie rzeczy należące do mojej pani.

Richard wbiegł po schodach na piętro. Rozejrzał się po sypialni żony i doszedł do wniosku, że pokojówka się nie pomyliła. Brakowało podstawowych przyborów toaletowych Aleksandry. Richard otworzył kasetkę z biżuterią i zajrzał pod wieczko. Zniknęły kartki z dziennika sir Jeremy'ego. Ich miejsce zajęła notatka adresowana do Richarda.

Richardzie!

Nie chciałeś mnie słuchać, muszę więc zrobić to sama. Zamieszkałam u mojej matki chrzestnej w Londynie. Proszę, nie przyjeżdżaj, żeby mnie zabrać. Straciłbyś tylko czas.

Aleksandra

Richard wpatrywał się w liścik z rosnącym gniewem. To się nie mieściło w głowie! Aleksandra wyjechała do Londynu bez uprzedzenia, nie dając mu szansy wyjaśnienia, że postanowił ją tam zabrać. Właściwie dlaczego się dziwi? Ta dziewczyna najpierw działa, a potem dopiero myśli o możliwych konsekwencjach postępowania. Co ona, u licha, chciała zdziałać na własną rękę w Londynie?

Richard podszedł do okna, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Po chwili do gniewu dołączyła troska. Jak mogła wybrać się do Londynu pod opieką jednego tylko, i to starszego, stajennego? W jaki sposób chce dotrzeć do stolicy? Przecież nie dysponuje wystarczającymi środkami, żeby bezpiecznie odbyć podróż. Mogło jej się coś stać. Will Osborne nie na wiele się przyda w razie poważnego niebezpieczeństwa. Richard zamknął oczy i zaczął wymyślać sobie w duchu od idiotów. W ten sposób na pewno nie rozwiąże problemu. Wpadanie w panikę nic nie da. Musi natychmiast jechać za nią, oczywiście, a to oznaczało zmianę planów. Ruszył ku drzwiom, gdzie natknął się na panią Chowen.

Widać było, że wchodziła na piętro w pośpiechu, bo była zaczerwieniona i zadyszana.

- Will Osborne wrócił, milordzie. Sam.

- Co?!

- Nie miałam czasu z nim porozmawiać, przyjechał przed chwilą.

Richard minął ją i szybko zbiegł na dół. Stajenny stał w holu, wyraźnie zakłopotany i miał w dłoniach kapelusz.

- Co ty tu robisz, do diabła, Osborne? Gdzie jest pani? Dlaczego z nią nie zostałeś?

- Pani jest w drodze do Londynu, milordzie. Przed godziną wsiadła do dyliżansu w Dorchester. Nie uprzedziła mnie o swoich zamiarach. Nie wiedziałem, co robić, wróciłem tu jak najszybciej, żeby pana powiadomić.

Richard nie tracił czasu na pytanie, dlaczego stajenny nie próbował powstrzymać swojej pani. Znał Aleksandrę, była aż nazbyt stanowcza.

- Ale dlaczego nie pojechałeś razem z lady Deverell?

- Nie mogłem. Mieli komplet pasażerów i nie pozwolili mi wsiąść. - Will Osborne był wyraźnie zawstydzony. - Bardzo przepraszam, milordzie, ale panna Leksi zawsze robiła ze mną, co chciała.

Richard zastanawiał się.

- Dyliżans, mówisz?

- Do Salisbury, milordzie. Dzisiaj pani dalej nie zajędzie. Pytałem w kasie biletowej i powiedzieli, że dyliżans będzie w Salisbury około siódmej.

- W dyliżansie nic złego jej się nie stanie, najwyżej będzie jej bardzo niewygodnie. Mówiłeś, że mieli komplet?

- Szpilki nie dałoby się wcisnąć. Pojechałbym, gdyby było choć jedno wolne miejsce.

- O siódmej w Salisbury... Chyba nie uda się dogonić tego dyliżansu wcześniej. Dobrze, możesz odejść.

Osborne zatrzymał się przy drzwiach.

- Chciałbym... chciałbym pojechać z panem, milordzie, jeśli zgodzi się pan mnie zabrać.

Richard spojrział na jego pokrytą kurzem twarz i przygarbioną ze zmęczenia sylwetkę.

- Raczej nie. Będę jechał szybko, a ty musisz odpocząć, bo o ile się nie mylę, to w drodze powrotnej z Dorchester nie oszczędzałeś ani siebie, ani koni, prawda?

- Martwiłem się o pannę Leksi. Nadal się martwię.

- Nie musisz. Znajdę ją bez wątpienia. O ile dobrze pamiętam, to Rawdonowie zatrzymywali się w Salisbury w zajeździe „Pod Białym Jeleniem”, prawda?

- Tak, milordzie. Pan zawsze tam stawał, kiedy przyjeżdżał do Salisbury. Dobrze nas tam znają.

- A więc i ona tam będzie. Dziękuję. Powiedz Colesowi, żeby osiodłał dwa najlepsze wierzchowce, a potem zajmij się własnym zaprzęgiem i odpocznij.

Nie było czasu na systematyczne przygotowania do podróży do Londynu. Richard upewnił się tylko, czy służba zna swoje obowiązki, i kazał lokajowi natychmiast spakować podręczną torbę. Pani Chowen miała dopilnować, by bagaże lady Deverell wraz z jej pokojówką znalazły się w lordowskim powozie następnego dnia przed świtem, przypomniał też głównemu koniuszemu i stangretowi, że powóz ma być przed zajazdem „Pod Białym Jeleniem” w Salisbury, zanim wybijie południe następnego dnia.

W ciągu pół godziny Richard wyruszył do Londynu przez Salisbury. Uśmiechnął się ponuro.

Lady Deverell czeka niespodzianka.

Leksi nigdy dotychczas nie podróżowała dyliżansem i doświadczenie to nie bardzo przypadło jej do gustu. Pojazd turkotał i kołysał się na trasie wiodącej przez Piddletown, Winterbourne, Whitchurch i Blandford, zatrzymywał się i ruszał znowu, ale przez cały czas był jednakowo zatłoczony. Leksi siedziała wciśnięta pomiędzy kobietę o imponującym obwodzie talii a chudego aplikanta adwokackiego o niewyobrażalnie spiczastych łokciach. Urzędniczyną był małomówny, za to pokaźna jejmość gadała bez przerwy. Kiedy dotarli do Blandford, Leksi rozboleła głowa. Z zadowoleniem wysiadła wraz ze wszystkimi pasażerami, żeby rozprostować nogi i odetchnąć chłodnym, wieczornym powietrzem. Chudziutki aplikant opuścił dyliżans w Blandford, ale jego miejsce zajął dwa razy grubszy farmer, który jechał do Salisbury odwiedzić syna. Urzędniczyną był przynajmniej milczący, za to rolnik najwyraźniej lubił mówić. Miał donośny, przenikliwy głos i przez resztę podróży wymieniał ponad głową Leksi uwagi z tęgą niewiastą.

Kiedy dyliżans wtoczył się wreszcie do Salisbury, nękający Leksi ból głowy stał się nie do zniesienia, nogi jej tak zeszywniały, że zastanawiała się, czy będzie mogła chodzić. Suknia była tak wygnieciona, że nadawała się już tylko do wyrzucenia. Marzyła o tym, żeby się umyć.

Wydostała się z dyliżansu i zaczęła rozglądać się za swoim bagażem.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział znajomy głos. Odwróciła się i zobaczyła Richarda, który uśmiechał się ironicznie na widok jej wysiłków, by się wyprostować.

- Ty! - zawołała. - Jak się tu znalazłeś?

- Niewątpliwie podróżowałem w bardziej komfortowych warunkach niż ty. - Richard podał żonie ramię, przekazując bagaże tragarzowi. - Pozwoliłem sobie zmienić twoją rezerwację w gospodzie „Pod Białym Jeleniem” - powiedział. - Wygodniej ci będzie w pokojach, które wynająłem dla nas obojga.

Leksi bez protestów poszła wraz z mężem do apartamentu mieszczącego się na pierwszym piętrze zajazdu. Przeraziła się na widok własnego odbicia w lustrze.

- Niestety, wyjechałem z domu w takim pośpiechu, że nie zabrałem dla ciebie garderoby na zmianę - powiedział Richard. - Jutro w południe dotrze tutaj powóz z Cissie. Wtedy dostaniesz czystą odzież.

- Powóz? - Twarz Leksi była pozbawiona wyrazu. - Napisałam ci przecież, że wybieram się do Londynu.

Richard miał za sobą ciężki dzień, którego ukoronowaniem była szaleńcza jazda z Channings do Salisbury. Powiedział więc stanowczo:

- Gdybym zechciał, moja panno, to zabrałbym cię z powrotem do Channings, czy byś sobie tego życzyła, czy nie! Skoro zachowujesz się jak rozkapryszony dzieciak, to tak będziesz traktowana.

- Czy to, że pragnę przywrócić bratu dobre imię, to dziecinada?! - krzyknęła rozgniewana Leksi.

- W tej chwili w oczach świata imię twojego brata jest nieskalane. Cholernie się namęczyłem, żeby do tego doprowadzić. Cała ta konstrukcja może bardzo szybko runąć, jeśli zaczniesz zadawać pytania i budzić wątpliwości, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Aleksandro, czy ty nie nauczysz się myśleć przed przystąpieniem do działania?

- Co to znaczy?

- Sądziłem, że ostatnio czegoś się nauczyłaś. Jak może pamiętasz, nie tak dawno ledwie udało mi się cię nakłonić, byś nie strzeliła. Gdyby nie to, już bym nie żył. Przyznasz chyba, że popełniłabyś poważny błąd.

- Byłam chora. Nie wiedziałam, co robię.

- Ale i tak byłbym martwy.

- Gdybyście obaj z moim ojcem dopuścili mnie do tajemnicy, zamiast wszystko przede mną ukrywać, nigdy by do tego nie doszło - broniła się Leksi.

- Gdybyś miała do mnie zaufanie, także by do tego nie doszło. Wolałaś jednak dać posłuch przekłętemu kuzynowi, którego prawie nie znałaś. Wczoraj również za twoim pozwoleniem narobił nam kłopotów.

- To niesprawiedliwe, Deverell. Nie możesz zwać winy na Marka. Masz pretensję, że powiedział mi prawdę? Rzeczywiście grałeś z papą w karty i rzeczywiście później się z nim kłóciłeś. Mark powiedział mi o tym tylko dlatego, że wprost go o to zapytałam po podsłuchaniu rozmowy służby. Zresztą mówiłam ci przecież, że nie dlatego chciałam cię zastrzelić. Marka nie było nawet w pobliżu, kiedy znalazłam najbardziej obciążający cię dowód i doszłam do wniosku, że zabiłeś Johnnynego.

- Doszłaś do wniosku! Właśnie! Nadal wyciągasz fałszywe wnioski, jesteś skłonna myśleć o mnie jak najgorzej. - Richard opanował się z wyraźnym wysiłkiem i ciągnął znacznie spokojniej:

- Tak nie może być, Aleksandro. Nie chcę takiego małżeństwa. Musisz mieć do mnie zaufanie, w przeciwnym razie nie będę mógł...

Leksi dała się ponieść emocjom.

- Czego nie będziesz mógł, Richardzie?! - krzyknęła. - Traktować mnie jak dorosłej kobiety? Odnosisz się do mnie jak do dziecka. Czy jesteś absolutnie pewien, że nie ożeniłeś się ze mną z litości?

- Aleksandro, nie zaczynaj od nowa. Dlaczego nie potrafisz uwierzyć, że to tylko złośliwy wymysł Marka?

- To nie był tylko wymysł Marka. Twoja ciotka Honoria powiedziała mi to samo.

- Ciotka Honoria? Kiedy?

- Podczas pierwszej rozmowy po przywiezieniu mnie do Channings. Robiła mi wymówki, że jestem niewdzięcznicą, a ty okazałeś mi tyle dobroci. Nie chciałam twojej dobroci.

- I wcale nie dobroć ci zaoferowałem.

- Nie wiem, co mi oferowałeś. Już niczego nie mogłam być pewna. A ona twierdziła, że ożeniłeś się ze mną z litości. Można mi chyba wybaczyć, że uwierzyłam w słowa Marka, skoro mówił to samo co twoja ciotka.

- Ten cholerny Mark nie ma o niczym pojęcia. Potrafi tylko intrygować.
- Próbował udzielić mi wsparcia i pomocy. Dlaczego bez przerwy go krytykujesz? Na pewno nie jesteś o niego zazdrosny?

Richard osłupiał.

- Zazdrosny? O Marka Rawdona? Dobry Boże, nie! - Wstrząsnął się z niesmakiem i zaczął krążyć dookoła pokoju. Wreszcie stanął i spojrzał Leksi w twarz. - A może to błąd? Może powinienem być zazdrosny? - Zobaczył jej minę i uniósł dłoń w przeproszającym geście. - Nie, zapomnij o tym. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Jak to możliwe, że do tego doszliśmy? - Odwrócił się gwałtownie i przeciągnął dłonią po włosach. - Chyba muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Leksi nie złagodniała.

- A ja chciałabym się wykąpać po tej okropnej podróży - powiedziała.

- Przyślę ci hotelową pokojówkę.

Służący przynieśli wodę i napełnili wannę ustawioną w sąsiednim pomieszczeniu. Richard nie wracał tak długo, że Leksi nie tylko zdążyła wziąć kąpiel, ale i coś zjeść. Była bardzo zmęczona, lecz postanowiła na niego poczekać. Nie rozwiązali jeszcze wszystkich problemów, a jej zależało na rozstrzygnięciu ich jeszcze tego wieczoru. Kiedy Richard wszedł do pokoju, siedziała w fotelu przy kominku.

- Myślałem, że będziesz spała - powiedział chłodnym tonem.

- Czekałam na ciebie. Musiałam się upewnić, czy dobrze zrozumiałeś. Nie wracam do Channings.

- Nigdy? - zapytał z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu.

Leksi była wstrząśnięta.

- Dlaczego to powiedziałaś? Wcale nie miałam tego na myśli. Channings to mój dom. Napisałam do matki chrzestnej, że przyjeżdżam na krótko do Londynu i chciałabym zatrzymać się u niej przy Curzon Street. Będzie mnie oczekiwała.

- Wobec tego się rozczaruje.

- Richardzie, mówiłam ci...

- Zanim posuniesz się dalej - przerwał jej zmęczonym głosem - pozwól mi wyjaśnić, co miałam na myśli. Chciałem zawiadomić cię o tym dzisiaj po powrocie do Channings, ale ty, oczywiście, nie raczyłaś na mnie poczekać. Powóz będzie tu jutro w południe i pojedziesz ze mną do Londynu w znacznie bardziej komfortowych warunkach, niż mógłby ci zapewnić publiczny dyliżans. Posłałem już człowieka przodem, żeby kazał przygotować mój londyński dom na nasze przyjęcie. Twoja matka chrzestna na pewno okaże zrozumienie, kiedy jej wyjaśnię, że, jak się okazało, jednak mogłem ci towarzyszyć.

- Nie wierzę, że zmieniłeś zdanie w sprawie Johnnynego. Czemu więc postanowiłeś wybrać się do Londynu?

- Ponieważ, niezależnie od tego, co powiem lub zrobię, ty niewątpliwie i tak prędzej czy później tam pojedziesz. Ktoś musi dopilnować, żebyś nie doprowadziła do katastrofy i nie wzbudziła podejrzeń co do charakteru śmierci Johnnynego. Postanowiłem więc jechać z tobą, żeby móc powściągać twoje zapędy.

- Doprawdy? - zapytała Leksi lodowatym tonem. - Rzeczywiście uważasz mnie za dziecko, prawda?

- Nie rozumiesz tego świata, a ja znam go doskonale.

- A co to za różnica? Ty uważasz, że Johnny był winny. Ja nie.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że to prawda. - Richard postąpił parę kroków. - Jednak twoja ślepa wiara w Johnniego udziela się innym. Przypomniałaś mi takiego Johnniego, jakiego znałem od lat. Postępowanie tamtej nocy było sprzeczne z jego charakterem. Prawdę mówiąc, gdyby tyle nie pił, byłbym w tym wszystkim kompletnie zagubiony. - Odwrócił się i spojrzał na Leksi. - Nadal nie wierzę w jego niewinność, ale chyba nie mogę zignorować twoich słów, jak początkowo zamierzałem zrobić.

Leksi była poruszona, choć starała się tego nie pokazać po sobie. Dostrzegła słabą, ale wyraźną oznakę, że ma pewien wpływ na Richarda. Po raz pierwszy od tamtej okropnej sceny w sypialni zaświtała jej iskierka nadziei.

Przez chwilę trwała cisza. Przerwał ją Richard.

- Poza tym istnieje pewna niejasność w wydarzeniach tamtej nocy. Nie sądzę, żeby udało się to wyjaśnić, ale istnieje.

- Co takiego? - zapytała Leksi z ożywieniem.

- Sakiewka, którą Francuz dał Johnny'emu. Mówiłem ci, że na własne oczy widziałem, jak przeszła z ręki do ręki. Nie znalazłem jej potem w pokoju Johnniego. Nie znalazłem też większej sumy pieniędzy. Co mógł z nimi zrobić?

- Johnny nie mógł niczego z nimi zrobić - rzuciła z wyraźnym zniecierpliwieniem. - W ogóle nie było go w gospodzie.

- Skoro go tam nie było, to jakim cudem jego kapelusz i peleryna trafiły z powrotem do domu godzinę potem, jak widziałem je na łudzaco podobnym do Johnniego człowieku w gospodzie?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie jestem już w stanie myśleć. Muszę się położyć. Cieszę się, że jednak postanowiłeś jechać ze mną do Londynu, wszystko jedno z jakich pobudek.

Odpowiedzi musimy szukać tam... Co robisz?

- To chyba jasne. Rozbieram się.

- Nie możesz tego zrobić we własnym pokoju?

- To właśnie jest mój pokój, Aleksandro. Zajazd „Pod Białym Jeleniem” dysponuje ograniczoną liczbą sypialni, a to łóżko jest niewątpliwie wystarczająco szerokie dla dwóch osób. Ostatnio nie przeszkadzało nam wspólne posłanie.

- To było... co innego.

- Owszem, było. Nadal jesteśmy małżeństwem. Nie popełniamy przestępstwa, śpiąc w jednym łóżku. - Przez chwilę czekał na odpowiedź Leksi, wreszcie rzucił ze zniecierpliwieniem: - Nie martw się. Jak stwierdziłaś, teraz to co innego. Poprzedniej nocy jasno dałaś mi to do zrozumienia. Jeśli obawiasz się, że będę cię uwodził, zapewniam, że jesteś całkowicie bezpieczna. Po dzisiejszym męczącym dniu nie mam na to ani siły, ani ochoty.

Leksi w milczeniu położyła się do łóżka i leżała sztywno wyprostowana jak najbliżej krawędzi. Richard wyszedł do garderoby, skąd za chwilę dobiegł chłopot wody. Potem wrócił, zdmuchnął świecę i położył się obok niej. Pokój oświetlał tylko płonący w kominku ogień. Wkrótce słychać było jedynie spokojny, miarowy oddech Richarda. Leksi przełknęła łzy i ułożyła się, próbując zasnąć.

Kiedy obudziła się w środku nocy, leżała w ramionach Richarda. Było jej ciepło i wygodnie; otumaniona snem przesunęła się, żeby dotknąć jego twarzy. W jednej chwili znalazł się nad nią, zaczęli się namiętnie całować, wreszcie się połączyli. A kiedy było po wszystkim, Richard odwrócił się i przesunął na krawędź łóżka. Leksi nieprędko zdołała znowu zasnąć.

Kiedy obudziła się rano, Richard siedział przy ustawionym w pobliżu kominka, nakrytym do śniadania stole. Czytał gazetę. Leksi wstała i bez słowa przeszła do garderoby. Ubranie, które nosiła poprzedniego dnia, leżało złożone na krześle. Oplukwała twarz wodą i się ubrała.

- Zatrzymamy pokój do przyjazdu powozu. Będziesz mogła tutaj się przebrać - powiedział, kiedy wróciła i usiadła do śniadania. Odłożył gazetę.

- Możesz czytać, jeśli masz ochotę, proszę bardzo - zaproponowała Leksi. - W końcu jesteśmy starym małżeństwem, prawda? - Jej głos zabrzmiał ostrzej, niż tego chciała. Richard skrzywił się i ponownie rozłożył gazetę. Po chwili zmusiła się do przeprosin: - Wybacz. Porozmawiajmy, Richardzie.

- O czym mamy rozmawiać? Jeśli oczekujesz ode mnie przeprosin za to, że ostatniej nocy złamałem obietnicę, to proszę o wybaczenie. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego do tego doszło. Może na skutek bliskości?

- Chyba nie mogłeś powiedzieć nic bardziej obraźliwego. Marne te twoje przeprosiny.

- Wybacz. Dopilnuję, by to się już nigdy nie powtórzyło. W przyszłości będziemy zawsze mieli osobne pokoje.

Leksi zmieniła temat.

- Masz plany na czas pobytu w Londynie?

- To, oczywiście, nie sezon, myślę jednak, że rozrywek nie zabraknie.

- Nie zależy mi na rozrywkach - odparła spokojnie. - Chcę dowiedzieć się czegoś o Johnnym.

- Jak się do tego zabierzesz?

- Może porozmawiam z jego przyjaciółmi? Dowiem się, co robił przez ostatnie dni przed śmiercią?

- Znakomity pomysł. Gdzie znajdziesz jego przyjaciół, to znaczy tych, którzy są akurat w Londynie? Może zamierzasz odwiedzać ich w mieszkaniach?

- Ja... nie zastanawiałam się nad tym.

- Zdziwiłbym się, gdybyś o tym pomyślała.

- Jestem pewna, że ty mógłbyś mi bardzo pomóc. Ale może nie chcesz?

- Chcę. Będę cię zabierał do teatrów, na koncerty, będę przyjmował zaproszenia przyjaciół na przyjęcia... Mam mówić dalej?

- Dziękuję - odparła. - Myślę, że wyraziłeś się już wystarczająco jasno.

- Wybacz. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jakie to trudne. Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Zadowolona?

Leksi kiwnęła głową. Musiała być zadowolona. Richard był na nią bardziej rozgniewany, niż przypuszczała. Szczerze mówiąc, jeżeli naprawdę postanowił zabrać ją do Londynu, miał prawo być wściekły z powodu jej ucieczki. Jeszcze nigdy nie wydawał jej się tak nieprzystępny. Zaczynała sobie powoli uzmysławiać, jak głęboko zraniła męża.

Powóz przyjechał punktualnie i nie minęła godzina, a wyruszyli w drogę do Basingstoke, gdzie mieli zatrzymać się na kolejny nocleg. Byli sami w powozie. Cissie i Phillips jechali razem z bagażami w następnym, wynajętym w Salisbury. Początkowo podróżowali w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. W końcu Richard otrząsnął się i zaczął wskazywać ciekawe miejsca, które mijali po drodze. Mówił tak, jakby zabawiał rozmową daleką kuzynkę albo dziecko, któremu należy dostarczyć rozrywki. Leksi znosiła to z trudem. Postanowiła zburzyć dzielącą ich barierę.

- Zastanawiałam się nad naszą wieczorną rozmową.

- Doprawdy?

- Jedną sprawę chciałabym wyjaśnić - kontynuowała, nie zwracając uwagi na jego uszczypliwy ton.

- To znaczy?

- Kiedy zapytałam, czy byłeś zazdrosny o Marka...

- Proszę. Nie powinienem był tego mówić.

- Zgadzasz się. Nie powinieneś. Traktuj go jak brata i nic ponadto. Przypuszczam, że oboje byliśmy rozdrażnieni i nie zważaliśmy na słowa. - Czekala na odpowiedź męża, nie spodziewała się jednak tego, co usłyszała.

- Jeżeli byłem zazdrosny, to o wpływ, jaki ma na ciebie Mark.

- Jak możesz tak sądzić? - zapytała ze zdumieniem. - Mark nie ma na mnie najmniejszego wpływu.

- Ależ ma. Zdołał podkopać twoje zaufanie do mnie.

- To nonsens. - Leksi była zakłopotana. Rozmowa nie zmierzała w kierunku, jaki chciała jej nadać.

- W takim razie dlaczego twoje rozmowy z nim odbijają się niekorzystnie na naszych wzajemnych stosunkach?

- To absurd.

- Zastanów się, Aleksandro. Przypomnij sobie, w jaki sposób dowiedziałas się o grze w karty z twoim ojcem. Może i podsłuchiłaś rozmowę służby, ale szczegółów dostarczył ci Mark, choć starał się sprawiać wrażenie, że robi to z oporami. Podejrzewam, że zachęcał cię również do tego, co zrobiłaś w dniu ślubu.

- To już kompletnie bez sensu! Nie zrobił tego. Powstrzymałby mnie, gdyby się domyślił.

- Tak sądzisz? A dlaczego się nie domyślił? Nie jest głupcem, a wiedział doskonale, co czujesz. Musiał widzieć, że odchodzisz od zmysłów z rozpaczy i gniewu, sądząc, że zabiłem Johnnynego. Gdybym ja cieszył się takim zaufaniem u ciebie jak Rawdon, na pewno zacząłbym coś podejrzewać. I wreszcie wasza ostatnia rozmowa. Zanim zostawiłem cię samą z Markiem Rawdonem, byłaś szczęśliwa i czułaś się bezpieczna. A potem...

- Moim zdaniem nie masz racji. Musisz się mylić. To prawda, że przez niego zaczęłam się zastanawiać...

- Cokolwiek zrobił, spowodował rozłam pomiędzy nami. I moim zdaniem taki miał cel. Leksi nie mogła zaprzeczyć, że nastąpił rozłam. Nazwałaby go raczej przepaścią. Nie ulegało jednak kwestii, że Mark nie uczynił tego specjalnie.

- Jestem przekonana, że Mark nie zrobiłby świadomie niczego, co mogłoby mnie unieszczęśliwić

- oświadczyła zdecydowanie. - Co więcej, ma też pełną świadomość tego, co zawdzięcza tobie.

- Świadomość własnych zobowiązań wobec kogoś nie oznacza jeszcze sympatii do tego kogoś, Aleksandro - odparł Richard z chłodną ironią. - Nader często bywa odwrotnie.

- To ty namówiłeś papę, żeby odpowiedział na jego list z kondolencjami. A potem żeby go przyjął w Rawdon Hall. Mark o tym wie. Nie, Richardzie, naprawdę sądzę, że się mylisz. Mark byłby niewdzięcznikiem, gdyby ci źle życzył. Przede wszystkim dzięki temu, że pojechałeś do Northampton, żeby z nim porozmawiać, dowiedział się, że jest dziedzicem Rawdon.

- Tak sądzisz? - Richard popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Oczywiście.

- Zastanawiam się...

- Chyba nie żałujesz, że go przywiozłeś do Rawdon? Pomyśl, jak uszczęśliwiłeś papę.

- Z tym muszę się zgodzić. Przyjazd Marka do Rawdon nie był moją zasługą. Od kiedy istnienie Marka Rawdona stało się znane, było oczywiste, że prędzej czy później pojawi się w Rawdon. Ja tylko sprawiłem, że stało się to wcześniej. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał z wyraźnym wysiłkiem: - Chciałbym, żebyś wyświadczyła mi pewną przysługę, Aleksandro, jeśli tylko możesz. Bądź ostrożna w rozmowach z Markiem Rawdonem.

- Nie mogę. I nie mam powodu. - Leksi z uporem obstawała przy swoim. - Jesteś chorobliwie podejrzliwy. Mark jest moim jedynym żyjącym krewnym i bardzo mnie lubi. Z tego, że czasami zapatruje się na pewne sprawy inaczej niż ty, nie wynika jeszcze, że nie jest człowiekiem godnym zaufania.

- Zaufanie to w obecnej chwili drażliwy temat, prawda? - powiedział po chwili. - Powinienem był wiedzieć, że nie dasz wiary niczemu, co usłyszysz ode mnie. Zapomnijmy o tym.

Zbliżali się do dużego miasta. Basingstoke. Leksi westchnęła. To na nic. Z Richardem nie sposób rozsądnie porozmawiać o Marku. Perspektywa pojednania oddalała się coraz bardziej. Gospoda „Pod Koroną” w Basingstoke była prawie pusta i Richard bez trudu wynajął dwie sypialnie i osobny salonik. Przeszli się trochę po mieście, zjedli razem posiłek i udali się na spoczynek. Był uprzejmy i troskliwy, ale nie starał się nawiązać poważniejszej rozmowy, a kiedy nadszedł stosowny czas, grzecznie życzył żonie dobrej nocy i odszedł do swojego pokoju. Leksi znowu miała problemy z zaśnięciem.

Rozdział jedenasty

Przyjechali na Brook Street późnym popołudniem i po krótkim odpoczynku i drobnej przekąsce poszli spacerkiem do domu lady Wroxford, mieszczącego się przy Curzon Street W pierwszym momencie lady Wroxford była nieco rozczarowana, że nie będzie gościć chrzestnej córki, wkrótce jednak poczuła ulgę, że Richard i Leksi przyjechali do Londynu razem. Zapewnili ją, że pozostaną w rezydencji przy Brook Street przez kilka tygodni i będą się z nią często spotykali.

- Najdroższa Leksi! Niech ci się przyjrzę, kochanie. Nadal jesteś śliczna, jak widzę, choć chyba jeszcze szczuplejsza. Trudno się dziwić. Moje biedactwo, ile musiałaś przejść od naszego ostatniego spotkania - powiedziała lady Wroxford, po czym zwróciła się do Richarda. - Muszę panu podziękować, sir. W pisanim przed waszym ślubem liście zapewniał mnie pan, że przywiezie pan żonę do Londynu, jak tylko to będzie możliwe. Nie przypuszczałam jednak, że nastąpi to już miesiąc po waszym ślubie.

Leksi spojrzała na Richarda.

- Pisałeś do mojej matki chrzestnej?

- Zdawałem sobie sprawę, że będzie rozczarowana, że nie uczestniczy w ceremonii. Nie byłaś wówczas w stanie sama się tym zająć.

- Rzeczywiście byłam rozczarowana, ale rozumiałam doskonale. Z uwagi na smutne wydarzenia, które miały miejsce w miesiącach poprzedzających ślub, trudno się dziwić, że uroczystość była skromna i cicha. Kochana Leksi, jakie przeżycia spotkały cię ostatniego lata! Ale to już minęło i powinnaś postarać się o nich zapomnieć. Jestem pewna, że ci się uda, skoro masz przy sobie tak przystojnego męża, który zadba o to, by cię pocieszyć. - Leksi skwitowała tę uwagę skinieniem głowy. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Matka chrzestna ciągnęła: - Mam jednak nadzieję, że lord Deverell nie pozbawi mnie całkiem twojego towarzystwa. Nie mogłam się już doczekać zakupów z moją ukochaną córką chrzestną.

- Nie mógłby mnie powstrzymać! - zawołała Leksi z ożywieniem. - Trzymam cię za słowo, że zabierzesz mnie znowu do swoich modniarek. Doskonale pamiętam, ile radości sprawiło nam to poprzedniego lata. Mam też nadzieję, że pomożesz mi zorganizować kilka przyjęć.

- Z największą przyjemnością. Na szczęście w Londynie bawi parę osób z towarzystwa.

Proszone obiady są zawsze stosowne, nawet w okresie żałoby. Nie mogę się już doczekać, Leksi.

Mam nadzieję, że nie jesteście zbyt zmęczeni po podróży i zostaniecie dziś u mnie na obiedzie. Wybrałam twoje ulubione dania. Musicie mi opowiedzieć o ślubie, i to w najdrobniejszych szczegółach.

Leksi przyjęła zaproszenie, starannie unikając patrzenia ; Richardowi w oczy. Miała nadzieję, że matka chrzestna nigdy nie pozna szczegółów ślubu.

Podczas obiadu lady Wroxford poruszyła temat śmierci Johnnynego.

- Byłam załamana tą wiadomością, Leksi. Co za straszliwy wypadek!

- To był cios dla nas wszystkich. Papa nigdy się z niego nie otrząsnął.

- Może wolałabyś o tym nie rozmawiać?

- Nie. Chciałabym jak najwięcej dowiedzieć się o ostatnich dniach życia Johnnynego w Londynie.

- Cóż, jeśli tak uważasz - powiedziała lady Wroxford. - Mąż niewątpliwie opowiedział ci...?

- Zapomniała pani - wtrącił Richard - że przez większą część roku nie było mnie w Anglii, i znacznie rzadziej spotykałem Johnnynego niż inni przyjaciele. Mogłaby nam pani pomóc? Często go pani widywała?

- Raz czy dwa wziął udział w wydawanych przeze mnie wieczornych przyjęciach, ale miał własne grono przyjaciół, podobnych do niego młodych kawalerów. Byłam zadowolona z jego odwiedzin, potrafił być bardzo zabawny. Na pewno chcesz o nim rozmawiać, Leksi?

- Tak. A jego przyjaciele? Pewnie byli tak samo wstrząśnięci jego śmiercią jak my.

- O, tak! Młody Stephen Hargreaves był całymi tygodniami wytrącony z równowagi. Nigdy go takim nie widziałam. Był jednym z kompanów Johnnynego od kieliszka. - Zawahała się. - Muszę przyznać, lordzie Deverell, że wolałabym, aby wrócił pan z Wiednia wcześniej. Pana Johnny by posłuchał.

- W czym?

- Sądzę, że był nazbyt lekkomyślny. Chodziły pogłoski, że tonie w długach. - Z niepokojem zerknęła na Leksi. - Próbowałam z nim porozmawiać, ale nie byłam dla niego autorytetem. Podejrzewam, że uważał mnie za wścibską babę. Śmiał się, kpil ze mnie przy każdej okazji. Zresztą sami wiecie, jaki był.

- Długi? Przecież papa oddał do jego dyspozycji znaczne fundusze.

- Ludzie na pewno przesadzali.

- Czy martwił się czymś? Był nieszczęśliwy?

- Był może trochę znudzony, ale nie nieszczęśliwy. Dlaczego pytasz? - Przyjrzała się Leksi i zawołała pospiesznie: - Nie, drogie dziecko, z pewnością nie! Sytuacja Johnnynego nie była aż tak zła. Nie wolno ci wątpić w to, że jego śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku. Nic nie wskazywało na inną ewentualność.

- Oczywiście, że nie - oświadczył zdecydowanie Richard, rzucając Leksi ostrzegawcze spojrzenie. - Johnny miał szeroki gest, ale nie przejmował się pustym portfelem. W dniu wypadku był szczególnie ożywiony, nie mógł się już doczekać przyszłotygodniowych wyścigów. Wracając do jego przyjaciół - wspomniała pani o Stephenie... Hargreavesie, prawda? To chyba nie wojskowy?

- Stephen nie nadaje się do armii. Zbytńo sobie ceni wygodę. Jego matka jest moją przyjaciółką. Chcielibyście, żebym któregoś dnia zaprosiła go do siebie na obiad? Śmiałam się, widząc ich razem. Stephen miał takie same rude włosy jak Johnny.

- Naprawdę? - zainteresowała się Leksi.

- Tak. Obaj bywali z tego powodu obiektem kpin. Ty pewnie też tego nie uniknęłaś. Johnny reagował na drwiny z uśmiechem, ale Stephen jest bardzo wrażliwy.

- Włosy Aleksandry mają piękny odcień - oznajmił zdecydowanie Richard.

- Owszem. Zresztą nie spodziewałam się po tobie innej opinii. - Uśmiechnęła się do nich obojga, po czym powiedziała: - Zatem postanowione. Zaproszę młodego Hargreavesa, na pewno będzie bez końca mówił o Johnnym. Kilku młodych dżentelmenów utrzymywało z Johnnym bliskie kontakty, nie wiadomo tylko, ilu obecnie przebywa w Londynie.

Lady Wroxford chciała naturalnie dowiedzieć się czegoś więcej o ślubie i Leksi podziwiała zręczność, z jaką Richard odpowiadał na jej pytania, nie mijając się z prawdą, ale nie wspominając o sensacyjnych wydarzeniach, które miały miejsce w zakrystii.

Usłyszawszy o omdleniu Leksi po ślubie, lady Wroxford stwierdziła:

- W ogóle mnie to nie dziwi. To prawdziwe szczęście, że strata, jaką poniosła Leksi, nie spowodowała odroczenia ślubnej ceremonii. Nie był to, oczywiście, idealny moment na rozpoczęcie waszego wspólnego życia, ale Leksi miała przynajmniej przy sobie kochającego człowieka, który się nią zaopiekował. Jej kuzyn nie podołałby raczej temu zadaniu. Jak wasi ludzie przyjęli sir Marka, Leksi? Pewnie niełatwo było im zaakceptować obcego człowieka po tyloletniej służbie o twojego ojca. Często go widzisz?

- Czasami. Chyba radzi sobie całkiem nieźle - odparła wymijająco Leksi.

Lady Wroxford ciągnęła melancholijnie:

- Pewnie już nie odwiedzę Rawdon. Nigdy nie spotkałam sir Marka, jest więc wysoce nieprawdopodobne, by mnie zaprosił. To wszystko musi być dla niego trudne. Nie myślę się, on nigdy wcześniej nie był w Somerset?

- Tak. Papa nawet nie wiedział o jego istnieniu.

- Jakie to dziwne! On nie ma żadnego doświadczenia w prowadzeniu majątku ziemskiego, prawda?

- Sir Mark jest zdecydowany odnieść sukces - wtrącił Richard. - Jak już Aleksandra mówiła, naszym zdaniem radzi sobie całkiem nieźle - dodał i zmienił temat. - Rawdon wydaje się raczej zamknięte dla pani, mam jednak nadzieję, lady Wroxford, że uzna pani Channings za godny substytut. Będziemy bardzo radzi, mogąc panią gościć.

- Przyjadę, jak tylko przyślecie zaproszenie. Może wiosną? Z radością się z wami spotkam, ale jestem także ciekawa samego Channings, bo pański ojciec od dawna nikogo nie przyjmował.

- Mam nadzieję, że w przyszłości Channings otworzy podwoje. - Czekał przez chwilę, wreszcie spojrzął na żonę. - Prawda, kochanie?

- Co? A, tak! - potwierdziła Leksi, która zastanawiała się właśnie, jak będą się układały ich wzajemne stosunki na wiosnę. - Prosimy, przyjeźdź.

Richard uśmiechnął się do lady Wroxford.

- Proszę wybaczyć Aleksandrze. Obawiam się, że dzisiejszy dzień był dla niej bardziej wyczerpujący, niż sądziła. Jeżeli ma jutro stawić czoło londyńskiemu życiu, muszę zabrać ją do domu.

Lady Wroxford spojrzała na bladą twarz chrzestnej córki, po czym wstała.

- Moja biedna Leksi, za długo cię zatrzymywałam. Tak się ucieszyłam na twój widok, że zapomniałam o upływie czasu. Ale będziemy go miały jeszcze mnóstwo na rozmowy. Poślę po wasz powóz.

Kiedy dotarli do domu, Richard odprowadził Leksi do pokoju, w którym czekała już na nią Cissie.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Jest jeszcze względnie wcześnie. Jeśli pozwolisz, chciałbym jeszcze dziś złożyć jedną czy dwie wizyty.

Leksi była tak zmęczona, że tylko kiwnęła głową. Richard zawahał się. Najwyraźniej chciał się usprawiedliwić, bo dodał:

- Liczę na to, że uda mi się spotkać kogoś, kto mógłby nam pomóc. Im szybciej rozpoczniemy dochodzenie, tym lepiej.

- Naprawdę nie musisz mi się tłumaczyć - odrzekła Leksi. - Doskonale rozumiem. Nie możesz się doczekać, żeby zajrzeć do klubów. Postaraj się nie budzić mnie, gdy będziesz wracał.

- To raczej mało prawdopodobne, nie sądzisz? - Richard skłonił się i wyszedł.

Leksi poddała się zabiegom Cissie, po czym się położyła. Nie mogła zasnąć. Czowała się wewnętrznie rozdarta. Richard nadal był najważniejszym człowiekiem w jej życiu. Reszta świata, włączając w to Marka, pozostawała za nim daleko w tyle, i niezależnie od tego, jak ułożą się ich wzajemne stosunki, nikt nigdy nie będzie dla niej ważniejszy. Wiedziała jednak, że w sprawie Johnnynego Richard się pomylił, wbrew wszelkim dowodom. Nie miał także racji, żywiąc podejrzenia w stosunku do Marka. Nawet za cenę jeszcze większego oddalenia się od męża musiała stanąć w obronie kuzyna, tak jak musiała bronić brata przed absurdalnymi, nieracjonalnymi zarzutami Richarda. Myśl o utracie bliskości męża nie należała jednak do przyjemnych i Leksi z trudem zasnęła.

W tym czasie Richard zmierzał w stronę St James pogrążony we własnych myślach. W ciągu ostatnich dwóch dni stało się dla niego oczywiste, że fundament zaufania, na którym pragnął zbudować małżeństwo, został poważnie nadwyrężony. Tylko przez jeden krótki tydzień był pewien, że ich miłość zdoła przezwyciężyć wszelkie przeszkody. Niestety, Aleksandra najwyraźniej nie podzielała jego pewności, a przynajmniej niezbyt długo. A teraz postawiła przed nim niemożliwe do spełnienia żądanie udowodnienia niewinności Johnnynego Rawdona. Skoro tylko w ten sposób może uratować swe małżeństwo, musi to zrobić.

Wielokrotnie wracał myślami do pamiętnej sceny w gospodzie i nie miał cienia wątpliwości, że człowiekiem w kapeluszu był Johnny. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Niezaprzeczalnie w szeregach Gwardii Konnej działał szpieg. Jeśli nie Johnny, to ktoś inny. Kto? Na to pytanie musiał znaleźć odpowiedź.

Pokoje w klubie White'a nie były tak zatłoczone jak w okresie zakazu polowań, ale i tak kilku stałych bywalców powitało Richarda entuzjastycznie. Naturalnie musiał odparować sporo sprośnych pytań związanych z jego świeżo zawartym małżeństwem. Usiadł do stolika i udowodnił, że w czasie nieobecności w Londynie nie stracił ani swego przysłowiowego szczęścia w grze, ani sprytu. Kiedy wreszcie opuścił klub, był nie tylko znacznie bogatszy, ale także poczynił postępy w sprawie Johnnynego. Zdołał spędzić pół godziny sam na sam z największym plotkarzem w Gwardii Konnej, niejakim sir Charlesem Stainforthem.

- Mój drogi druhu - oświadczył on, pociągając kolejny łyk wina - tęskniliśmy za tobą. Po twoim wyjeździe zapanował chaos. Dlaczego, do diabła, Wellington nie mógł pozostawić cię z nami? Pewnie potrzebował cię pod Waterloo, co? Widzę, że wykpiłeś się tylko szramą na twarzy. Zawsze miałeś cholerne szczęście.

- Wiesz, sir Charlesie, tu panuje chaos, ze mną czy beze mnie.

- Muszę ci powiedzieć, że było znacznie gorzej niż dawniej. Goniliśmy jak charty, żeby wam, chłopaki, dostarczyć wszystko na czas, a Wellington bez przerwy patrzył nam na ręce.

- O ile pamiętam, musieliście również uporać się z pewnym drobnym problemem.

- Drobnym problemem?

- Mam na myśli wyciek informacji...

- A! Ten szpieg był jednym z nas. Tak, tak. Przez jakiś czas prowadziłeś w tej sprawie dochodzenie, prawda? Słyszałem, że byłeś bardzo bliski wykrycia prawdy. Szkoda, że musiałeś wyjechać, zanim tajemnica została wyjaśniona.

- A została wyjaśniona? - zainteresował się Richard.

- Ten nędznik nie był w pełnym tego słowa znaczeniu profesjonalistą. To był desperat. Robił to, oczywiście, dla pieniędzy. Zbyt wiele czasu spędzał w takich miejscach jak to i grał o zbyt wysokie stawki. W końcu jego zadłużenie wzrosło do kilku tysięcy. - Sir Charles uśmiechnął się szeroko do Richarda. - Szkoda, że nie miał twojego szczęścia, co? Właściwie nigdy nie zebrano przeciwko niemu niezbitych dowodów. Zachowano tajemnicę. Nikomu z zewnątrz nie piśnięto o sprawie ani słowa.

- Co się z nim stało? - zapytał sztywno Richard. Sir Charles przybrał nieco zawstydzoną minę.

- Nie wiedziałeś? Nie pisnąłbym ani słowa, gdybym nie był przekonany, że i tak o wszystkim wiesz. Wydawało mi się, że był twoim przyjacielem?

Czy zaraz usłyszysz, że wszystkie jego wysiłki, by ocalić reputację Johnnynego poszły na marne? - zadał sobie w duchu pytanie Richard. Toteż poczuł ogromną ulgę, gdy sir Charles dodał:

- No tak, zapomniałem! Przecież ty byłeś wówczas całkowicie zaprzętnięty śmiercią Johnnynego Rawdona, a zaraz potem wyjechałeś do Belgii. Przykra historia. Świetny kumpel był z Johnnynego. Doszły mnie słuchy, że ożeniłeś się z jego siostrą. Poznałem ją rok czy dwa lata temu podczas sezonu. Śliczna dziewczyna. Gratuluję, chłopie. Zdaje się, że masz takie samo szczęście w miłości jak w kartach! Czy lady Deverell przebywa z tobą w Londynie?

- Tak. Dziękuję za gratulacje. Ale mówisz...? -Tak?

- Co z tym szpiegiem?

- A, o tym! Nie używaj słowa szpieg, Deverell. Nie można powiedzieć, żeby Henry Seymour był szpiegiem. Był tylko cholernym idiotą. O ile mi wiadomo, nigdy nie przekazał Francuzom naprawdę ważnej informacji.

- Skąd ta pewność? Dlaczego Wellington nic o tym nie wiedział? Dopilnowałby, żeby zdrajca został powieszony.

- Moim zdaniem to byłaby nazbyt surowa kara.

- Dla szpiega? W czasie wojny? Co się z nim stało?

- Seymour miał potężne koneksje i ci ludzie wyciszyli sprawę. Prawdę mówiąc, nam również nie zależało na nadawaniu tej historii rozgłosu, skwapliwie więc zgodziliśmy się zachować milczenie. Poprosiliśmy go, żeby przeszedł do rezerwy. Kiedy sprawa wyszła na jaw, nie było go akurat w Londynie, przebywał w swoich dobrach w Dulwich. Zabroniliśmy mu wracać. Kiedykolwiek. Sprawa została załatwiona przy zachowaniu pełnej dyskrecji.

- To był Seymour? Nigdy bym nie zgadł.

- Zatrzymasz tę informację dla siebie, Deverell? - zapytał wyraźnie zatroskany sir Charles. - To już przebrzmiała historia. Lepiej o niej zapomnieć.

- Oczywiście.

Po rozstaniu z sir Charlesem Richard wybrał się do Brooka, gdzie spędził resztę nocy, grając o najwyższe stawki. Czyż nie powiada się, że kto ma szczęście w kartach, nie ma szczęścia w miłości? Wracając do domu bladym świtem, czuł jednak, że dzisiejszej nocy obudziła się w nim iskierka nadziei. Okazało się, że Johnny nie był poszukiwanym przez wszystkich zdrajcą. To był punkt zaczepienia, szczególnie że pozostawała jeszcze niewyjaśniona sprawa braku sakiewki. Leksi obudziła się przed świtem i przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Rozejrzała się i pamięć wróciła. Jest żoną Richarda i spała w jego londyńskim domu. Ale gdzie on jest? Za dnia próbowała udawać, że nie zależy jej na bliskości męża, lecz w mrocznej godzinie poprzedzającej świt było to o wiele trudniejsze. Pragnęła Richarda, doświadczonego, namiętnego i wrażliwego kochanka, wybranka jej serca. Chciała, żeby do niej wrócił. Straciła go. Jego miejsce zajął obcy człowiek, który nie pozwalał jej się do siebie zbliżyć.

Wstała późno, przybita, a jej nastrój jeszcze się pogorszył na wieść, że Richard zdążył już wyjść. Sama zasiadła do śniadania.

Na szczęście wkrótce wpadła lady Wroxford. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na twarz Leksi i oświadczyła, że zabiera ją na zakupy.

- Nie mamy czasu do stracenia - powiedziała. - Może to trochę poniewczasie, ale uważam, że powinnaś skompletować ślubną wyprawę. Zapewne przed ślubem nie miałaś do tego głowy.

- Zostało mi jeszcze kilka pięknych sukien z czasów londyńskiego debiutu.

- Ależ one już wyszły z mody. Tylko nie mów, że jesteś w żałobie, Leksi. Wiem o tym, ale żałoba nie wyklucza przecież modnego stroju. A tak się akurat składa, że w czarnym, szarym, lawendowym i liliowym jest ci wyjątkowo do twarzy. Również w bieli. Szczególnie w bieli. Kochane dziecko, widzę, że jesteś dzisiaj nie w humorze, a zakupy każdą kobietę podnoszą na duchu. Idziemy!

W tym momencie wszedł Richard.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała Leksi, rzucając mężowi znaczące spojrzenie - ale czy nie mogłybyśmy odłożyć naszej wyprawy do jutra? Richard obiecał mi, że odszukamy dawnych przyjaciół Johnniego.

- Kochane dziecko. - Lady Wroxford roześmiała się. - O tej porze nie uda ci się nikogo z nich spotkać. Pewnie są jeszcze w łózkach, a jeśli nawet nie, to siedzą u Jacksona, Angela, w Tattersalls czy innym klubie dla młodych panów z towarzystwa.

- Obawiam się zresztą, że dzisiaj nie będę mógł nigdzie cię zabrać, Aleksandro - dodał Richard. - Muszę złożyć jeszcze jedną wizytę.

- Obiecałeś! - zawołała Leksi.

Richard ujął obie jej ręce i podniósł je do ust.

- Dotrzymam słowa - powiedział miłym tonem, ale w jego szarych oczach nie było śladu ciepła.

- Lady Wroxford ma racje. Śmietanka towarzyska Londynu spodziewa się zobaczyć nową lady Deverell w sukniach uszytych według najświeższej mody. Powinnaś uzupełnić garderobę, zanim zaczniemy bywać. Nie chcę, by pomyślano, że żałuję ci na odpowiednie stroje. Muszę odwiedzić starego towarzysza broni, który przeszedł w stan spoczynku. Zapewniam, że okropnie byś się wynudziła. Wizyta u modniarki lady Wroxford będzie znacznie bardziej interesująca.

Richard przeprosił panie i wkrótce potem ponownie wyszedł, a Leksi oddała się bez reszty w ręce matki chrzestnej. Obie damy spędziły ten dzień nad wyraz przyjemnie, umawiając się z modniarkami, odwiedzając sklepy i magazyny, rozkoszując się ozdobami i falbankami, które mogłyby usatysfakcjonować nawet najbardziej ekstrawagancką damę.

Richard w tym czasie udał się do Dulwich i poprosił niechlujnie ubranego lokaja, żeby oddał jego bilet wizytowy panu Henry'emu Seymourowi. Czekał w holu całkowicie ogołoconym z mebli. Kilka jaśniejszych plam na ciemnozielonych ścianach wskazywało miejsca, w których niegdyś wisiały sprzedane obecnie obrazy. Wrócił służący i poprowadził go przez szereg ponurych, byle jak umeblowanych pokojów do mieszczącego się na tyłach domu studia. Przy niskim palenisku siedział Henry Seymour, cień człowieka, którego Richard niegdyś dobrze znał. Był niedbale ogolony, niechlujnie ubrany, z obwisłymi policzkami i dawno niestrzyżonymi włosami. Richard pamiętał pewnego siebie, zadowolonego z życia mężczyznę, który kochał się w luksusie, ale jakoś niespecjalnie przejął się jego obecnym, dość żalonym stanem.

Seymour nie zadał sobie trudu, żeby wstać na powitanie gościa.

- Czego chcesz, do cholery, Deverell? Przyjechałeś, żeby napawać się widokiem człowieka, który zszedł na psy? A może jeszcze ci o mnie nie powiedzieli?

- Nie zamierzam się niczym napawać. Potrzebuję pewnych informacji.

- Siadaj. Napij się. - Seymour machnął ręką w stronę stojącej na podręcznym stoliku butelki brandy.

- Dziękuję.

- Dziwię się, że jesteś gotów pić ze zdrajcą. - Wbił w Richarda przenikliwe spojrzenie zapadniętych oczu.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi - odparł spokojnie Richard i Seymour odwrócił wzrok. - Dlaczego to zrobiłeś?

- A co cię to obchodzi, do diabła? - warknął. Po krótkiej przerwie dodał jednak: - Ty tego nie zrozumiesz. Dla pieniędzy, Deverell, dla pieniędzy. Musiałem spłacić karciane długi. Nie wszyscy mają twoje piekielne szczęście. W końcu to - machnięciem ręki wskazał to, co go otaczało, czyli dom i przylegające tereny - wszystko, co mi zostało. Żołd, który dostawałem z Ministerstwa Wojny był wysoce niewystarczający. - Milczał przez moment. - Popełniłem błąd, wiem o tym. Przysięgam, że nigdy nie przekazałem im żadnej naprawdę ważnej informacji.

- Skąd wiesz?

- Masz rację - przyznał po dłuższym milczeniu. - Nie mogłem tego wiedzieć. Jednak gdy prosili, żebym dał im coś większego... coś, co naprawdę miało żywotne znaczenie... odmówiłem. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że nie mogę tego ciągnąć.

- A czego chcieli?

- Na pewno wiesz. Chodziło im o plany alianckich linii obronnych. Ty i Johnny Rawdon mieliście je pod opieką.

- Skąd, do diabła, dowiedziałeś się o ich istnieniu? Seymour wstał i spojrzał na niego z pełnym politowaniem uśmiechem.

- Daj spokój, Deverell - powiedział. - Ty jesteś uosobieniem dyskrecji, ale Johnny Rawdon ufał każdemu, szczególnie po kieliszku. Nie wiem, jak mój francuski przyjaciel wpadł na trop tych dokumentów. Ja mu o nich nie powiedziałem, jeśli coś takiego przemknęło ci przez myśl. Wiedział o ich istnieniu, zanim ja się dowiedziałem, i żądał, żebym je dla niego ukradł. Wtedy dopiero wrócił mi rozum i odmówiłem.

- Miałeś szczęście, że to zrobiłeś. Byliśmy bliscy zdemaskowania cię. Wiedzieliśmy o wyznaczonym spotkaniu w gospodzie „Pod Kogutem”.

- Nie zastalibyście mnie tam. Spotkałem się z Benuatem poprzedniego dnia, był cholernie niemiły, kiedy oznajmiłem, żeby nie liczył na dalsze spotkania. Tamtej nocy nie było mnie w Londynie.

- Rozumiem, że ten Benuat był twoim agentem. Wiedzieliśmy o nim. Na pewno powiedziałeś mu, że odmawiasz wykonania polecenia?

- Tak, do licha!

- Ale on się tam pojawił. „Pod Kogutem”. Widziałem go.

- Nie umówił się tam ze mną, przysięgam.

- Wierzę ci. Jeszcze jedna sprawa. Czy Benuat wspomniał o kimś innym? O innym agencie czy powiązaniach?

- Nie mieliśmy czasu na pogaduszki. - Seymour uśmiechnął się ponuro. - Nasze spotkania były zawsze krótkie, nietrudno zrozumieć dlaczego. Kiedy odmówiłem kradzieży tamtych dokumentów, rzeczywiście powiedział, że poszuka kogoś, kto to robi. Ani przez chwilę nie sądziłem, że mu się uda. Udało się? Richard wstał.

- Jestem ci wielce zobowiązany, Seymour. Okazałeś mi wiele cierpliwości. Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? Chcesz może przeze mnie przekazać komuś wiadomość?

- Dziękuję, ale nie - odparł Henry Seymour z grymasem. - Jesteś pierwszym gościem, który mnie odwiedził po tym wszystkim. Zasłużyłem sobie na to, ale wiodę cholernie samotne życie. Moja żona umarła przed laty i nie mam nikogo.

- Wpadnę jeszcze do ciebie przed powrotem do Somerset, choć nie jestem panem swojego czasu. Nie wiem, czy dotarła do ciebie wiadomość o moim ślubie?

- A skąd mogłem wiedzieć? Nic tu do mnie nie dociera. Kim jest ta szczęśliwa wybranka?

- To siostra Johnnynego Rawdona.

- Śliczna Aleksandra? Ty szczęściarzu! A jak się ma Johnny?

- Rzeczywiście jesteś tu całkiem odcięty od świata - powiedział Richard po chwili milczenia. - Johnny nie żyje.

Reakcja Seymoura była szczerą.

- Niemożliwe! Zginął w akcji?

- Coś w tym rodzaju - odparł Richard. Henry Seymour najwyraźniej nie miał pojęcia o powiązaniu Johnnynego Rawdona z Francuzem.

- A nich to! Dobry chłop był z tego Johnnynego. Czy zabierzesz ją z sobą, gdy przyjedziesz tu następnym razem? Zapadło milczenie, które przerwał Seymour. - Oczywiście, że nie. Nie powinienem pytać.

- Niestety, muszę już iść. Przyjadę znowu. Sam. - Richard wstał i skinął głową gospodarzowi, który nalewał sobie kolejną szklaneczkę i krzyczał na lokaja, żeby dorzucić do ognia. Kiedy wrócił, Leksi na niego czekała. Była już przebrana do obiadu i wyglądała pięknie w białej jedwabnej sukni ze wspaniałymi koronkami. We włosy wpięła otrzymane od niego perły, poza tym nie nosiła biżuterii. Richard podejrzewał, że nie miała więcej klejnotów, bo wszystkie kosztowności Rawdonów poszły na spłacenie żądań szantażysty. Musi coś jej kupić. Brylanty? Szafiry? Cokolwiek, byle tylko spojrzęła na niego z dawnym uśmiechem...

Do licha, to, czego pragnął najbardziej, nie miało nic wspólnego z sukniami czy biżuterią. Chciał objąć mocno żonę i poczuć, że przytula się do niego z całej siły, jak jeszcze tak niedawno. Pragnął, żeby jej miłość i czułość spłukały z niego dotkliwy smutek i poczucie zdrady, jakie ogarnęły go podczas dzisiejszej wizyty u Henry'ego Seymoura. Było to jednak niemożliwe.

- Mam nadzieję, że wizyta u przyjaciela była przyjemna - rzuciła.

- Raczej przygnębiająca - odparł. - Ale interesująca. Jak ci minął dzień? Znalazłaś to, czego szukałaś? Wyglądasz na podekscytowaną.

- Bo jestem! Lady Wroxford zaprosiła nas na obiad. Będzie również Stephen Hargreaves!

- Stephen Hargreaves? Przyjaciel Johnnynego? Już się z nim spotkałaś?

- Jeszcze nie i nie mogę się doczekać! To pierwszy podejrzany. Jest rudy i jako przyjaciel Johnnynego mógł wiedzieć, czym mój brat się zajmował. To jego musiałeś widzieć w gospodzie.

- Czekala chwilę na reakcję Richarda, po czym dodała: - Nie wyglądasz na zainteresowanego. Dlaczego? Dla mnie to oczywiste, że być może dzisiaj otrzymamy odpowiedź na nasze pytania. Jak będziemy się do niego odnosić?

- Nie sądzisz, że zbyt szybko się pośpieszyłaś? Przecież jeszcze nawet nie widziałaś tego człowieka.

- Nie, ale czuję przez skórę, że to on.

Rozdział dwunasty

Obiad okazał się ożywionym spotkaniem towarzyskim. Lady Wroxford zaprosiła sporo osób, w tym Stephena Hargreavesa i jednego czy dwóch dawnych kompanów Johnny'ego. Po dziesięciu minutach spędzonych w towarzystwie młodego Hargreavesa nawet dla Leksi stało się jasne, że - pomimo rudych włosów - to nie on był tajemniczym mężczyzną w pelerynie. Mógł być całkiem miłym kompanem od kieliszka, ale ktoś tak naiwny nie przetrwałby nawet pięciu minut w podstępny i niebezpiecznym świecie szpiegów.

-Nie załamuj się, Aleksandro - powiedział Richard. Hargreaves nie jest poszukiwanym przez nas nikczemnikiem, może jednak być użyteczny. Idź i porozmawiaj z nim o swoim bracie, a ja zamienię kilka słów z innymi.

Leksi bez przekonania zastosowała się do polecenia męża.

Trochę czasu zajęło jej zwękslowanie rozmowy na Johnny'ego. Hargreaves miał skłonności do koncentrowania się na własnych działaniach z ostatniego okresu, w końcu udało jej się jednak skłonić go do rozmowy o bracie.

- Ciągle jeszcze tęsknię za Johnnym - wyznał. - Był takim wesołym kompanem.

- Podobno często się spotykaliście. Widział go pan w dniu śmierci?

Hargreaves zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Nie - oświadczył w końcu. - Poprzedniego dnia widziałem go dwukrotnie. W środę. Dziwne.

- Przykro mi to słyszeć.

- Może pani sądzić, że jestem nazbyt wrażliwy. Tak twierdzi mama. Ale, widzi pani, lubiłem Johnnynego.

- Wszyscy go lubiliśmy. Co w tym dziwnego?

- Dziwnego?

- Powiedział pan, że w waszym środowym spotkaniu było coś dziwnego.

- A, to! No tak. Widziałem go dwukrotnie, jak już pani wie. Po raz pierwszy, gdy wpadł do mojego pokoju. Zresztą okropnie wcześnie. Zjadł połowę mojego śniadania, Johnny był ciągle głodny.

- A po co do pana przyszedł?

- Powiedział, że przez cały dzień będzie siedział w Gwardii Konnej z jakąś grubą rybą. Johnny tam pracował.

- Tak, wiem.

- Jest pani jego siostrą, prawda?

- Właśnie - potwierdziła Leksi, przywołując na pomoc cierpliwość.

- Powiedział, że powstało okropne zamieszanie z jakimiś papierami, nie wiem z jakimi, bo nie słuchałem zbyt uważnie. Johnny musiał tam siedzieć, a spodziewał się mieć tego dnia wolne, nie był więc zachwycony. Ani ja. Wiem, że akurat toczyła się wojna, ale to nie powinno kolidować z wcześniejszymi zobowiązaniami towarzyskimi człowieka, prawda?

Powiedziałem mu, żeby im wytłumaczył, że jest umówiony w Deptford. A może to było Dartford? Nie, jednak Deptford. Johnny jednak uznał, że musi wypełniać obowiązki.

- Deptford?

- Właśnie.

- A co się działo w Deptford?

Pan Hargreaves zmarszczył czoło, starając się sobie przypomnieć.

- Był jarmark. Dowiedzieliśmy się, że urządzają zapasy. Wie pani, każdy może wejść na ring i spróbować powalić na deski championa. To nie jest sport w moim guście, proszę pani, zbyt

brutalny. Johnny się do tego palił, uwielbiał takie rzeczy. Dla widzów to mogło być nawet zabawne, ale i tak zamierzałem się tam wybrać tylko ze względu na Johnniego. Poczynilem wszelkie przygotowania, aż tu on wpada i mówi, że jednak nie pojedzie. Następnego dnia nie było już po co jechać.

Richard przyłączył się do nich.

- Pamiętam, że Johnny wspominał o jarmarku - potwierdził. - Ma pan rację, rwał się, żeby tam iść. Nie poszedł?

- Nie. Byłem zdumiony, kiedy zobaczyłem go później tego samego dnia.

- W Deptford?

- Nie było sensu jechać tam samemu. To żadna przyjemność. Zostałem w mieście i poszedłem do swojego krawca. Prawdę mówiąc, byłem mu winien trochę pieniędzy i uznałem, że lepiej wpaść i coś u niego zamówić, żeby siedział cicho. Bałem się, żeby to nie dotarło do mamy. To zresztą dobry krawiec, choć oczywiście nie tak świetny jak Weston, ale Weston jest dla mnie nieco za drogi. To jest surdut od Westona, prawda? Widać na pierwszy rzut oka.

- A więc gdzie pan widział Johnniego?

- Kogo? A, Johnniego! Jak już powiedziałem, wpadłem do krawca, a potem szedłem wzdłuż Piccadilly, aż tu nagle widzę Johnniego we własnej osobie, maszerującego drugą stroną ulicy. Muszę przyznać, że byłem porządnie zirytowany.

- Co powiedział?

- Nic. Nie mogłem od razu przejść na drugą stronę, bo był za duży ruch, więc tylko pomachałem mu ręką. Spojrzał wprost na mnie, ale nawet się nie zatrzymał. Kiedy wreszcie zdołałem przejść przez jezdnię, już go nie dogoniłem. Oddalił się tak szybko, jakby wcale nie chciał ze mną rozmawiać.

- Dlaczego tak się zachował?

- Nie mam pojęcia. To nie w stylu Johnniego. Musiał chyba planować coś, o czym nie chciał mnie informować. Dziwne, prawda?

Zmartwiona Leksi spojrzała na Richarda, który zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonym czołem. Nie to pragnęli oboje usłyszeć.

- Może został wysłany przez kogoś z Gwardii Konnej z ważnym poleceniem i zbyt się śpieszył, żeby zawrócić? -podsunęła Leksi.

Pan Hargreaves popatrzył na nią i rozpromienił się w uśmiechu.

- Tak właśnie musiało być, lady Deverell. Powinienem sam się domyślić. Johnny nie potraktowałby tak znajomego bez ważnego powodu. Cieszę się, że pani o tym pomyślała. A ja przez cały ten czas źle myślałem o tym biedaku...

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, lecz pan Hargreaves nie miał już nic interesującego do dodania. Przez resztę wieczoru Richard i Leksi, wmieszani w towarzystwo, rozmawiali, śmiali się i słuchali popisów młodych panienek, grających na harfie i na pianinie. Wszelkie prywatne rozmowy musiały zostać odłożone na później. Wreszcie przyjęcie dobiegło końca i mogli wrócić na Brook Street.

-Jeżeli nie jesteś zbyt zmęczona, Aleksandro, chciałbym omówić z tobą to, czego zdążyliśmy się dowiedzieć -oświadczył Richard, gdy weszli do domu.

- Zgoda. Czy możemy rozmawiać w moim pokoju? Myślę, że tam byłoby wygodniej.

Poprosiła gospodynię, żeby porządnie napaliła w kominku. - Leksi nie zamierzała wyjaśniać, że zrobiła to na wypadek, gdyby przyszło jej spędzić kolejną bezsenłą noc. - Myślę, że zostawiła też tacę.

- Zwykle tak robi. Dobrze. Przyjdę do twojego pokoju, ale nie zostanę długo.

Początkowo, gdy usiedli w fotelach po obu stronach kominka, dawało się wyczuć pewne napięcie. Richard przemówił pierwszy. Powiedział, że rozmowy z gośćmi lady Wroxford niczego nowego nie wniosły do sprawy. Nikt z nich nie zauważył czegoś szczególnego w zachowaniu Johnny'ego w ostatnich dniach jego życia ani w okresie wcześniejszym. Nikt nie widział go pogrążonego w rozmowie z kimś obcym. Wszyscy zauważyli, że za dużo pił, ale nie widzieli w tym niczego niezwykłego.

Potem rozważali to, co miał do powiedzenia Stephen Hargreaves.

- A swoją drogą - rzekł Richard - mówiłem, że nic nie wiesz o świecie Johnny'ego, Aleksandro, i miałem rację. Pomysł, że oficer, pełniący służbę w Gwardii Konnej, mógłby zostać przez kogokolwiek posłany „z jakimś ważnym poleceniem”, gdy przez cały czas czekają w gotowości specjalnie w tym celu zatrudnieni posłańcy, jest tak nieprawdopodobny, że tylko taki głupek jak Hargreaves mógł w to uwierzyć. On najwyraźniej równie słabo zna wojsko jak ty. Nie próbuj tego z innymi ludźmi, dobrze?

- Chciałam odwrócić podejrzenia od Johnnyego - odparła stropiona Leksi. - Mogłeś udzielić mi wsparcia podczas rozmowy z panem Hargreavesem.

- Chyba już nie podejrzewasz, że to on był tym nikczemnikiem w pelerynie.

- Myliłam się co do niego. Wiązałam z nim również nadmierne nadzieje. Dowiedzieliśmy się od niego tylko tyle, że w przeddzień śmierci Johnny zamierzał zrobić coś, co pragnął ukryć przed przyjaciółmi.

- Nie załamuj się. Mam dla ciebie istotną wiadomość. Okazało się, że Johnny nie był tym zdrajcą w szeregach Gwardii Konnej, którego tropiliśmy przez kilka miesięcy. To kto inny. - Leksi spojrzała na Richarda z rosnącą nadzieją. - To nie jest aż tak obiecująca informacja. Nie oczyszcza Johnnyego ze wszystkich zarzutów. Zdrajcy nie było tamtej nocy w Londynie. W najmniejszym stopniu nie przypomina Johnnyego z wyglądu.

- Kolejne rozczarowanie. Najpierw ten głupi Hargreaves, a teraz to... Przez chwilę sądziłam... Miałam nadzieję...

- Przykro mi, Aleksandro. Nie powinnaś upadać na duchu. Jest jeszcze sporo osób, z którymi należy się spotkać, i wiele innych, które dopiero musimy poznać. Jeszcze nie skończyliśmy.

- Wiem. Przez jedną cudowną chwilę myślałam, że już po wszystkim. Gdybyśmy znaleźli dowód, który ciebie by przekonał, moglibyśmy wrócić do Channings. Może udało by się nam zacząć wszystko od nowa. Może odnaleźlibyśmy to, czym tak krótko się cieszyliśmy. Richard wstał z fotela i odwrócony do żony plecami zapatrzył się w ogień.

- Wierzysz w to? - zapytał pośepnie. - Nie jestem pewien, czy to możliwe. Ba, nawet nie mam pewności, czy to się zdarzyło naprawdę. Nie, moja droga, lepiej o tym zapomnieć.

Leksi wstała i położyła rękę na ramieniu męża.

- Nie mów tak. To zabrzmiało tak obco - szepnęła błagalnie. - Mówiłeś, że mnie kochasz. Czy to znaczy, że kłamałeś?

Richard odwrócił się i dopiero w tym momencie Leksi zrozumiała, ile go kosztowało panowanie nad sobą.

- Nie, do diabła! Nie kłamałem! - wykrzyknął. - A dlaczego jestem tu, w Londynie, skoro wolałbym siedzieć w swoim domu w Somerset? Dlaczego rozdrapuję stare rany, ożywiam zażegnane skandale, skoro od lat marzyłem o tym, żeby zapomnieć, zbudować nowe życie w Channings? Poprosiłaś mnie o pomoc i niezależnie od tego, czy Johnny był winny, czy nie, wspieram cię, ponieważ cię kocham! Uwierz mi, jestem bardzo zmęczony twoimi wiecznymi wątpliwościami. - Po chwili ruszył ku drzwiom. - A teraz - powiedział zmęczonym głosem - jeśli nie masz nic przeciwko temu, położę się do łóżka. Jutro, żeby ci sprawić przyjemność, znów

będę rozgrzebywał dawno zapomniane sprawy, które moim zdaniem byłoby lepiej zostawić w spokoju. Dobranoc, Aleksandro.

- Richardzie, możesz zostać dziś w moim pokoju, jeśli chcesz.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Dlaczego? To ma być nagroda? A może pocieszenie za to, że musiałem dziś patrzeć na to, jakim wrakiem człowieka stał się dawny przyjaciel? - Richard cofnął się i stanął przy żonie. - Może to ty potrzebujesz towarzystwa? Niezależnie od przyczyn, moja odpowiedź jest jedna. Dziękuję, ale muszę, niestety, odmówić. Jeśli poprosisz mnie o to, kiedy pozbędziesz się wątpliwości, możesz liczyć na inną odpowiedź. Do tego czasu będę spał sam.

Jakaż była głupia, że mu to zaproponowała!

- Doskonale - odparła. - Nie wiem tylko, jak długo to potrwa. Może zacznijmy od tego, że zabierzesz mnie jutro na jedną ze swoich wypraw.

- Dobrze. Zamierzałem złożyć dwie wizyty. Na pierwszą z nich nie chciałem cię zabierać, ale może nie stanie się nic złego, jeśli zobaczysz, w jakiej nędzy muszą żyć niektórzy ludzie. Zejdź na dół przed dziesiątą. Ubierz się skromnie.

Zjedli razem śniadanie, potem Richard przyjrzał się żonie krytycznym wzrokiem, kazał zdjąć kolczyki i bransoletkę, a potem dał jej starą burą pelisę i schludny, choć podniszczony czepek na głowę.

- Włóż to.

- Dlaczego? Skąd to wzięłeś?

- Pożyczyłem od jednej z pokojówek. Jest mniej więcej twojej postury. Nie martw się, to nie jest jej najlepsze ubranie.

- Dlaczego mam nosić pelisę i czepek pokojówki?

- Tam, gdzie cię zabieram, ludzie nie patrzą życzliwie na bogatych. Będiesz bezpieczniejsza w tym przebraniu. Schowaj włosy pod czepek i nie podejmuj żadnych nieprzemyślanych działań, na przykład nie oddalaj się ode mnie i z nikim nie rozmawiaj. Przypuszczalnie ludzie będą się na ciebie gapili, ale tobie nie wolno się w nich wpatrywać. Oni tego nie lubią. Staraj się trzymać pomiędzy Colesem a mną.

- Deverell, to brzmi szalenie tajemniczo.

- To nie żarty, Aleksandro - zauważył i dodał po namyśle: - Może to jednak nie jest najlepszy pomysł.

- Nie, proszę. Proszę, pozwól mi iść. Obiecuję, że będę zachowywać się tak, jak każeś.

- Dobrze.

Wysiedli z powozu przy zajeździe na przedmieściach i przeszli kilkaset jardów na wschód. Kilkaset jardów, pomyślała Leksi, a znaleźliśmy się w innym kraju. Smród był niemal obezwładniający. Ulicami płynęły ścieki, po bokach wyrastały góry śmieci. Obdarte dzieci biegały na bosaka, krzycząc zachrypniętymi głosami i okładając się brudnymi kułakami po twarzach. Richard w jednej ręce mocno zacisnął laskę, a drugą prowadził Leksi.

- Chcesz zawrócić? - zapytał.

- Nie. Dokąd idziemy?

- Do mojego byłego sierżanta. Został ranny pod Waterloo, a kiedy nastął pokój, przyszedł dla niego ciężkie czasy. Obiecałem sobie, że zaraz po przyjeździe do Londynu odszukam go i sprawdzę, jak sobie radzi. Słyszałem, że niezbyt dobrze. Zobaczymy, czy uda mi się coś dla niego zrobić. - Dotarli do domu stojącego nieco na uboczu i, jeśli to w ogóle możliwe, bardziej zrujnowanego od innych. Brakowało znacznej części dachu, a ściana z jednej strony niebezpiecznie się pochyliła. - To tutaj.

Zostawili Colesa na straży przy drzwiach, minęli stertę kamieni i weszli do jedyne go całego pokoju w budynku. Wewnątrz panował półmrok, ale Leksi zdołała dostrzec w kącie coś w rodzaju pryczy. Środek pokoju zajmował stół. Na jednej z ław dosuniętych do stołu siedział mężczyzna. Miał na sobie stary, mocno zniszczony, ale czysty mundur. Wąsy i broda mężczyzny były porządnie przystrzyżone, a blada twarz naznaczona cierpieniem. Niewątpliwie mieli przed sobą ciężko chorego człowieka, który ze stoickim spokojem znosi swój los. Leksi poczuła dławienie w gardle.

- Sierżant Chalmers?

Mężczyzna zerknął na Richarda, z najwyższym wysiłkiem wstał i wyprężył się, podpierając się laską.

- Kapitan Deverell! Sir!

Richard podszedł i poklepał go po ramieniu.

- Siadaj, człowieku. Co ty, do licha, robisz w takim miejscu?

- Nie miałem dokąd pójść, sir. Nie nadaję się do żadnej pracy. Na nic lepszego nie starczyłoby mi pieniędzy.

Richard rozejrzał się. Poza pryczą, stołem i ławami w pomieszczeniu nie było innych sprzętów.

- Nie miałeś z kim zamieszkać? Żadnej rodziny?

- Nikogo, sir.

- A domy dla kombatantów? Na pewno znalazłbyś w którymś z nich lepsze warunki niż tutaj.

- Wybacz pan, kapitanie, ale nie ma ich zbyt wiele. I to nie dla mnie. Nie chcę dobroczynności, sir.

- Rozumiem. Ktoś się tobą opiekuje?

- Dobrzy ludzie. Dają mi, co mogą, choć sami nie mają za wiele. To zresztą nieważne, straciłem dawny apetyt. Dłubię czasami w drewnie jakieś zabawki dla dzieci i dostaję coś w zamian.

- Cieszę się, że cię znalazłem. Nie powinieneś tutaj przebywać, a ja potrzebuję kogoś takiego jak ty w Somerset. Chalmers spojrział z niedowierzaniem i Richard dodał stanowczo: - To nie dobroczynność. Nie spotkałem drugiej takiej złotej rączki jak ty. Nie martw się, sierżancie, zarobisz na swoje utrzymanie. Powiedz, że się zgadzasz.

- Tak, kapitanie, zgadzam się z radością. Dziękuję.

- Nie dziękuj, powinienem zadać sobie trud odszukania cię już parę miesięcy temu, ale miałem mnóstwo spraw. Pewnie zachodzisz w głowę, kim jest towarzysząca mi dama.

- Nie widzę damy, sir - oświadczył Chalmers. - To tylko młoda, ładna pokojówka.

- Uwaga, sierżancie. To moja żona.

- Pańska żona, sir! - Sierżant jeszcze raz dźwignął się z wysiłkiem. Wykonał dziwaczny ukłon. - Przepraszam, milady. To zaszczyt panią poznać.

- Sierżancie. - Leksi skinęła głową i uśmiechnęła się. Richard pomógł jej usiąść na ławie naprzeciwko żołnierza i zajął miejsce obok niej.

- Moja żona chciałaby porozmawiać o kapitanie Rawdonie - powiedział spokojnie. - Był jej bratem.

Zmarszczka przecięła czoło sierżanta.

- O kapitanie Rawdonie? - powtórzył ostrożnie.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go Leksi. - Wiem, co rzekomo wydarzyło się tamtej nocy, kiedy zginął.

- Rzekomo?

- Moja żona nie wierzy w winę brata.

- To naturalne - orzekł sierżant ze współczuciem.

- Zamierza to udowodnić.

- No cóż, obawiam się, że nie będzie pani miała ze mnie wiele pożytku, milady - rzekł sierżant. - Nie wiem, w jaki sposób mógłbym pomóc. Kapitan wie, że zrobiliśmy wtedy wszystko, co tylko było możliwe. - Spojrzał na Richarda.

- Powiedz mi, skąd ta pewność, że w gospodzie był mój brat - poprosiła Leksi.

- Przez ten kapelusz, milady - wyjaśnił Chalmers. - Kapitan przepadał za tym kapeluszem. W Hiszpanii prawie go nie zdejmował z głowy. Wszyscy o tym wiedzieli.

- A może to był podobny kapelusz?

- W całej Anglii nie było podobnego. Przykro mi, milady, ale nie może być mowy o pomyłce. Z boku miał nawet otwór po kuli z francuskiego muszkietu spod Vittorii. Widziałem go tamtej nocy.

- A więc rozpoznałeś kapelusz. Coś jeszcze?

- Chyba jeszcze włosy, milady. Rude.

- Ale nie widziałeś jego twarzy?

- Nie widziałem.

- A poprzedniego dnia, sierżancie? - zapytał Richard. - W środę. Sierżant Kettle i ja szukaliśmy Benuata, ale ty zostałeś. Czy widziałeś kapitana Rawdona po południu?

Leksi spojrzała ze zdumieniem na męża. Przecież Richard znał już odpowiedź na to pytanie. Pan Hargreaves powiedział im, że widział Johnnatego na Piccadilly.

- Nie - odparł powoli sierżant. - Po południu go nie widziałem. Nic w tym dziwnego. Spotkał się z lordem Jak-mu-tam. Tego dnia pełniłem służbę w Gwardii Konnej. Stałem na warcie przy drzwiach. Zobaczyłem go, kiedy wyszedł. Było już późno, szósta albo siódma wieczorem.

Richard pochylił się do przodu.

- Czy w czasie tego popołudnia wychodził choć na chwilę z pokoju?

- W czasie mojej warty nie, a stałem przed drzwiami od południa do ich wyjścia.

- Uściślijmy to, sierżancie. Widziałeś kapitana Rawdona w Gwardii Konnej w przeddzień jego śmierci. Czy jesteś pewien dnia? To była środa?

- Tak, sir. Spotkanie dotyczyło dokumentów. Kapitan Rawdon w nim uczestniczył, bo to jemu właśnie zostały powierzone. Nie mógłbym tego zapomnieć, sir. Nie po...

- Jasne. W środę, w przeddzień swojej śmierci, kapitan Rawdon był w Gwardii Konnej nieprzerwanie od południa do szóstej lub siódmej wieczorem.

- Tak jest, sir.

- Dziękuję, sierżancie Chalmers - powiedział Richard, wstając. - Nie, nie podnoś się. Cieszę się, że zdecydowałaś się na przeprowadzkę do Channings. Za dzień czy dwa przyślę kogoś po ciebie. Dopilnuję, żebyś bezpiecznie dotarł do Dorchester, a stamtąd zabierze cię któryś z moich ludzi. Zgoda?

- Oczywiście, sir. - Sierżant spojrzał na Leksi. - Szkoda, że nie okazałem się bardziej pomocny, milady. Kapitan Rawdon był bardzo lubianym oficerem. Ze świecą szukać takich odważnych i prawych ludzi. Nie potrafię zrozumieć, co się z nim stało. Zrobiliśmy, co się dało, dla niego i jego rodziny.

Leksi podała mu rękę.

- Dziękuję - powiedziała serdecznie. - Do zobaczenia w Channings, sierżancie.

Richard zmierzał do wyjścia, ale nagle się zatrzymał.

- Jeszcze jedno. Czy rozmawiałeś z kimkolwiek o tym, co wydarzyło się tamtej nocy w gospodzie?

- Nigdy, sir! Jak mógłbym zrobić coś podobnego, skoro zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy? Przysięgam, nie pisałem nikomu ani słówka.

- Oczywiście. Dziękuję. Aleksandro?

Leksi odwróciła się jeszcze w drzwiach i spojrzała na sierżanta. Nadal siedział przy stole, ale wyglądał inaczej - jak człowiek pełen nadziei.

- Biedak. Sprawia wrażenie chorego - stwierdziła, kiedy wrócili do czekającego na nich powozu.

- To moja wina. Powinienem być wcześniej wyciągnąć go z tej nory. - Richard był wyraźnie na siebie zły.

- Niby jak, Richardzie? Byłeś zaprzątnięty czym innym. Poślesz Colesa, żeby odtransportował go na stację?

- Nie. Sierżantem zajmie się inny służący. Coles będzie mi potrzebny tutaj. Będę musiał wyjechać na dzień czy dwa z Londynu.

- Wyjedziesz z Londynu? Dokąd?

- Wolalabym ci nie mówić. Muszę najpierw się upewnić.

- Chcesz odwiedzić drugiego sierżanta?

- Nie, do niego pojedziemy razem dziś po południu.

- Mam nadzieję, że żyje w lepszych warunkach niż nieszczęśny sierżant Chalmers. Jak państwo może w taki sposób traktować żołnierzy, którzy mu wiernie służyli?

- Zapytaj o to urzędników Ministerstwa Wojny, moja droga. Pewnie nie zrozumieliby, o co ci chodzi, a nawet gdyby pojęli, nic by ich to nie obeszło. Dlatego właśnie uważam za swój obowiązek zatroszczenie się o los sierżanta Chalmersa, skoro go wreszcie odnalazłem. Natomiast o sierżanta Ketdea nie musisz się martwić. Wedle moich informacji ożenił się z majątną wdówką. Żyją szczęśliwie w jej domku w Kensal Green. Muszę przyznać, że bardzo jestem jej ciekaw. Kettle to kawał drania.

- Najpierw stwierdziłeś, że wyjeżdżamy z Londynu, a później odmówiłeś podania szczegółów - powiedziała Leksi, kiedy zajechali na Brook Street. - To bez sensu, Richardzie. Powinieneś przedstawić mi swoje plany.

- Nie zamierzam cię z sobą zabrać. To nie potrwa długo.

- Jeśli chodzi o mnie, nie musisz się śpieszyć z powrotem - rzuciła gniewnie. - Możesz tam siedzieć, jak długo zechcesz.

- Nie szkoda ci czasu na kłótnie ze mną, Aleksandro? Przebierz się w coś eleganckiego. Kensal Green to bardzo przyzwoite miejsce. Nie chciałbym, żebyś przyniosła mi wstyd w porównaniu z panią Kettle.

Leksi obrzuciła męża gniewnym spojrzeniem i pomaszzerowała na górę, wołając Cissie. Podróż do Kensal Green poprawiła Leksi humor. Dzień był chłodny, ale słoneczny, a powietrze poza centrum Londynu wydawało się świeższe. Zanim dojechali do celu, była już w stanie prowadzić z Richardem spokojną rozmowę.

Domek pani Kettle stał z dala od drogi, w ogrodzie, który latem na pewno był piękny. Z boku budynku był duży warzywniak i tam właśnie znaleźli sierżanta Kettlea. Przerwał pracę i, wsparty na łopacie, przyglądał się nadjeżdżającemu powozowi.

- Nigdy bym nie zgadł! - zawołał. - Pan kapitan! - Podszedł, wycierając ręce o spodnie. Odwrócił się w stronę domu i wykrzyknął: - Minnie! Minnie! Chodź szybko!

Kiedy pojawiła się pani Kettle, Leksi z trudem powstrzymała uśmiech. Sierżant miał ponad sześć stóp wzrostu, a jego żona niewiele ponad cztery i pół. Razem wyglądali komicznie.

- O co chodzi? Czego chcesz? Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie wycierał rąk o spodnie, Joe Kettle?

Sierżant przybrał na chwilę skruszoną minę, ale zaraz uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mamy gości, Minnie - oznajmił radośnie. - Nie powinni wyjechać stąd w przekonaniu, że ożeniłem się z sekutnicą. - Ostentacyjnie zasalutował Richardowi. - Witam, kapitanie Deverell.

- Sierżancie. - Richard pomógł Leksi wysiąść z powozu. Po wzajemnym przedstawieniu się i całkowicie zbędnych przeprosinach za stan domu, weszli wreszcie do środka. Pani Kettle pobiegnęła do kuchni, natomiast Richard i Leksi zostali wprowadzeni do salonu. Po kilkuminutowej rozmowie Richard popatrzył wokoło.

- Znalazłeś sobie ciepłą kwaterę, sierżancie - stwierdził.

- Nie ma lepszej, sir.

- Pewnie zastanawiasz się nad przyczyną tej niespodziewanej wizyty.

- Z pewnością mi pan powie, sir.

- Chodzi o kapitana Rawdona. - Sierżant Kettle rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Leksi. - Lady Deverell wie o kapitanie Rawdonie. Był jej bratem.

- Widzę, że obawia się pan, sierżancie, że mógłby mnie pan zmartwić - wtrąciła Leksi. - Niepotrzebnie. Nie wierzę w winę kapitana Rawdona.

- Milady... - Sierżant urwał i powiedział: - Proszę mi wybaczyć. - Wyszedł do kuchni, przez chwilę słychać było jego rozmowę z żoną, po czym wrócił do salonu i starannie zamknął za sobą drzwi. - Kapitan Rawdon był jednym z najlepszych oficerów, pod których dowództwem służyłem. Może tylko nazbyt żywym, lubiącym ryzyko, ale szczerym aż do bólu. Tamtej nocy nie mogłem wręcz uwierzyć własnym oczom.

- Nie sądzę, by widział pan jego twarz.

- Niezbyt wyraźnie, to prawda, ale mogę przysiąc, że to był kapitan - odparł, spojrzeniem prosząc ją o wybaczenie.

- Tamtego dnia czasowo mi towarzyszyłeś - odezwał się Richard. - Czy spotkałeś kapitana?

- Nie, sir. Dopiero wieczorem.

- Może pamiętasz związane z nim dziwne wydarzenie, które miało miejsce w dniach poprzedzających to spotkanie. Może słyszałeś coś o jego zachowaniu czy wyglądzie, o czymś, co powiedział czy zrobił?

- No, była wiadomość...

- Jaka wiadomości?

- Proszę o wybaczenie, ale to wiadomość z drugiej ręki. Słyszałem o tym od Banksa, człowieka majora Aubreya. Pamięta pan majora Aubreya, sir? Zginął potem pod Waterloo.

- Oczywiście, że pamiętam. Mów dalej.

- Banks opowiadał, że kapitan zapytał majora, dlaczego nie pojawił się w czwartek rano u Jacksona, gdzie byli umówieni. Major Aubrey był zaskoczony. Twierdził, że listownie odwołał spotkanie. Kapitan Rawdon przysięgał, że ten list do niego nie dotarł... - Sierżant Kettle urwał nagle.

- Tak?

- Banks obstawał przy tym, że kapitan z całą pewnością otrzymał list. Osobiście oddał liścik majora Aubreya kapitanowi Rawdonowi.

Richard był wyraźnie zaintrygowany.

- Miał absolutną pewność, że to był kapitan Rawdon?

- Tak, sir. Banks znał go całkiem nieźle.

- Hm. Czy to miało miejsce w pokoju kapitana Rawdona?

- Nie, Banks spotkał kapitana na St James's Square i osobiście wręczył mu list. A kapitan Rawdon kompletnie tego nie pamiętał. To dość dziwne, nie sądzi pan?

- Dziwne - powtórzył Richard w zamyśleniu.
- Może Johnny był chory - podsunęła Leksi, kręcąc ze zdumieniem głową.
- Nie sądzę. - W głosie Richarda zabrzmiała pewność.
- Musiał być chory. Zachowywał się dziwacznie.
- Sądzę, że sierżant Kettle powiedział nam wszystko, co mógł, kochanie. Możemy już pozwolić pani Kettle wejść?
- Och, tak! Oczywiście! Przepraszam bardzo!

Na Brook Street wracali w milczeniu. Richard był zamyślony, spoglądał jednak od czasu do czasu na Leksi takim wzrokiem, jakby mu było jej żal. Przypuszczała, że to z powodu znikomych rezultatów ich dotychczasowego dochodzenia, nie próbowała więc nawiązać z nim rozmowy. Nie chciała, żeby padło stwierdzenie, że nic z tego, czego się dziś dowiedzieli, nie świadczy o niewinności Johnnynego. Wręcz przeciwnie, słowa obu sierżantów pograżały go jeszcze bardziej.

Leksi bardzo się jednak myliła. To, co Richard usłyszał po przyjeździe do Londynu, nie utwierdziło go w przekonaniu o winie Johnnynego. Wręcz przeciwnie. Richard zastanawiał się nad słowami Hargreavesa, który utrzymywał, że widział Johnnynego na Piccadilly wtedy, gdy Johnny z całą pewnością przebywał w siedzibie Gwardii Konnej. Rozważał również informację sierżanta Kettle'a, iż Johnny wypierał się, jakoby otrzymał list, który, co znaczące, został mu doręczony do rąk własnych nie w jego pokoju, ale na ulicy. Oba te wydarzenia miały miejsce tego samego dnia - w przeddzień śmierci Johnnynego. W tej sytuacji Richard doszedł do wniosku, że tego dnia musiał w Londynie przebywać mężczyzna tak bardzo podobny do Johnnynego, że nawet ludzie, którzy go dobrze znali, mylili ich ze sobą. Być może człowiek ten nie tylko był przez innych mylony z Johnnym, ale świadomie, dla siebie tylko znanych celów, podszywał się pod niego w gospodzie „Pod Kogutem”.

Jeśli te domysły okażą się prawdziwe, dłużej nie będzie można winić Johnnynego. Dla Aleksandry będzie to niewielka pociecha i dowie się, kim jest prawdziwy zbrodniarz.

Rozdział trzynasty

Wieczorem Deverellowie byli zaproszeni na recital poetycko-muzyczny w Northumberland House. Leksi bez entuzjazmu włożyła jedną z nowych sukien i pozwoliła Cissie ułożyć włosy w bardziej wyszukaną fryzurę. Pokojówka nie skończyła jeszcze przygotowywać pani, kiedy wszedł Richard z oznaczonym inicjałami Leksi etui, pochodzącym od jednego z najbardziej wziętych londyńskich jubilerów.

- Sądzę, że mogłabyś to włożyć na wieczór - powiedział.

Leksi spojrzała na niego ze zdumieniem. Ostatnie, czego się spodziewała, to prezent od męża. I to pochodzący z renomowanej pracowni. Richard zrobił krok w stronę drzwi.

- Nie zaczekasz - zapytała - aż zobaczę, co to jest?

Zawahał się, ale zawrócił i usiadł w fotelu przy kominku. Leksi otworzyła etui. Na aksamitnej poduszce spoczywał brylantowy komplet - naszyjnik, kolczyki i zapinka do włosów. Leksi wpatrywała się w biżuterię z zachwytem. Nie słyszała nawet, jak Cissie głośno wciągnęła powietrze z podziwu, kiedy jej pani podniosła naszyjnik. Lśnił i błyszczał, wykonany po mistrzowsku z brylantów czystej wody.

Leski odwróciła się do męża. Nie patrzył na nią, siedział rozparty w fotelu z wyciągniętymi przed siebie nogami. Wyglądał tak, jakby wręczywszy jej biżuterię, przestał się nią interesować. Dlaczego więc ofiarował jej te klejnoty? Niezależnie od powodu, zasługiwał na podziękowanie.

- Richardzie! Co za cudowny prezent! - powiedziała z jawnym zachwytem.

- Masz bardzo mało biżuterii - stwierdził, wstając z fotela. - Włożysz dziś wieczór te klejnoty? Obojętność męża odebrała Leksi część radości.

- Oczywiście - odparła, siląc się na równie obojętny ton. - Tego właśnie mi brakowało do właściwego podkreślenia fryzury. - Pochyliła się, żeby wpiąć kolczyki w uszy, i spojrzała na odbicie twarzy Richarda w lustrze - nie była obojętna. Przeciwnie, odzwierciedlała uczucie. Trwało to jednak chwilę i Leksi nie była pewna, czy jej się nie przywidziało.

Gdy odprawiła Cissie, Richard również ruszył do wyjścia.

- Nie, zaczekaj! - zawołała impulsywnie. - Jeszcze nie podziękowałam ci jak należy. - Podeszła, żeby pocałować męża w policzek, ale odwrócił głowę i ich usta się spotkały. Lekkie muśnięcie wystarczyło, by namiętność wzięła górę. Ze zdławionym pomrukiem otoczył Leksi ramionami i zawładnął jej ustami.

Leksi wydawało się, że nie zniesie tej przejmującej słodyczy ani chwili dłużej, gdy Richard oderwał się od niej i podszedł do kominka.

- Przepraszam - powiedział urywanym głosem. - Pogniotłem twoją suknię.

- Richardzie...

- Nie, Aleksandro. Musisz się uspokoić. Spóźnimy się.

- Przyślę ci zaraz Cissie i zaczekam na dole - dodał i już go nie było.

Leksi popatrzyła za nim z rozpaczą. Jak mógł tak po prostu odejść? Niewątpliwie nawet w połowie, nawet w dziesiątej części nie był pod tak silnym wrażeniem tego, co się stało, jak ona. Czy nie zdawał sobie sprawy, jakim okrucieństwem było dać jej zakosztować rozkoszy bliskości po to, by ponownie się odsunąć? Gdyby miał świadomość, jak silną namiętność obudził w niej jednym pocałunkiem, na pewno nie czekałby spokojnie na dole. Jeśli jednak ona ma choć odrobinę dumy, musi zejść.

Podeszła do lustra. Dlaczego mąż ofiarował jej tak kosztowny prezent od najdroższego jubilera w Londynie? Przez chwilę myślała, że chciał jej w ten sposób okazać, jak bardzo mu na niej zależy. Ale była głupia! Lord Deverell uważa zapewne, że jego żona powinna odpowiednio prezentować się w towarzystwie. Cóż, dzisiaj będzie usatysfakcjonowany. Leksi nigdy nie widziała piękniejszych klejnotów, a jej suknię uszyła najmodniejsza firma krawiecka w Londynie. Jeśli na tym mu zależało, powinien być z niej dumny. Leksi poddała się zabiegom Cissie, gotowa odegrać swoją rolę.

Wszyscy uznali, iż Leksi Rawdon jeszcze nigdy nie wyglądała tak olśniewająco. Byli także pod wrażeniem oddania, jakie okazywała małżonkowi. W zachowaniu lorda Deverella nikt nie dostrzegł zmiany, ale też jej nie oczekiwał. Richard Deverell nie należał do osób otwartych, ujawniających uczucia i myśli. Dlatego był odnoszącym sukcesy graczem. Któż wymagałby od niego demonstrowania uczuć wobec żony, skoro na jej szyi lśnił namacalny dowód jego przywiązania? Powszechnie uznano, że nowa lady Deverell jest bardzo szczęśliwą kobietą. Wśród jej admiratorów znalazł się również sir Charles Stainforth, który podczas przerwy podszedł, żeby zamienić kilka słów.

- Zapewne nie pamięta mnie pani, lady Deverell. Spotkaliśmy się w zeszłym roku, ale była pani nieustannie otoczona tłumem wielbicieli.

- Oczywiście, że pana pamiętam, sir Charlesie. Pańska żona przyjaźni się z moją matką chrzestną. Wielokrotnie ją tam widywałam. Czy lady Stainforth przybyła z panem?

- Niestety, nie. Poza sezonem lady Stainforth woli mieszkać w naszej wiejskiej rezydencji w Surrey. Ja zaś prawie przez cały tydzień bawię w Londynie, ale żona oczekuje mnie w domu w soboty i niedziele. Z tobą też tak będzie, Deverell, zobaczysz. Kiedy człowiek się żeni, traci wolność.

- Ile przy tym zyskuje, sir Charlesie! - zauważyła Leksi na widok jego ponurej miny. - Chciałam zaprosić pana wraz z lady Stainforth do nas na obiad w przyszłym tygodniu, ale skoro jest pan sam w mieście, może wpadłby pan do nas jutro wieczorem, jeśli nie ma pan innych planów. Niech się pan nie kępuje odmówić, jeżeli nie ma pan ochoty. Próbuję odszukać ludzi, którzy znali mojego brata Johnnyego, a pan, o ile się nie mylę, blisko z nim współpracował w Gwardii Konnej. Czy mógłby pan podzielić się ze mną kilkoma wspomnieniami o nim?

- Z prawdziwą przyjemnością opowiem pani wszystko, co wiem. A raczej to, co nadaje się dla kobiecych uszu. Johnny był, muszę przyznać, dość szalonym młodym człowiekiem. Nie jestem pewien, czy jego siostra miałaby ochotę dowiedzieć się o wszystkich jego... hm... wyczynach, co, Deverell?

- Sir Charles nagle spowaźniał. - Z prawdziwą przykrością usłyszałem o jego śmierci. Bardzo go nam wszystkim brakuje. Deverell mówił, że byliście sobie bardzo bliscy.

- To prawda, ale w ostatnich tygodniach przed jego śmiercią rzadko go widywałam. Dlatego chciałabym, żeby mi pan o nim opowiedział. Jurto o ósmej? Wspaniale. A teraz niech mi pan zdradzi swoją opinię o dzisiejszej sopranistce.

Następnego wieczoru Richard powitał sir Charlesa przyjaźnie, nawet serdeczniej niż zwykle. Nikt by nie podejrzewał, jak bardzo jest spięty. Przyszło mu do głowy pewne pytanie i nie potrafił zdecydować, czy pragnie uzyskać na nie odpowiedź, czy też się jej lęka. Przemknęło mu przez myśl, że może byłoby lepiej nigdy nie poznać prawdy, doszedł jednak do wniosku, że nie powinien się poddawać, jest to winien pamięci Johnnyego.

Okazało się, że sierżant Chalmers miał rację. W przeddzień śmierci Johnny rzeczywiście spędził całe popołudnie i część wieczoru w towarzystwie lorda Bathursta. Dobry obiad i kilka kieliszków wina rozwiązały język sir Charlesowi i pomimo obecności Leksi bez oporów opowiadał o tajnych dokumentach.

- Johnny uczestniczył, oczywiście, we wszystkich dyskusjach. Brał w nich udział, bo Wellington powierzył te papiery jego opiece. Twojej także, ale ciebie nie było prawie cały dzień, bo wypytywałeś ludzi o tego Francuza. Benuata, zdaje się?

Richard skinął głową w milczeniu i sir Charles podjął opowieść.

-Wiedzieliśmy, że Francuzom zależy na dokumentach. Gdyby wpadły w ich ręce, pociągnęłyby to za sobą straszliwe konsekwencje. Ucieszyłem się, kiedy ta szpiegowska afera dobiegła końca. Wellington nie pozwolił żadnemu z nas nawet rzucić okiem na dokumenty. Nie ufał nam. Może sobie być takim bohaterem, za jakiego go wszyscy uważają, ale to nie najłatwiejszy człowiek we współzyciu, lady Deverell! W owym okresie stosunki pomiędzy Żelaznym Księciem a Gwardią Konną były tak napięte, że nie powierzyłyby nam nawet sznurowadła, nie mówiąc już o ważnych dokumentach.

- Niech pan nie pozbawia mojej żony złudzeń, sir Charlesie. Ona wierzy, że wszyscy uważaliśmy Bonapartego za wroga. Tak czy owak, myli się pan co do Wellingtona. Był przekonany, że oficerowie liniowi potrafią lepiej wyjaśnić pewne kwestie liczącym się osobom.

- Wiem, że dokumenty nigdzie nie byłyby tak bezpieczne jak pod opieką twoją i Johnnyego Rawdona. Chodziły słuchy, że Francuzi oferowali znaczną sumę każdemu, kto by wykradł te papiery.

- Pewnie niewiele osób wiedziało o ich istnieniu. Mam rację? - zapytała Leksi.

- Trudno powiedzieć. Obowiązywała ścisła tajemnica, ale Gwardia Konna przypominała sito: prędzej czy później wszystko z niej wyciekało. Proszę mi wybaczyć to, co teraz powiem, lady Deverell, ale pani brat nie zawsze potrafił zachować dyskrecję. Traktował służbę, biedak, jak zabawę, choć kiedy dowiedział się, ile dla Francuzów były warte te dokumenty, naprawdę był pod wrażeniem. Wyjaśnij mi, Deverell, skąd teraz to zainteresowanie?

- Przypuszczam, że Aleksandra chciałaby wiedzieć o wszystkim, co odgrywało istotną rolę w ostatnim okresie życia jej brata.

- Tak, rozumiem, jednak nie powinna pani, lady Deverell, tak bardzo skupiać się na przeszłości. Pani brat był odważnym i przedsiębiorczym oficerem. Cieszył się godną pozazdrosczenia reputacją. Oczywiście, był młody i nudził się w Londynie. To go popchnęło do popełnienia raz czy dwa pewnych nierozważnych uczynków. Wszystkie głupstwa wywietrzałyby mu z głowy w jednej chwili, gdyby znalazł się w akcji. Johnny Rawdon jest wspominany z sympatią i szacunkiem przez kolegów z wojska. Może pani być z niego dumna. I - dorzucił, spoglądając na Leksi z życzliwością - pozwolić mu spoczywać w spokoju. Oczy Leksi wypełniły się łzami.

- Dziękuję - szepnęła. - Jest pan bardzo miły. Porozmawiali jeszcze przez chwilę na obojętne tematy, po czym Leksi opuściła panów, by w spokoju wysączyli poobiedni kieliszek porto.

- Co za śliczna dziewczyna - rzekł sir Charles. - I ma serce. Ty i Rawdonowie dorastaliście razem, prawda? Szczęściar z ciebie, Deverell. Już ci to raz powiedziałem. - Obrzucił Richarda baczny spojrzeniem. - Wyglądasz tak, jakbyś chciał mnie o coś zapytać. Śmiało.

- Jest drobna nieścisłość związana z Benuatem. Teraz to już pewnie nieważne, ale nie lubię zostawiać niewyjaśnionych spraw.

- O co chodzi?

- Benuat zniknął, a przecież miał współnika. Podejrzewam, że mieszkał w rejonie Seven Dials.

- I?

- Chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś bliższego.

- Wojna się skończyła, Deverell. Zapomnij o tym i ciesz się towarzystwem cudownej żony.

- Na wolności pozostaje nikczemnik, którego koniecznie chcę wytropić - odrzekł Richard. - Część pańskich ludzi, o ile się nie mylę, nazywacie ich nieoficjalnie psami gończymi, narzeka na brak zajęć. Pokryłbym wydatki jednego czy dwóch, żeby powęszyli na terenie Seven Dials w poszukiwaniu monsieur X. Jeśli tam jest, znajdą go w tydzień czy dwa. Słyną ze swej skuteczności.

- Przyślę ci któregoś jutro rano.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym przyjść osobiście do pańskiego biura.

- Nie chcesz, żeby żona się dowiedziała, co? Dobrze. Nadal uważam, że jesteś zbyt skrupulatny, ale zawsze byłeś cholernie uparty.

Przyłączyli się do Leksi, czekającej na nich w salonie, lecz sir Charles nie zabawił już długo i Deverellowie wkrótce zostali sami.

Leksi miała ogromną ochotę porozmawiać z mężem, ale Richard, choć w pełni się zgadzał, że pewne szczegóły z ostatnich dwóch dni życia Johnnynego wydawały się z każdą chwilą bardziej tajemnicze, nie zdradzał chęci do pogawędki. Leksi czuła, że jest głęboko zatroskany, ale zbyt dobrze go znała, by się dopytywać. W obecnym stanie ducha tylko by ją zbył.

Wkrótce rozeszli się do swoich pokoi.

Następnego dnia po śniadaniu Richard poprosił Leksi, żeby przeszła z nim do małego saloniku. Zachodziła w głowę, co chce jej powiedzieć. Jego pierwsze słowa, choć zaskakujące, wydały jej się jednak całkiem zwyczajne.

- Posłałem po Willa Osborne'a. Jutro powinien tu być.

- Miło mi to słyszeć, choć nie sędzę, żeby był tutaj potrzebny. Wydawało mi się, że zamierzałeś zabrać Colesa w tę swoją tajemniczą podróż.

- Owszem, zabiorę Colesa. Chciałbym zostawić cię pod opieką kogoś zaufanego, a Osborne w dodatku całkiem nieźle zna Londyn. Twój ojciec wielokrotnie zabierał go ze sobą do stolicy.

- Osborne urodził się w Londynie. Jego ojciec przyjął pracę w Rawdon, kiedy Will był kilkuletnim dzieckiem, ale nadal potrafi poruszać się po mieście. Papa często wykorzystywał tę jego umiejętność.

- Proszę, żebyś nie wychodziła bez niego z domu. Liczę na to, że nie będziesz mu płatała takich figli jak w Dorchester.

- Skoro tak się troszczysz o moje bezpieczeństwo, dlaczego nie zabierzesz mnie z sobą, Richardzie?

- Ta podróż nie będzie zbyt komfortowa. Zamierzam jechać tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie biorę nawet Phillipa.

- Nie chcesz mnie mieć przy sobie. Bez obaw - stwierdziła Leksi - nie spodziewałam się, że mnie zabierzesz. Znajdę sobie mnóstwo rozrywek podczas twojej nieobecności.

Richard spojrzał na nią bardzo poważnie.

- Najchętniej zabroniłbym ci szukania informacji o Johnnym na własną rękę, Aleksandro, ale zbyt dobrze cię znam. Proszę cię jednak o cierpliwość. Muszę wyjechać, ale wkrótce wrócę. Czy możesz odłożyć poszukiwania do mojego powrotu? Nie prosiłbym cię o to bez bardzo istotnego powodu.

- Nie możesz mi powiedzieć jakiego?

- Nie - odparł lakonicznie.

- Zgoda. Pod twoją nieobecność będę się zachowywała jak typowa młoda mężatka. O ile się nie mylę, to matka chrzestna chciałaby wybrać się ze mną do swych ulubionych sklepów. Poproszę sir Charlesa, żeby towarzyszył nam na wieczorek do lady Garmston, a mnie zabrał na wystawę do Somerset House. Wybiorę się też na przejażdżkę po Hyde Parku, oczywiście w towarzystwie Osbornea. I może poproszę pana Hargreavesa, żeby mnie zabrał do teatru. Zadowolony?

Uśmiechnął się. Zapomniała już, jak na nią działa uśmiech Richarda.

- Dziecinko, nie będzie mnie najwyżej cztery dni, nie starczy ci czasu na zrealizowanie wszystkich planów. Nie zdążysz nawet za mną zatęsknić.

- Oczywiście, że nie - przytaknęła Leksi, ale bez przekonania.

- Jestem dziś rano umówiony na spotkanie - powiedział Richard po krótkim wahaniu. - Czy po południu miałabyś ochotę wybrać się ze mną na przejażdżkę?

- Dziękuję - zgodziła się Leksi ku własnemu zaskoczeniu - z przyjemnością.

Dzień wstał pochmurny i chłodny, zanosilo się na deszcz. To nie była odpowiednia pogoda na spacer i Leksi spodziewała się, że Richard odwoła popołudniową wyprawę. Okazało się jednak, że nie miał w planie konnej przejażdżki. Pojechali powozem wzdłuż Piccadilly, minęli Charing Cross, skręcili w Strand i Fleet Street dotarli do Ludgate Hill. Powóz zatrzymał się przed siedzibą firmy Rundell, Bridge i Rundell i już po chwili Philip Rundell, starszy wspólnik, witał ich z taką rewerencją, z jaką przyjmuje się wyjątkowych klientów. Pan Rundell był człowiekiem dyskretnym, nie zapytał więc Leksi, czy podobały jej się brylanty. Dopiero kiedy stało się jasne, że lord Deverell ofiarował je właśnie żonie, jubiler zaczął wygłaszać hymny pochwalne na cześć czystości i rozmiaru kamieni.

- Pochlebiam sobie, że mogę panu natychmiast pokazać równie piękne klejnoty, lordzie Deverell

- oświadczył pan Rundell, wskazując pokrytą aksamitem tackę, na której pysznił się naszyjnik. - Interesowały pana, zdaje się, szafiry?

Leksi przyjrzała się kosztownemu cacku i zwróciła pytające spojrzenie na Richarda.

- Jeszcze więcej biżuterii? - zapytała. Richard spojrzał jej w oczy.

- Chcę ci je ofiarować - odparł. - Pomyślałem o szafirach ze względu na twoje oczy, ale jeśli wolałabyś inne kamienie, na przykład szmaragdy...

- Jeśli lady Deverell woli szmaragdy - wtrącił gładko pan Rundell - to tak się składa, że akurat mam zupełnie wyjątkowej urody szmaragdy połączone z brylantami czystej wody...

- Nie - oświadczyła Leksi, nie odrywając wzroku od twarzy męża. - Wezmę szafiry.

Pan Rundell kaszlnął cicho, żeby zwrócić uwagę klientów na poważne kwestie finansowe. Zdawali się nie pamiętać o jego obecności...

- A tak - mruknął Richard, jakby ocknął się ze snu. - Proszę nam przysłać szafiry, jak tylko będzie gotowa kasetka, Rundell. Myślę, że się jeszcze spotkamy. Jesteś gotowa, Aleksandro?

Pan Rundell odprowadził ich do drzwi, nieustannie zapewniając o swym szacunku.

- Jesteś niezwykle hojny - szepnęła Leksi, gdy znaleźli się z powrotem w powozie. - Nie bardzo wiem, jak ci dziękować.

- Nie musisz mi dziękować. Mam nadzieję, że nie przyszło ci do głowy, iż próbuję coś tymi klejnotami kupić, Aleksandro. Chciałem ci sprawić przyjemność przed swoim wyjazdem. To wszystko.

- O co chodzi? - zapytała wprost Leksi. - Jestem ci wdzięczna za ten naszyjnik z szafirów, bardzo wdzięczna. To wspaniały prezent. Mam jednak wrażenie, że coś się za tym kryje. Co przede mną ukrywasz, Richardzie?

- Wiele ostatnio przeszłaś. Może chciałem okazać podziw dla twojej odwagi. Nie trać jej. Obawiam się, że wkrótce będzie ci jeszcze bardziej potrzebna.

- To znaczy, że nadal wierzysz w winę Johnniego? Po tym wszystkim, czego się dowiedzieliśmy? - Głos Leksi zdradzał jej głębokie rozczarowanie.

- Zapytaj mnie o to, kiedy wrócę. Wtedy ci odpowiem. Nie chciał zdradzić nic więcej. Reszta drogi upłynęła w przykrym milczeniu. Zanim weszli do domu, Leksi kusiło, by zwrócić szafirowy naszyjnik firmie Rundell, Bridge i Rundell. Pragnęła zaufania męża, a nie jego prezentów, choćby najcenniejszych.

Wrócili późno i Richard od razu się z nią pożegnał. Zamierzał wyjechać bardzo wcześnie i rano nie mieli się zobaczyć. Obiecał wrócić najszybciej jak to możliwe, ale nic w jego zachowaniu nie wskazywało na żal z powodu rozstania. Wręcz przeciwnie, zachowywał większy dystans niż zwykle.

W towarzystwie jednego tylko lokaja Richard podążał drogą na północ, przez Islington i Barnet; domagał się najlepszych koni i często je zmieniał, toteż przed wieczorem dotarł do Northampton. Zatrzymał się w zajezdni „Pod Aniołem”, zjadł solidny obiad, wypił dwa kufle piwa i położył się do łóżka. Zamierzał następnego dnia wstać w dobrej kondycji.

Nie pierwszy raz był w Northampton. Przyjechał tu parę miesięcy temu, żeby na prośbę ojca Leksi odnaleźć Marka Rawdona. Martwił się wówczas stanem spraw w Somerset i chciał wracać jak najprędzej. Okazało się zresztą, że jego pobyt w tym mieście był nawet krótszy, niż mógł przypuszczać. Mark nie potrzebował wiele czasu, żeby zakończyć swoje sprawy, i chociaż Richard zaproponował, że zaczeka do następnego dnia, opuścili Northampton od razu.

W rezultacie podczas poprzedniego pobytu Richard rozmawiał z bardzo niewielu osobami, z których żadna nie miała związków z Markiem. Tym razem postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o kuzynie Aleksandry.

Rano zostawił Colesa w zajezdni, a sam udał się do domu, w którym mieszkał Mark Rawdon. Budynek wyglądał na opustoszały, jakby od trzech miesięcy, czyli od wyjazdu poprzedniego

lokatora, nikt do niego nie zaglądał. W pewnym momencie Richard zauważył starszego mężczyznę, przyglądającego mu się z zaciekawieniem z drugiej strony ulicy, i zapytał, gdzie mógłby znaleźć człowieka, który tutaj mieszkał.

- A po co to panu wiedzieć?

- Mam dla niego wiadomość. Dla tego, kto wskaże mi do niego drogę albo udzieli o nim informacji, też coś interesującego się znajdzie.

- Tak? Pan z Londynu, co?

- Tak. - Richard nie zamierzał wprowadzać go w mało istotne szczegóły.

- Może i mógłbym pomóc... Najpierw pokaż pan forszę.

Richard starannie obejrzał monetę, zanim wręczył ją starszemu człowiekowi. Tamten skwapliwie schował ją do kieszeni i zaczął mówić:

- Nie znajdzie pan tego łajdaka w Northampton. Wyjechał stąd bez słowa, żeby poszukać fortuny gdzie indziej i zostawił Nancy Pelham na śmierć głodową.

- Kim jest Nancy Pelham?

- Nic pan nie wie, co? To stara kobieta, która się nimi wszystkimi zajmowała. Była z nimi od lat, lecz dla Marka Rawdona to bez znaczenia. Zostawił ją bez słowa i wyjechał. Całe szczęście, że Nancy ma siostrę, która ją przygarnęła. Jednak obie przymierają głodem.

- Gdzie jest teraz pani Pelham?

- Już panu mówiłem, u swojej siostry, Aggie. Richard odetchnął głęboko.

- To znaczy gdzie?

- Za sklepem piekarza przy Sheep Street. Nie może pan nie zauważyć. Siostra nazywa się Aggie Bell.

Richard rozmawiał jeszcze przez parę minut ze starszym mężczyzną, a kiedy doszedł do wniosku, że niczego więcej się nie dowie, zawrócił w stronę centrum miasta.

Stojący za piekarnią domek był niewielki, ale dobrze utrzymany. Richard przedstawił się i został zaproszony do środka. Wewnątrz panowała idealna czystość, ale widać było, że siostry żyją na skraju nędzy. Otulona szalem pani Pelham siedziała w bujanym fotelu przy kominku. Była starszą kobietą, zupełnie jednak nie przystawała do obrazu bezzębnej staruszki, jaki sobie stworzył Richard. Wypłowiałe oczy były czujne, a mówiła i zachowywała się jak doskonale wyszkolona służąca. Młodsza siostra wyraźnie bardzo ją kochała.

- Mam nadzieję, że nie zdenerwuje pan Nancy, sir - szepnęła. - Pan Mark nie potraktował jej najlepiej. Pomiarkował się może? Przywiózł pan od niego wiadomość?

- Niestety, nie.

- Muszę przyznać, że byłabym zdumiona, gdyby pan miał coś od niego - rzuciła cierpko. - Zatem dlaczego...

- Dlaczego tu jestem? - Richard uśmiechnął się i powiedział: - Pozwoli pani, że wyjaśnię to siostrze. Jeśli ona nie będzie miała nic przeciwko temu, może pani zostać i słuchać.

Propozycja została przyjęta i siostry poprosiły Richarda, by usiadł obok pani Pelham przy kominku.

- Pamiętam pana, sir - stwierdziła, kiedy podszedł bliżej. - Był pan tu w lecie. Chyba pod koniec sierpnia. Zabrał pan ze sobą pana Marka.

- Zgadza się - przyznał Richard. - Prowadziła mu pani dom, jak mi wiadomo. Nie widziałem pani wówczas.

- Nie, kazał mi trzymać się na uboczu. Nie chciał, żebym wiedziała, co się dzieje.

- I nie chciał, żebyś rozmawiała z panem Deverellem, Nancy.

- Dlaczego tak pani sądzi, pani Bell?

- Mógłby pan dowiedzieć się prawdy o nim. Nie od Nancy, ona nic by panu nie powiedziała. Ma za dobre serce, na własne nieszczęście.

- Chyba wie pani, że pan Mark jest teraz właścicielem wielkich dóbr ziemskich w Somerset? - zwrócił się Richard do pani Pelham.

- A skąd miałabym wiedzieć? Nie odezwał się do mnie od czasu wyjazdu. Nie jestem zaskoczona. Zawsze powtarzał, że pewnego dnia to wszystko będzie należało do niego, łącznie z tytułem.

- Naprawdę? Odniosłem wrażenie, że nic o tym majątku nie wiedział.

- Tak panu mówił?

-Tak.

Twarz starej kobiety znieruchomiała.

- Nie do mnie należy podważanie jego słów, prawda, sir? Pewnie go źle zrozumiałam.

- Nancy! Nie bądź idiotką! - interweniowała pani Bell. Nancy nadal uparcie milczała, więc jej siostra zwróciła się do Richarda: - Nie ma na świecie bardziej lojalnej osoby od mojej siostry, sir. Pracowała u Rawdonów przez całe życie i jestem pewna, że gdyby pani Rawdon nadal żyła, nie usłyszałby pan od Nancy ani słowa. Nawet teraz, po śmierci pani Rawdon, niech spoczywa w spokoju, kiedy jej syn zostawił moją siostrę bez środków do życia, ona nie chce o nim mówić. Czego pan oczekuje? Jest pan przyjacielem Marka Rawdona? Jeśli tak, może się panu nie spodobać to, co pan usłyszysz.

- Zależy mi na prawdzie - odparł Richard. - Nieważne, czy mi się spodoba. Nie jestem ani przyjacielem, ani wrogiem Marka Rawdona, ale jest on związany z kimś, kogo mam obowiązek chronić. Chcę znać prawdę o nim, dobrą lub złą.

- Słyszałaś, Nancy? Powiedz temu panu.

Pani Pelham pochyliła się, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy Richarda i to, co zobaczyła, najwyraźniej ją zadowoliło.

- Niezależnie od tego, co panu mówił, wiedział wszystko o rodzinie z Somerset - stwierdziła. - Pan Rawdon miał wielką księgę z drzewem genealogicznym rodu i pan Mark pokazywał mi ją już we wczesnym dzieciństwie. Mówił: „Zobacz, Pelly! Jestem po ojcu następnym w kolejności dziedziczenia. Między nami a wielkim majątkiem w zachodniej Anglii stoi tylko jakiś dzieciak imieniem John”. Kiedy zapytałam go o siostrę tego Johna, Aleksandrę, oświadczył, że nią nie ma się co przejmować, bo dziewczynka nie może odziedziczyć tytułu. W dziesięć lat później, po śmierci pana Rawdona, przeczytał w jakiejś gazecie, że jego kuzyn John został żołnierzem. Nie wyobraża pan sobie nawet, jaki był zachwycony. „Zobaczysz, Pelly - mówił - on zginie na wojnie, stary umrze i ja zostanę baronetem, sir Markiem Rawdonem”. A potem jego kuzyn rzeczywiście zginął.

- Ale nie w walce z Francuzami - rzekł Richard.

- Tego nie wiedziałam, sir.

- Prowadziła pani Markowi dom po śmierci jego matki?

- Owszem - przytaknęła pani Bell. - I tak się jej odwdzięczył.

- Jeżeli pani z nim mieszkała, to powinna pani wiedzieć, czy zdarzało mu się wyjeżdżać na dzień lub dwa. Na przykład w odwiedziny do krewnych.

- Do rodziny raczej nie, ale do Londynu wyjeżdżał dość często. Tego lata ze dwa albo trzy razy, jeszcze przed pana przyjazdem. Może tam się z nim spotkał?

- Może - mruknął Richard z ironią, która umknęła uwagi pani Pelham. - Czy pamięta pani dokładną datę któregoś z jego wyjazdów?

- Tak, bez trudu zapamiętałam, bo wypadł akurat w moje urodziny. Siedemnastego maja. Wyjechał do Londynu poprzedniego dnia, co oznaczało, że mogłam spędzić dzień urodzin ze swoją siostrą Aggie. Wtedy, za pierwszym razem, nie było go dość długo, cały wtorek, środę i czwartek.

- A skąd pani wie, że był w Londynie?

- Zatrzymał się u szwagierki Aggie, pani Judkin. Ona prowadzi pensjonat na Brownlow Street. Nie wiem, w jakiej to dzielnicy Londynu.

- Mówiła pani, że wyjechał ponownie.

- Nawet dwukrotnie, ale już tylko jedną noc spędził poza domem. Raz w lipcu i raz w sierpniu. Wkrótce potem przyjechał pan, żeby go stąd zabrać. - Pani Pelham zmarszczyła czoło. - Pan Mark wpadł w kłopoty, prawda? Dlatego zadaje pan te wszystkie pytania.

Richard ujął jej rękę w obie dłonie.

- Pani Pelham, proszę wierzyć, z całego serca pragnąłbym, żeby to nie była prawda.

Wydawało się, że go nie słyszy.

- Zawsze był zły - ciągnęła. - Jego biedna matka twierdziła, że odziedziczył to po dziadku, wraz z rudymi włosami i niebieskimi oczami. Nie miał poczucia dobra i zła. Jeśli Mark Rawdon czegoś zapragnął, musiał to zdobyć za wszelką cenę. To można nawet zrozumieć, lecz czasami popełniał niegodziwości dla czystej przyjemności. Lubił patrzeć na ludzi pogrążonych w cierpieniu lub w nędzy. Czuł się wtedy szczęśliwszy. Czasami myślałam, że siedzi w nim diabeł.

- Zwróciła się do Richarda z wyrazem zdziwienia w starych oczach. - A przy tym miał dziwny urok, panie Deverell! Czasami zrobił coś okropnego i wybuchał tak radosnym śmiechem, że człowiek mimowolnie zaczynał się śmiać wraz z nim, choć przecież zdawał sobie sprawę, że nie powinien. I był przemyślny. Tak, to był sprytny chłopak. Nieczęsto udawało się go przyłapać, ale kiedy już wpadł, potrafił się wyplątać. Od początku jednak byłam przekonana, że Mark źle skończy.

Richard siedział w milczeniu.

- Okazała mi pani wiele cierpliwości - powiedział w końcu. - Dziękuję. Przyjmie pani coś ode mnie? Majątek Rawdon, nad którym sprawowałam zarząd, ma specjalny, wydzielony z całości dóbr, fundusz przeznaczony na szczególne cele. Sir Mark nie dopełnił obowiązków względem pani. Chciałbym, aby przyjęła pani pewną niewielką sumę z tego funduszu.

- Bardzo dziękuję, sir. Nie wiem tylko, czy powinnam.

- Weź, Nancy, należą ci się te pieniądze. Richard wyjął sakiewkę i podał ją pani Pelham.

- Na razie proszę przyjąć tyle. Dopilnuję, żeby dostała pani więcej.

- Dziękuję, sir. - Pani Pelham spojrzała na sakiewkę i nagle dodała: - To mi coś przypomniało. Może byłby pan tak dobry i oddał panu Markowi sakiewkę, której zapomniał zabrać? Nie chcę jej zatrzymywać. Aggie zaraz ją przyniesie. Jest w skrzyni w sypialni.

Richard czekał na powrót pani Bell z poczuciem, że zbliża się przeznaczenie. I rzeczywiście, przyniosła sakiewkę, którą widział ostatnio w gospodzie „Pod Kogutem”. Trzymał ją mężczyzna wzięty przez niego za Johnnynego Rawdona.

Rozdział czternasty

Richard szczylił się tym, że w obliczu kłopotów czy zagrożenia potrafi zachować zimną krew, ale nawet on miał problemy z opanowaniem sprzecznych emocji. Potwierdziły się jego nadzieje,

ale i najgorsze obawy. Udało się udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Johnny Rawdon, jego przyjaciel, towarzysz, był niewinny. Sakiewka pozwoliła ostatecznie zidentyfikować Marka jako człowieka z gospody i kładła kres wszelkim dyskusjom. Bezwzględne zaufanie Aleksandry do brata okazało się w pełni uzasadnione, a równocześnie zniknęła jedna z głównych przeszkód stojących im na drodze do szczęścia - Richard nie mógł ignorować dowodów. Ogarnęła go ogromna ulga.

Dopiero teraz, kiedy to brzemie zostało wreszcie zdjęte z jego barków, Richard uświadomił sobie, jak ogromnie mu ciążyło. Przekonanie, że Johnny mógł postąpić tak niehonorowo, wbrew zasadom, w które głęboko wierzył, wstrząsnęło podstawami, na których opierał się świat Richarda. Ojciec odrzucił go w dzieciństwie i poczucie bezpieczeństwa zapewniła mu jedynie rodzina Rawdonów. Jeżeli Johnny Rawdon mógł popełnić zdradę, to na świecie nie było już niczego pewnego, stałego. Udało mu się na pewien czas zapomnieć o tej niepewności dzięki miłości do Aleksandry i marzeniom o prawdziwym szczęściu w Channings.

Johnny okazał się niewinny. Świat wrócił na właściwe tory, niepewność zniknęła i Richard był wolny. Wolny i dość silny, by walczyć o odzyskanie zaufania Aleksandry, o przezwycięzenie wszelkich jej wątpliwości, o nadzieję, że będzie jeszcze cieszyć się życiem, jakie razem potrafią zbudować. Czuł takie uniesienie, że chciało mu się krzyczeć z radości.

Euforia jednak minęła. Johnny Rawdon okazał się niewinny, winnym był natomiast Mark Rawdon. Nie było to dla Richarda ciężkie, bo nie był z Markiem zaprzyjaźniony, ale mogło spowodować katastrofalne implikacje. Skoro Johnny nie miał powodów, żeby popełnić samobójstwo, wydawało się nader prawdopodobne, że zginął z ręki kuzyna. Zatem nie śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku, nie samobójstwo, czego się obawiał, ale morderstwo. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to właśnie był główny powód wyjazdów Marka Rawdona do Londynu. Rozwiały się jego nadzieje, że odziedziczy tytuł w najprostszy z możliwych sposobów. Johnny przeżył wojnę w Hiszpanii, wystąpił ze służby liniowej i pracował w sztabie. Mark Rawdon postanowił więc dopomóc losowi.

A co do tajnych dokumentów... Richard wolał wierzyć, że to była improwizacja, dodatkowy bonus. Musiał przyznać, że było to błyskotliwe pociągnięcie Marka. Sprzedaż tych papierów francuskiemu wywiadowi stanowiła trafiający do przekonania powód „samobójstwa” Johnnynego, a w dodatku przyniosła Markowi sakiewkę pełną złota. Przypuszczalnie na zawsze już pozostanie tajemnicą, w jaki sposób Mark dowiedział się o Benuacie i jego pragnieniu zdobycia tych dokumentów. Po odmowie Henryego Seymoura Benuat musiał być zdesperowany. Richard podejrzewał, że Francuz postanowił spróbować szczęścia w bezpośrednim natarciu i zwrócił się do Marka propozycją kupna w przekonaniu, że rozmawia z dysponującym dokumentami Johnnym. Mark był wystarczająco bystry, żeby natychmiast dostrzec okazję. To nigdy nie zostanie potwierdzone. Benuat zginął z rąk ludzi Richarda, a Mark niewątpliwie nie będzie skłonny do zwierzeń.

Problem w tym, jak Aleksandra, która tyle ostatnio przeszła, przyjmie wiadomość, że jej jedyny pozostały przy życiu krewny i ostatni przedstawiciel rodu Rawdonów prawdopodobnie zamordował jej brata, żeby odziedziczyć majątek i tytuł jej ojca. Tak gorąco broniła kuzyna, gdy Richard odważył się zakwestionować czystość jego intencji. Prawda była taka, że Aleksandra po prostu musiała mu wierzyć. Richard doskonale pamiętał, jakie spustoszenia w jego psychice uczyniło odkrycie, że Johnny jest zdrajcą. Podejrzewał, że dla Aleksandry podobnym szokiem będzie odkrycie, iż Mark jest mordercą.

Richard niemal nie zauważył, że minęli Dunstable, St Albans i Barnet. Lokaj pilnował zmiany koni i godzin posiłków, bo pogrążony w zadumie Richard był nieobecny duchem. Głowił się, co zrobić z Markiem Rawdonem. Pozostawić go na wolności? Nie do pomyślenia. Morderca Johnnynego musi ponieść karę. Jak do tego doprowadzić, nie przysparzając Aleksandrze dodatkowego cierpienia?

Dopiero wjeżdżając na ulice Londynu, z ciężkim sercem podjął decyzję w sprawie dalszego postępowania. Postanowił rozprawić się z Markiem Rawdonem, nie informując o niczym Aleksandry. Na użytek żony ułożył sobie nawet niezbyt odbiegającą od prawdy historyjkę, która pozwalała zachować w tajemnicy rolę, jaką w tym wszystkim odegrał Mark Rawdon. Aleksandra była jednak dość bystra, żeby domyślić się prawdy, gdyby wpadła na trop jego wizyty w Northampton. Richard zanotował w pamięci, by uprzedzić Colesa, że ma milczeć jak zaklęty. Raz podjąwszy decyzję, przestał o niej myśleć i zaczął się zastanawiać, co powiedzieć Aleksandrze o Johnnym. Nie mógł już doczekać się chwili, gdy będzie mógł ją zapewnić, że jest całkowicie pewien niewinności jej brata.

Leksi wbiła sobie do głowy, że Richard wyjechał na cztery dni i się go nie spodziewała. Wieczorem wybrała się do teatru z lady Wroxford, Stephenem Hargreavesem i sir Charlesem. Wróciła późno. Charles Stainforth odwiózł ją po przedstawieniu na Brook Street, ale nie przyjął zaproszenia do domu, za co zresztą była mu wdzięczna. Jego towarzystwo było miłe, a farsa pokazana po zakończeniu sztuki - zabawna, ale Leksi nie była w dobrym humorze, a w dodatku rozboleła ją głowa. Weszła po schodach na górę i westchnęła. Już tylko jeden dzień pozostał do powrotu Richarda i choć Leksi nie miała powodu sądzić, że nastąpi zasadnicza poprawa ich wzajemnych stosunków, tęskniła za mężem i chciała, by wrócił.

Zdziwiła się, nie zastawszy Cissie w swoim pokoju. Gdzie się podziała jej pokojówka? To do niej niepodobne, zawsze czekała w pogotowiu, by pomóc pani się rozebrać. Drgnęła, gdy wysoka postać podniosła się z fotela.

- Nie ma tu Cissie. Odesłałem ją. Mogę ją zastąpić?

- Richard! - zawołała zdumiona Leksi. - Richard! - Rzuciła mu się w ramiona, a ból głowy i podły nastrój natychmiast poszły w niepamięć. Zaczęli się całować.

- Muszę częściej wyjeżdżać - zauważył Richard, gdy oderwał się od ust żony.

- Nie! - sprzeciwiła się natychmiast Leksi. Niefrasobliwie rzuciła pelerynę i rękawiczki na podłogę. - Tak bardzo za tobą tęskniłam! Niech ci się przyjrę.

Oparła dłonie na ramionach męża i spojrzała w górę. Powiedziała z wolna:

- Coś się w tobie zmieniło... Co? Przyciągnął ją do siebie i objął.

- Przemierzyłem długi, mroczny tunel, kochanie, i wyszedłem na słońce. Nie umiem ci nawet powiedzieć, jakie to cudowne uczucie.

- O co chodzi, Richardzie?

- Miałaś rację, a ja się myliłem - wyszeptał jej wprost do ucha. - Mam teraz absolutną, całkowitą pewność, że Johnny był niewinny.

Leksi odsunęła się, żeby go lepiej widzieć.

- Ja... nie wierzę - wyjąkała. - Po tylu tygodniach... Ale widzę, że mówisz serio. Och, Richardzie!

- Leksi wybuchnęła płaczem.

- Sądziłem, że będziesz zadowolona.

- Jestem! Jeszcze jak jestem! Już myślałam, że nigdy tego od ciebie nie usłyszę. Richardzie, to tak wiele znaczy.

Tulił ją w ramionach, dopóki się nie uspokoiła, dopiero potem stwierdził z rozbawieniem:

- Mam ci wiele do powiedzenia, tymczasem mogę myśleć tylko o tym, że przez te klejnoty nie mogę cię mocniej przytulić. Brylanty mnie drapią, a suknia, choć piękna, też mi przeszkadza.

- Temu da się bez trudu zaradzić - odrzekła Leksi, obrzucając męża rozmarzonym spojrzeniem. - Choć byłoby szybciej, gdybyś mi przysłał pokojówkę. - Usiadła przy toalecie. Richard podszedł bliżej i unieruchomił jej ręce.

- Ja to zrobię - powiedział i ostrożnie wyjął brylantową zapinkę z włosów żony. Opadły na ramiona rudą falą.

Leksi przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze.

- Wybrałeś niewłaściwą kolejność - szepnęła bez tchu. - I jak teraz znajdziesz zapinkę naszyjnika?

- Zaufaj mi. - Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. - Kiedy byłem w Hiszpanii - wyznał cicho - nocami śniłem, że to robię. Pachną tobą - szepnął. Zatopił twarz w masie jasnorudych włosów, a potem odsunął je i pochylił się nad jej szyją.

Rozpiął naszyjnik i odłożył go, a potem zaczął rozpinąć - jedna po drugiej - srebrne haftki sukni. Rozwiązał troczki i rękawy pozwoliły się zsunąć. Przerwał i spojrzał na odbicie żony w lustrze.

- Aleksandro - rzekł, pokrywając jej szyję i ramiona delikatnymi pocałunkami - chyba muszę cię prosić, żebyś wstała.

Leksi podniosła się, nie odrywając wzroku od lustra i suknia łagodnie spłynęła na podłogę.

- Richardzie...

- Cicho, kochanie - szepnął, rozwiązując tasiemki i koronki. - Nie widzisz, że wykonuję robotę za Cissie?

Leksi zachichotała.

- Czyżbym coś źle robił? - zapytał.

- Nie kpij ze mnie, Richardzie. Nie w takiej chwili. Czego ode mnie oczekujesz?

- Powiedziałbym, że to raczej oczywiste - odparł ze zmysłowym uśmiechem.

Leksi odsunęła jego dłonie i ponownie zawiązała kilka tasiemek. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Kiedy ostatnio poprosiłam cię, żebyś został ze mną na noc, stwierdziłeś, że wolisz spać sam. Gdy ofiarowałeś mi brylanty, pocałowałeś mnie tak słodko, że byłam gotowa dać ci wszystko. Ale ty niczego nie chciałeś. Najspokojniej w świecie przeprosiłeś, że pogmiotłeś mi suknię i powiedziałeś, że zaczekasz na mnie na dole. Dlatego teraz zadałam ci pytanie. Czego ty właściwie dzisiaj ode mnie chcesz?

- Ciebie - odparł Richard i przyciągnął Leksi. - Zawsze cię chciałem. A teraz pragnę ci pokazać, jak bardzo cię uwielbiam, Aleksandro. Chcę się z tobą kochać z takim zapamiętaniem, żebyś już nigdy nie miała wątpliwości co do moich uczuć. Tak, pragnę cię chronić, lecz nie z powodu obietnicy danej twojemu ojcu czy komukolwiek innemu, ale dlatego, że cię kocham.

Poświęciłbym życie, żeby cię uchronić przed bólem, niebezpieczeństwem, rozczarowaniem, przed wszelkimi przykrościami. - Patrzył na nią pełnymi miłości oczami. - Możesz mi zaufać, Aleksandro.

Leksi uśmiechnęła się radośnie.

- Ufam ci, Richardzie - powiedziała. - Już nigdy w ciebie nie zwątpię. - Uniosła ramiona, a Richard wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

- Kochana - szepnął - najdroższa.

Kochali się tej nocy z taką czułością i namiętnością, jakiej jeszcze nie doświadczyli nawet podczas najszczęśliwszych dni w Channings. Dotychczas zawsze stało pomiędzy nimi widmo zdrady Johnnynego i rzucało cień na ich miłość. Teraz ta mara zniknęła, wreszcie mogli w pełni

okazywać sobie wzajemnie zachwyty i pragnienie zjednoczenia. Richard nie poświęcił Markowi ani jednej myśli. Mark stanowił problem, który należało w przyszłości rozwiązać, ale w przeciwieństwie do Johnnycgo nie był w stanie rzucić cienia na wzajemne stosunki męża i żony, nie mógł zagrozić pełnemu związkowi ich dusz, umysłów i ciał.

Długo nie wstawali rano, oszołomieni minioną nocą, pogrążeni w rozkoszonym letargu.

Stopniowo wracali jednak do rzeczywistości i szykowali się na spotkanie ze światem, który od tego dnia miał już być nie ten sam.

Okazało się, że musieli stawić czoło temu światu, gdy tylko zeszli na dół. Lady Wroxford przysłała bilecik, że wpadnie po południu, by znowu zabrać Leksi na zakupy, a sir Charles przekazał zapieczętowany list z informacją, że jego „psy gończe” zdobyły informacje.

- Matka chrzestna uważa, że wyświadcza mi przysługę, zajmując mi całe popołudnie - zauważyła Leksi. - Pewnie domyślała się, jak bardzo za tobą tęskniłam, a nie wie na razie, że wróciłeś dzień wcześniej. Jeszcze nie jest za późno, żeby odwołać nasze spotkanie. Pozostało pół godziny do jej przyjazdu.

- Nie odwołuj spotkania - powiedział Richard. - Mam dziś kilka spraw do załatwienia.

Poczekamy do wieczora, żeby zostać sami. Naprawdę tak za mną tęskniłaś?

Leksi podbiegła i usiadła mu na kolanach.

- Tęskniłam przez cały czas - wyznała. - Tęskniłam, kiedy byłeś daleko, ale chyba jeszcze bardziej gdy byłeś tuż-tuż, lecz trzymałeś mnie na dystans. Mam nadzieję, że nie będziesz już tego robić.

Richard czule pocałował żonę.

- Nie będę trzymał cię na dystans, Aleksandro. Niewykluczone jednak, że będę zmuszony prosić cię o zaufanie, kiedy nie będę mógł wytłumaczyć ci wszystkiego, co chciałabyś wiedzieć.

Poszukała jego wzroku.

- Dobrze, pod warunkiem, że to nie będzie zdarzało się zbyt często - powiedziała z uśmiechem. - Masz coś konkretnego na myśli? Na przykład: co właściwie kryje się za historią Johnnycgo?

Richard pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Przenikliwa jak zawsze. Masz rację, oczywiście, obiecuję jednak, że powiem ci tyle, ile będę mógł. Zgoda? Wieczorem?

- Nie mogę się doczekać. Nie pozwól się zatrzymywać zbyt długo - poprosiła, zerkając na niego spod rzęs. - Ostatnio bardzo tęsknię za łóżkiem, nawet kiedy jest jeszcze całkiem wcześnie. Jak sądzisz dlaczego?

Richard roześmiał się, zdjął Leksi z kolan i wstał.

- Jesteś bezwstydna. Kocham cię i wybaczam. Zobaczę, co da się w tej sprawie zrobić. Mogę zabrać ze sobą Osbornea? Nie będzie ci potrzebny podczas zakupów z lady Wroxford.

- Oczywiście.

Richard zaczekał do przyjazdu lady Wroxford, potem przeprosił panie i wybrał się do siedziby Gwardii Konnej. Sir Charles spojrział na niego ze zdumieniem.

- Co się z tobą stało, Deverell? Wyglądasz na innego człowieka. Gdybyś nie był bogaty, powiedziałbym, że wygrałeś los na loterii.

- W pewnym sensie tak - odparł Richard. - Z zadowoleniem przyjmie pan wiadomość, że zamierzam zastosować się do pańskiej rady.

- Której?

- Żeby cieszyć się towarzystwem, pięknej żony i zapomnieć o wojnie i innych okropieństwach.

- Aha! Dobrze! - zawołał sir Charles, patrząc na niego ze znaczącym uśmiechem.

- Jednak byłoby grubiaństwem zignorować wysiłek pańskich „psów gończych”. Ciekaw jestem, co dla mnie wyszperali.

- Adres. Na Brownlow Street.

- Interesujące.

- Skąd wiedziałeś, że Benuat miał współnika? To Francuz?

- To długa historia i nie warto o niej wspominać. Chcę tylko zaspokoić własną ciekawość, a potem, zgodnie z pańską radą, dam temu spokój. Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co. Planujecie z lady Deverell miodowy miesiąc? Wasz ślub był bardzo kameralną uroczystością.

- To prawda. Mam nadzieję, że przyjedzie pan z żoną odwiedzić nas w Somerset. Przepiękna okolica.

- Dziękuję. Przybędziemy z przyjemnością. Bądź ostrożny na Brownlow Street, dobrze? To niezbyt bezpieczna okolica. Jeśli chcesz, to pojedzie z tobą jeden z moich „psów gończych”.

- Wezmę z sobą służącego, który zna tamte rejony. Jeszcze raz dziękuję.

- Odnoszę wrażenie, że wielu rzeczy mi nie zdradziłeś, Deverell. Do widzenia i życzę powodzenia.

Richard zabrał Osbornea i ruszyli pieszo do Charing Cross, potem w górę St Martin's Lane w stronę Seven Dials.

- Podobno znasz tę okolicę, Osborne - rzucił Richard.

- Urodziłem się niedaleko stąd, milordzie. Trochę się tu, oczywiście, zmieniło, nie na tyle jednak, żebym zablądził.

Gawędzili, przemierzając St Martin's Lane, ale kiedy wkroczyli na Brownlow Street, Osborne nagle zamilkł. Nie spuszczał wzroku z Richarda, który uważnie przyglądał się domom, a gdy zatrzymał się przed budynkiem wyglądającym odrobinę bardziej przyzwoicie od pozostałych, stajenny stanął z boku

- To chyba tutaj - stwierdził Richard. Zapukał, a gdy drzwi się otworzyły, powiedział, że chce rozmawiać z panią Judkin.

- To ja - odparła kobieta, która otworzyła drzwi. - Czego pan chce?

Osborne stanął twarzą do ulicy, żeby mieć na oku to, co się działo za ich plecami. Richard doszedł do wniosku, że to rozsądne posunięcie.

- Mogę wejść? - zapytał.

Nie zajęło mu to zbyt wiele czasu. Po kilku minutach był już z powrotem na ulicy, uboższy o suwerena, ale z brakującym elementem układanki. Pani Judkin miała znakomitą pamięć, przypuszczalnie niezbędną w prowadzonym przez nią interesie. Mark Rawdon mieszkał u niej za każdym razem, gdy opuszczał Northampton, również w te trzy najważniejsze dni maja.

Wracali na piechotę St Martins Lane. Osborne prowadził Richarda. Skręcił przed Charing Cross i przez płataninę małych uliczek wyprowadził na Piccadilly. Służący wydawał się bardziej małomówny niż zazwyczaj, może pod wpływem wspomnień z dzieciństwa. Kiedy Richard mu dziękował, Osborne odburknął coś i wyraźnie chciał jak najszybciej odejść. Najwidoczniej uważał się za sługę panny Leksi, a nie jego lordowskiej mości.

Tego wieczoru Deverellowie zasiedli do kolacji tylko we dwoje.

- Porozmawiajmy serio o Johnnym - poprosiła Leksi. -Zdradzisz mi, dokąd jeździłeś?

- Tego właśnie nie mogę ci powiedzieć. Mogę natomiast wyjaśnić, co, moim zdaniem, się wydarzyło. Czy się tym zadowolisz?

- Obiecałam, że już nigdy w ciebie nie zwątpię. A to znaczy, że wierzę, że powiesz mi wszystko, co możesz. Jeśli kiedyś w przyszłości dojdiesz do wniosku, że jesteś w stanie wyjaśnić mi resztę, na pewno to zrobisz.

Richard obszedł stół, ujął dłonie żony i ucałował.

- Kiedy w końcu zdecydujesz się komuś zaufać, to w pełni, prawda, Aleksandro? Przysięgam, że nigdy nie nadużyję twojego zaufania. Przejdźmy razem do salonu.

Zasiedli przy kominku w sąsiednim pokoju i Richard zaczął swą opowieść.

- Mówiłem ci, że w Gwardii Konnej był pewien człowiek, nie Johnny, który sprzedawał informacje Francuzom. Pozostały mu jednak resztki honoru, a może tylko wstydu. Powiedział mi, że nigdy nie sprzedał informacji, którą uważał za naprawdę ważną. Kiedy jego agent, niejaki Benuat, chciał kupić dokumenty, które mogły sprowadzić realne zagrożenie na Brytyjczyków, odmówił.

- Czy mówisz o dokumentach będących w posiadaniu Johnnynego?

- Tak. Benuat znalazł więc człowieka, przypominającego z wyglądu Johnnynego, by ukraść te papiery i przyniósł je do gospody.

- Anglika?

- Kto to wie? Mógł nawet być Francuzem. To był bardzo sprytny plan. Ten człowiek zdobył papiery, po czym zabrał kapelusz Johnnynego i pelerynę. Poszedł do gospody celowo przebrany za twojego brata.

- Co stało się z Johnnym? Nie mógł popełnić samobójstwa. Nie miał powodu, nic złego nie zrobił.

- Nie. Był może tylko nieco niefrasobliwy w sprawie dokumentów. Gdyby Benuat nie wiedział o ich istnieniu, nie pragnąłby ich zdobyć. Oczywiście Johnny nie był jedynym człowiekiem, który za dużo gadał...

- Co się stało z Johnnym?

- Sądzę, że przyłapał złodzieja na kradzieży dokumentów i został zastrzelony, kiedy próbował ich bronić. Zbrodniarz starał się potem upozorować samobójstwo.

Leksi ukryła twarz w dłoniach.

- Johnny! - jęknęła. - Mój nieszczesny brat!

- Gdybym nie zainscenizował wypadku w fałszywym przekonaniu, że ratuję honor rodziny, Johnny mógłby zostać pośmiertnie udekorowany medalem za odwagę.

Leksi mocno ścisnęła jego dłoń.

- Nic mnie nie obchodzą medale! Johnnynego też nie obchodziły! - zawołała z pasją. - Kierowałeś się szczerą przyjaźnią i tylko to się liczy. Och, Richardzie, jak bardzo się myliłam, traktując cię w tak okropny sposób. Musiałam być szalona. A ty tak łatwo mi wybaczyłeś, dbałeś o mnie, wykazywałeś tyle cierpliwości...

- Kocham cię.

- Richardzie, wracajmy do Channings. Zostawmy to wszystko za sobą. Marzę, żeby rozpocząć nowe życie z tobą, bez sekretów, bez mrocznych cieni przeszłości. Wracajmy do Channings. Jutro!

Richard milczał przez chwilę.

- Muszę jeszcze załatwić parę spraw w Londynie - odparł w końcu. - Możemy wyjechać na początku przyszłego tygodnia. Zgadzasz się? Jeśli pogoda się utrzyma, będziemy podróżować bez pośpiechu.

- Moglibyśmy zatrzymać się w Basingstoke? - zapytała Leksi z niewinną miną. - W tamtejszej gospodzie zawsze mają mnóstwo wolnych pokojów, o ile pamiętam.

- Możemy wynająć apartament. Niezależnie od liczby wolnych pokoi jedną sprawę chciałbym postawić jasno. Będziesz mieszkać ze mną. A skoro już o tym mowa... Nie czujesz się przypadkiem zmęczona? Nie chciałbym ci przeszkadzać w położeniu się do łóżka.

Leksi wstała i wyciągnęła obie ręce, żeby pomóc mu się podnieść. Udała szerokie ziewnięcie.

- Proszę mnie zabrać do łóżka, sir - powiedziała sennie. - Zasypiam na stojąco. Nie wie pan, czy dzisiaj ma służbę nowa pokojówka?

Richard się roześmiał.

- Dziś będziemy się zachowywać przyzwoicie, moja mała trzpiotko. Phillips czeka na mnie, a Cissie zaczęłyby się zastanawiać, w jakim domu przyszło jej służyć, skoro nie przestrzegamy podstawowych konwenansów. Ale później...

Do końca tygodnia we dnie robili to co zwykle - spotykali się z przyjaciółmi, chodzili na koncerty, zaglądali do sklepów, starali się zachować pozory chłodnej uprzejmości we wzajemnych stosunkach w mylnym przekonaniu, że ludzie, którzy ich znali, tacy jak lady Wroxford czy sir Charles, nie zauważą, jak głęboko i szczęśliwie są zakochani. Jednak ich wzajemne uczucie wydawało się niemal dotykalne, nie sposób było go ukryć i przyjaciele nie byli zaskoczeni decyzją powrotu do Channings.

Pogoda im sprzyjała i podróż do Somerset przebiegała tak przyjemnie jak to tylko możliwe o tej porze roku. Atmosfera w powozie różniła się diametralnie od tej, w jakiej niedawno zmierzali w stronę Londynu. Przekomarzali się, śmiali, snuli plany na przyszłość, niektóre całkiem rozsądne, a inne kompletnie absurdalne. Żadna poślubna podróż nie mogłaby przebiegać w tak beztróskim nastroju i w takiej miłości. Nie tyle unikali rozmów o Marku, ile kompletnie o nim zapomnieli. Mieli wiele innych, bez porównania ciekawszych tematów. Zbliżało się Boże Narodzenie i oboje chcieli obchodzić święta zgodnie z tradycją, udekorować dom gałązkami ostrokrzewu, girlandami z bluszczu i zaprosić wszystkich mieszkańców dóbr, którzy mogli poruszać się o własnych siłach na kolację wigilijną w ogromnej kuchni pałacowej. Planowali odwiedzić u starych i chorych z kosztami smakołyków, żeby podzielić się swym szczęściem ze wszystkimi. Channings, które przez wiele lat było ciche i niegościnne, miało się stać domem wygodnym i radosnym.

Najpierw jednak należało rozprawić się z Markiem. W czasie ostatniego tygodnia w Londynie Richard poczynił wszystkie przygotowania i pozostało już tylko wcielić plan w życie. Jak bardzo pilna była to sprawa, okazało się już następnego dnia po ich powrocie.

Richard spędził poranek u kanonika Harmonda, a po powrocie z plebanii przekonał się, że Aleksandra ma gościa. Zatrzymał się, żeby posłuchać jej głosu, który zawsze potrafił przyspieszyć bicie jego serca, szczególnie kiedy Leksi mówiła z podnieceniem, jak w tej chwili. Gdy jednak zbliżył się do błękitnego saloniku, zrozumiał, że Aleksandra nie jest podekscytowana. Jest wściekła. Wyjątkowo wściekła.

- Dostyc już powiedziałaś! - zawołała. - Nie zamierzam dłużej słuchać twoich insynuacji, Marku! Obecnie rozumiemy się z Richardem doskonale i żałuję, że w przeszłości dałam posłuch twoim podszeptom. Jeśli chcesz być nadal moim przyjacielem, musisz zaprzestać robienia uwag o Richardzie, bo one jedynie mnie ranią. Dlaczego to robisz?

Mark wymamrotał coś, z czego Richard zdołał wyłowić tylko jedno zrozumiałe słowo: Johnny.

- Milcz! Nie jestem zdenerwowana, jestem wściekła! Richard nie oskarża już o nic Johnnynego! Zdobył pewność, że mój brat padł ofiarą francuskiego spisku, a jego śmierć nie nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku, lecz była morderstwem.

- Tak twierdzi? Ciekawe. - Mark powiedział to lekkim tonem, jakby od niechcenia, ale Richard zdawał sobie sprawę, jak bardzo interesująca była dla niego ta właśnie informacja. Nie zaskoczyły go następne słowa Marka: - Czy dysponuje dowodami na poparcie tej tezy?
- Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że wie więcej, niż mówi, ale na szczęście mogę całkowicie i bez reszty polegać na jego słowach. Nie rozumiem gry, jaką prowadziłeś, Marku, ale to już koniec. Nie uda ci się więcej podważyć mojego zaufania do męża.
Tę deklarację warto było usłyszeć! Przez chwilę Richard rozkoszował się nią i czuł się jak w niebie. Potem jednak zszedł na ziemię. Aleksandra mimowolnie zdradziła Markowi, że Richard jest bliski odkrycia prawdy. W mgnieniu oka zrozumiał, że jeśli ma chronić żonę, musi rozprawić się z Rawdonem jak najszybciej, przy pierwszej okazji, gdy znajdą się sam na sam. Uśmiechnął się ponuro i otworzył drzwi. Mark Rawdon był nieprzyjemnie zaskoczony jego widokiem.

Rozdział piętnasty

Leksi dostrzegła stojącego w drzwiach Richarda, podeszła i przyjęła jego ramię.
- Wróciłeś! - skonstatowała z zadowoleniem. - Jak widzisz, Mark wpadł z wizytą, ale już wychodzi.
Richard uprzejmie skłonił głowę, a Leksi zaczęła się zastanawiać, czy słyszał jej rozmowę z kuzynem. Miała nadzieję, że nie. Mark zachował się, co prawda, niestosownie, nie zmieniało to jednak faktu, że jest jedynym żyjącym krewnym.
- Do widzenia, Marku - powiedziała, wyciągając do niego rękę. - Cieszę się z naszej pogawędki. Mówiłam poważnie. Przemyśl to.
Richard uśmiechnął się zdawkowo do gościa.
- Mogę później do ciebie wpaść? - zapytał. - Musimy omówić pewną kwestię.
- Oczywiście. Będzie mi bardzo miło. Zostaniesz na obiedzie?
- Nie sądzę.
- A więc o której? Piąta? Szósta?
- Piąta.
- Czekam z niecierpliwością - odparł Mark i zwrócił się do Leksi. - Przykro mi, że cię zdenerwowałem. Nie chciałem. W przyszłości będę uważniejszy, obiecuję.
Richard odprowadził go do wyjścia, a kiedy wrócił, Leksi zapytała bez wstępu:
- Słyszałeś, co mówił, prawda? Miałaś rację w sprawie Marka. Rzeczywiście posunął się do złośliwych pomówień, ale już wie, że mu się nie udało, i chyba nie będzie więcej próbował.
- Z całą pewnością nie będzie.
- Dlatego chcesz się do niego wybrać po południu? - zapytała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Nie bądź dla niego zbyt surowy, Richardzie. Może on tylko zazdrości nam szczęścia.
- Nie masz się czym martwić. Zapomnij o nim. Leksi uśmiechnęła się.
- Dobrze, pomówmy o czym innym. Sierżant Chalmers wygląda znacznie lepiej. Spędziłam dziś z nim trochę czasu i doszłam do wniosku, że stał się innym człowiekiem. Chyba jest tu szczęśliwy. Zdobył przyjaciół.
- Jest również użyteczny, choć szczerze wątpię, czy kiedykolwiek odzyska sprawność na tyle, by dosiąść konia.
- Nie mówi o tym, ale wydaje mi się, że nadał odczuwa silne bóle.

- Poproszę doktora Loudona, żeby jeszcze raz go zbadał, podejrzewam jednak, że nie za wiele da się dla niego zrobić. Chalmers wyraźnie lubi twoje towarzystwo. O czym rozmawialiście?

- O pobycie w wojsku w Hiszpanii i w Portugalii. O przygodach twoich i Johnniego. Sypie jak z rękawa opowieściami o kapitanie Rawdonie. Richardzie, co cię powstrzymuje przed powiedzeniem sierżantowi Chalmersowi, że Johnny nie był człowiekiem, którego widzieliście wówczas w gospodzie? Że nie był zdrajcą? Uszczęśliwiłbyś Chalmersa. Biedak opowiada mi czasem jakąś historyjkę o Johnnym, jest wyraźnie rozbawiony i nagle w środku opowieści milknie i wpada w przygnębienie. Jestem pewna, że przypomina sobie chwilę, kiedy go widział po raz ostatni. Nie możesz powiedzieć mu prawdy? Richard pochylił głowę.

- Powiem. Johnny rzeczywiście był jego faworytem. Podejrzewam, że to właśnie Chalmers wykończył tamtej nocy Benuata, żeby nie mógł mówić. Masz rację, Aleksandro. Wyjaśnię wszystko sierżantowi, jak tylko będę mógł. Zasluguje na to, żeby wiedzieć.

Punkt piąta Richard stanął w progu Rawdon Hall. Kamerdyner zaprowadził go do biblioteki. Mark siedział przy biurku.

- Richard! - Wskazał gościowi krzesło po drugiej stronie, naprzeciw siebie.

Richard zaczekał, aż kamerdyner wyjdzie, i odezwał się chłodnym tonem:

- Wolałbym, żebyś zwracał się do mnie: Deverell. Nie poczuwam się do żadnego pokrewieństwa z tobą, Rawdon.

Mark wyglądał na dotkniętego.

- Jesteśmy rodziną, mój drogi. Leksi jest moją kuzynką.

- Od dziś to pokrewieństwo traci znaczenie dla nas wszystkich, a szczególnie dla Aleksandry.

- Domyślam się, że podsłuchałeś naszą dzisiejszą rozmowę - odrzekł Mark po chwili milczenia. - Nie sądzisz, że kara jest niewspółmierna do przewinienia? Nie chciałem wyrządzić wam poważniejszej szkody. Nie bądź taki małostkowy, Deverell.

- Nie ma nic małostkowego w sprawie, którą chcę dziś z tobą omówić. Już nigdy więcej nie zobaczysz lady Deverell.

Mark odchylił się w fotelu.

- Nie mówisz tego poważnie. Ona mnie lubi, bardzo lubi. Właściwie gdyby nie problemy finansowe, sam mógłbym się z nią ożenić. Nie jestem pewien, czy cię posłucha, kiedy zabronisz jej się ze mną widywać.

- Ty mnie posłuchasz.

- Tak? A to dlaczego?

Richard wyjął z kieszeni sakiewkę i położył ją na środku biurku.

- Dlatego.

Z satysfakcją zauważył, że Mark natychmiast rozpoznał sakiewkę. Szybko jednak się opanował i rzekł z udawaną swobodą:

- A co to ma, do licha, wspólne ze mną? To nie moje.

- Pani Pelham znalazła ją w twoim pokoju, kiedy wyjechałeś z Northampton, i prosiła, bym ci ją oddał.

- Rozmawiałeś z Pelly, tak? - Mark przyjrzał się uważnie Richardowi. - Węszyłeś w Northampton? Ciekawe dlaczego. Mam nadzieję, że nie brałeś poważnie tego, co Pelly wygaduje, wszystko się jej miesza.

- Na mnie pani Pelham zrobiła wrażenie całkowicie przytomnej. Ma doskonałą pamięć do dat. Na przykład osiemnasty maja. Tego dnia wypadają jej urodziny, nie było cię w Northampton. Przebywałeś w Londynie, u pani Judkin na Brownlow Street. - Richard zamilkł, po czym dodał

wolno i z naciskiem: - Właśnie tamtej nocy wszedłeś w posiadanie tej sakiewki, Rawdon. W czwartek, osiemnastego maja. Widziałem to. Benuat wręczył ci ją w gospodzie „Pod Kogutem”. Mark stracił nieco pewności siebie.

- Nie sądzę, żebyś zdołał to udowodnić - odrzekł. Richard rozparł się wygodnie w fotelu i oświadczył spokojnie:

- Jestem tego pewny. Pojechałeś do Londynu z zamiarem zabicia Johnnynego Rawdona i zrobiłeś to. Po zabójstwie znalazłeś ważne dokumenty, które miał pod opieką, i próbowałeś je sprzedać Francuzom. Ciekaw jestem, w jaki sposób tamten agent się z tobą skontaktował, ale pewnie mi nie powiesz. Wziąłeś od Benuata pieniądze, które były w tej właśnie sakiewce i uciekłeś. A ja ci na to pozwoliłem, niech Bóg mi wybaczy. Dopuszczałem do twojej ucieczki, bo - podobnie jak wszyscy - sądziłem, że jesteś Johnnym Rawdonem.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Wziąłeś pieniądze, bo były ci potrzebne. Johnnynego zabiłeś, żeby odziedziczyć tytuł i dobra Rawdonów.

- To nonsens. Nie miałem pojęcia o tym cholernym tytule!

- Zapomniałeś już o drzewie genealogicznym? Nie przypominasz sobie, że opowiadałeś pani Pelham, jak pewnego dnia zostaniesz bogaty i potężny?

- Stara wiedźma! Zawsze mnie nienawidziła.

- Dlatego zostawiłeś ją bez środków do życia?

Mark nie zareagował, zajęty rozważaniem tego, co usłyszał od Richarda. W końcu uśmiechnął się do Deverella szyderczo i rzekł pogardliwie:

- Babskie gadanie. Gdyby nawet założyć, że to prawda, co mógłbyś zrobić?

- Mam dość dowodów, by uzyskać dwa wyroki skazujące cię na szubienicę, gdybym ujawnił je władzom. - Richard spojrział na rękę Rawdona, przesuając się powoli ku szufladzie biurka, i kontynuował: - Na wypadek, gdyby przyszła ci ochota zamordowania również i mnie, pragnę zaznaczyć, że zdeponowałem u londyńskich prawników komplet dokumentów i szczegółową relację. Będą tam spoczywały w zabezpieczonej kopercie do czasu spełnienia przez ciebie określonych warunków, natomiast w wypadku mojej śmierci mają zostać bezzwłocznie doręczone odpowiednim ludziom.

- Doprawdy? Świetne posunięcie - zauważył ironicznie Mark, lecz nie był już tak pewny siebie. - Wiesz, chyba mógłbym cię polubić. Pomyślałeś o wszystkim.

- Ja nie mógłbym cię polubić w żadnym wypadku, Rawdon.

- Co teraz? Powiesz Leksi? Nie jestem pewien, jak przyjęłaby informację, że jej ukochany kuzyn, ostatni z Rawdonów, jest mordercą jej brata... Pomyśl też o skandalu, jaki wywołałby publiczny proces. Nie odbiłoby się to najlepiej na dobrym imieniu wspaniałego rodu Rawdonów.

- Nie zamierzam mówić nikomu, chyba że zostanę do tego zmuszony.

Mark przyjrzał mu się z namysłem.

- Wszystko jasne! - oznajmił. - Co za ulga! Przez chwilę sądziłem, że wszyscy razem pójdziemy na dno... Dobrze. Jesteś porządnym chłopem, Deverell. Będę się trzymał z dala od Leksi, zgodnie z twoją wolą. Nie wiem, jak jej to wytłumaczysz, ale chyba nie powinieneś mieć specjalnych trudności. Zawsze uważałem, że jest wyjątkowo łatwowierna.

Lekka nutka pogardy w jego głosie rozgniewała Richarda, który wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Tylko dlatego udało ci się ją oszukać, że należałeś do rodziny. Drugi raz nie popełni tego błędu.

- Dlaczego? Chcesz ją przede mną ostrzec? Powiesz jej, że jestem złym chłopcem, nie wdając się w szczegóły? - Mark się uśmiechnął. - Sytuacja odznacza się pewną dozą pikanterii, nie sądzisz?

Nie obawiasz się, że pewnego dnia Leksi dowie się, iż morderca jej brata żyje sobie spokojnie

tuż obok, w jej rodzinnym domu, w którym bawiła się wraz z Johnnym w dzieciństwie? Jak sobie z tym poradzisz?

- Nie dojdzie do tego, ponieważ nie będziesz mieszkał w jej domu rodzinnym. Ani nawet w okolicy.

- Co to znaczy? Rawdon należy do mnie!

- Chyba nie przypuszczałeś, że zniósłbym w najbliższym sąsiedztwie takiego nikczemnika? Że mógłbym tolerować jego obecność w Rawdon choćby chwilę dłużej niż to konieczne? Musiałbyś być szalony.

W głosie Richarda było tyle pogardy, że Mark stracił dotychczasowe opanowanie. Mimo to stwierdził butnie:

- Co mógłbyś mi zrobić? Przecież nie chcesz denerwować Leksi. Nie znajdziesz sposobu, żeby mnie stąd wykurzyć.

- Już to zrobiłem - oznajmił Richard. - Zarezerwowałem na twoje nazwisko miejsce na parowcu pocztowym, odpływającym za dziesięć dni z Falmouth do Indii Zachodnich. Będziesz miał dość czasu, żeby zapakować trochę rzeczy i zamknąć wszystkie sprawy, zanim na zawsze opuścisz Rawdon i Anglię. Więcej się nie zobaczymy.

Mark patrzył na niego w osłupieniu.

- Dlaczego myślisz, że będę tańczył, jak mi zagrasz? Richard wstał. Aż do tej chwili Mark dawał się zwieść jego spokojnemu zachowaniu i przypuszczał, że ma do czynienia z nieco flegmatycznym dżentelmenem z prowincji, który marzy tylko o spokojnym życiu na wsi u boku żony. Pycha i samozadowolenie nie pozwoliły mu dostrzec siły Richarda. Zapomniał o latach służby wojskowej w Hiszpanii, gdzie lord Deverell dał się poznać jako odważny i waleczny żołnierz. Mark zrozumiał, że stoi twarzą w twarz z wrogiem, który nie zawaha się go zniszczyć, jeśli uzna to za konieczne.

- Jeżeli nie znajdziesz się na pokładzie tego statku - oświadczył Richard - moi prawnicy prześlą dowody wymiarowi sprawiedliwości. Zostaniesz powieszony.

Marka ogarnęło przerażenie, choć próbował nie dać nic po sobie poznać. Postanowił więc zagrać ostatnią kartą, jaka mu pozostała w ręku - uderzyć w słaby punkt przeciwnika.

- A co z Leksi? - zapytał.

Richard uśmiechnął się pogardliwie.

- Nie zaryzykujesz głową, Rawdon - powiedział. - Wyjedziesz.

- Podejrzewam, że plantacja w Indiach Zachodnich może się okazać lepsza niż ta zapomniana przez Boga dziura. Co mi dasz za Rawdon?

- Niewielką rentę, która będzie wpływała raz na kwartał na konto w banku w Kingston.

Wystarczy, żeby utrzymać się przy życiu, ale na nic więcej.

- Nie mówisz poważnie! Rawdon jest warte co najmniej plantacji!

- Większa część Rawdon i tak nie należy do ciebie. Zatrzymasz jedynie ziemie majoratu, z których, jak już powiedziałem, będę ci przysyłał niewielką rentę. Reszta wróci do Aleksandry.

- Zaraz, chwilę...

- Wybór należy do ciebie.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, Mark pierwszy umknął spojrzeniem w bok.

- Chyba muszę przyjąć twój dyktat.

- Gdyby przemknęła ci przez myśl możliwość ucieczki bądź wywiezienia ze sobą większej niż niezbędna części wyposażenia dworu, proponuję, żebyś o tym zapomniał. Sir Jeremy i jego dzieci byli w tej okolicy doskonale znani i powszechnie lubiani. Wystarczy szepnąć słówko, a będę miał rzesze informatorów, którzy doniosą mi o każdym twoim ruchu. A gdybyś zdołał

jednak zniknąć w jakimkolwiek miejscu poza Indiami Zachodnimi albo gdybyś niepokoił Aleksandrę, przysięgam, że dopadnę cię, gdziekolwiek będziesz, postawię przed sądem i dopilnuję, żebyś został powieszony.

Mark został pokonany. Potulnie kiwnął głową.

- Rozumiem. Możesz sobie darować te dramatyczne efekty. To wszystko? Bo jeśli tak...

Richard odwrócił się do wyjścia. Zatrzymał się jednak przy drzwiach i rzekł stanowczo:

- Pamiętaj! Trzymaj się z dala od Aleksandry!

W drodze powrotnej do Channings Richard zastanawiał się, czy postąpił słusznie, pozwalając zabójcy Johnnynego ujść sprawiedliwości i ograniczyć jego karę jedynie do banicji. Jednak, na co Rawdon zwrócił uwagę, alternatywą byłby głośny proces i skandal, który mógłby okazać się bardzo ciężkim przeżyciem dla Aleksandry. Może nawet zbyt ciężkim. Co by na tym zyskał? Jeśli chodzi o Johnnynego, to został pochowany z honorami na przykościelnym cmentarzu w Rawdon, a jego imię pozostało bez skazy. Postawienie mordercy w stan oskarżenia w niczym by Johnny'emu nie pomogło, a dowody, wbrew temu, co Richard powiedział Markowi, nie były niepodważalne. Poza tym proces musiałby ujawnić sprawę dokumentów i szpiegostwa, co zakończyłoby się skandalem. I po co? Żeby ukarać Marka Rawdona, co zresztą nie było wcale takie pewne?

Nie, wybrał najlepsze rozwiązanie. Teraz mogli z Aleksandrą żyć w spokoju. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób wyperswadować jej odwiedzinę u Marka...

Tydzień później Richard i Leksi wybrali się konno do wsi i już szykowali się do powrotu, gdy Richard został zatrzymany. Wiał lodowaty wiatr i Leksi postanowiła nie czekać na męża, lecz wrócić do domu pod opieką Osborne'a. Usłyszała w wiosce wiadomość, która ją bardzo zaniepokoiła, i chciała porozmawiać z mężem, ale uznała, że lepiej odłożyć to na później, kiedy usiądą we własnym domu przy kominku.

Gdy wrócili do Channings, Osborne poprosił ją o krótką rozmowę. Był bardzo poważny. Leksi zaprowadziła go do biblioteki i wskazała fotel.

- Dziękuję, panno Leksi, ale wolę postać - odparł, po czym zamilkł na tak długo, że Leksi zapytała wreszcie, co się z nim dzieje. - Sam nie wiem, co mam zrobić, żeby było jak najlepiej. - Powiedz mi.

- Widzi panienska, starszy pan, czyli sir Jeremy, prosił, żebym nikomu o tym nie mówił.

Doszedłem jednak do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł.

- Cóż, ojciec ci tego już nie powie, Will, ale mnie możesz zaufać. Widzę, że to cię dręczy.

Leksi czekała cierpliwie, aż Osborne spokojnie rozważy jej słowa. W końcu zdecydował się mówić.

- W dawnych czasach, w Rawdon, wypełniałem dla sir Jeremyego szereg zleceń, szczególnie gdy nie chciał, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Zwykle jeździłem do Dorchester czy Sherborne, ale latem dwukrotnie wysyłał mnie do Londynu. Za każdym razem dawał mi paczkę, którą miałem doręczyć pod określonym adresem, i przykazywał mi z naciskiem, żebym nikomu o tym nie mówił. Nie musiał się o to martwić. Nigdy nie wspominałem o sprawach swego pana.

- Co było w tych paczkach?

- Nie wiem, panno Leksi, lecz były dość ciężkie jak na swoją wielkość.

- Rozumiem... - Leksi zmarszczyła czoło. - Mówisz, że to się działo latem. Dlaczego teraz, się tym gryziesz?

- Całkiem niedawno jego lordowska mość udał się pod ten sam adres.

- Masz na myśli lorda Deverella? Mojego męża?

- Tak, panienko. Do tego samego domu.

- Gdzie to jest?
 - Na Brownlow Street, panienko Leksi. W pobliżu Seven Dials.
 - A nie wiesz, co jego lordowska mość tam robił?
 - Zabrał mnie ze sobą, żebym mu pokazał drogę.
 - Pamiętam, to było zaraz po jego powrocie z wyjazdu. Dlaczego nie powiedziałeś o tym od razu?
 - Obiecałem panu, poprzedniemu panu, że nikomu nie powiem.
 - I od tamtego czasu cię to dręczy?
 - Tak, panienko.
 - Sądzę, że powinienes powtórzyć lordowi Deverellowi to, co mnie powiedziałeś. To może być ważne.
 - Dobrze, zrobię, jak pani każe, panno Leksi.
- Po odejściu Osborne'a Leksi zastanawiała się nad jego słowami. Wyglądało na to, że ojciec płacił szantażyście za pośrednictwem Willa. Ale co Richard robił w tamtym domu? Od czasu powrotu do Channings była tak szczęśliwa, że bała się go o to zapytać. Spierali się jedynie o Marka, ponieważ Richard z niezrozumiałym uporem prosił, żeby na razie zrezygnowała z odwiedzin w Rawdon. Poddała się i ustąpiła, ale dopiero po kłótni. Leksi uśmiechnęła się na wspomnienie, jak się ta ich kłótnia zakończyła. Choć wówczas jego pocałunki ją przekonały, teraz nie była już taka pewna, czy miał rację. Spór pomiędzy Richardem a Markiem, jeśli w ogóle do niego doszło, na pewno łatwiej będzie rozwiązać, jeśli obaj panowie się spotkają. Gdyby to, co usłyszała we wsi, okazało się prawdą, nie pozostało już zbyt wiele czasu.
- Chodzą słuchy, że Mark zamierza wyjechać - powiedziała, gdy tylko Richard wrócił do domu. - Wiesz coś o tym?
 - Słyszałem coś w tym rodzaju - odparł ostrożnie.
- Z tonu jego głosu wywnioskowała, że wie o wszystkim.
- Nie przyszło ci do głowy, żeby mnie poinformować? - zapytała. - Dlaczego? Muszę natychmiast zobaczyć się z Markiem, to chyba oczywiste nawet dla ciebie.
 - Proszę, Aleksandro. Mark ma powody, żeby się trzymać z dala od ciebie. Pozwól mu robić to, co uważa za stosowne.
- Leksi zmarszczyła czoło.
- Co się tu dzieje, Richardzie? Zgodziłam się przez pewien czas nie odwiedzać Rawdon, bo uznałam, że bez mojej ingerencji tobie i Markowi łatwiej będzie wyjaśnić nieporozumienia. Coś jednak przede mną ukrywasz, prawda? Pewnie ta kłótnia była poważniejsza, niż mówiłeś. Dlaczego nie powiesz mi prawdy? Nie lubię tajemnic. Jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałeś. Co robiłeś na Brownlow Street? Dowiedziałeś się czegoś o tym nikczemniku, który szantażował tatę?
 - Na Brownlow Street?
 - Nie próbuj mnie zbywać! Wiem, że tam byłeś. Osborne powiedział, że poszliście tam razem.
 - Naprawdę? - Richard był rozgniewany. - Muszę zamienić z nim słówko...
 - Nie złość się na niego. Martwił się, i, moim zdaniem, słusznie. Powiedz, dlaczego tam się wybrałeś?
- Richard milczał przez chwilę.
- Charles Stainforth dał mi adres - wyjaśnił. - Podobno tam właśnie mieszkał francuski agent.
 - Francuski agent? Nie rozumiem... Chyba że... Musisz otwarcie porozmawiać z Osborne'em. Nie przyznał ci się, ale był tam już na polecenie papy. Za każdym razem zostawiał paczkę.
 - Co?!

- Może się myłę, ale wydaje mi się, że odnalazłeś szantażystę. Tego Francuza, o którym mówiłeś.

- Na Boga, gdybym o tym wiedział... - Richard stał jak skamieniały. - To diabeł! - warknął. - Podstępny diabeł! -Patrzył na Leksi, jakby zapomniał o jej obecności. - Muszę się zobaczyć z Osborne'em. Gdzie on jest?

- Wybierał się na Hansford Farm, żeby złapać konia. Powinien wrócić za godzinę.

- Nie mogę tak długo czekać! Jadę go szukać.

- A co z Markiem?

- Zaczekaj tutaj. Porozmawiamy o nim, kiedy wrócę.

Leksi szybko zaczęła się nudzić, nie mogła znaleźć sobie zajęcia. Nadal miała na sobie strój do konnej jazdy, postanowiła więc jeszcze raz się przejechać. Wiatr osłabł i zza chmur wyjrzało słońce. Blade, zimowe słońce w zadziwiający sposób odmieniło krajobraz. Richard kazał jej czekać na siebie w domu, uznała jednak, że narazi się na jego gniew i wybierze się do Rawdon, żeby zobaczyć się z kuzynem. Jeżeli Mark rzeczywiście zamierza wyjechać, musi jak najszybciej dowiedzieć się dlaczego.

Podjąwszy decyzję, nie marnowała czasu. Zostawiła Kirbyemu wiadomość dla Richarda i wyruszyła do Rawdon Hall.

Z ulgą przyjęła wiadomość, że zastała kuzyna w domu. Kiedy służący wprowadził ją do biblioteki, Mark siedział przy kominku, a na stoliku w zasięgu jego ręki stała karafka z winem i kieliszek. Na ten widok uśmiech zamarł na ustach Leksi. Zupełnie jakby miała przed sobą Johnnynego. I on, i ojciec zawsze siadali w tych samych fotelach, obok których stały te same stoliki. Po obu stronach kominka. Włosy ojca były siwe, ale niegdyś miały ten sam kolor co włosy syna.

- Leksi! - wykrzyknął Mark i zerwał się na równe nogi. - Po co przyjechałaś? Czy Richard o tym wie?

- Jeszcze nie. Wyjechał z domu. Zostawiłam mu wiadomość.

- Musisz wracać. Natychmiast.

- Wcale nie muszę - oświadczyła i weszła w głąb pokoju. - Nie odsyłaj mnie stąd, Marku. To był mój dom. - Uśmiechnęła się do niego z wahaniem. - Słyszałam, że zamierzasz opuścić Rawdon. To prawda?

- Niestety, tak.

-Dlaczego? "

- Pewne niecierpiące zwłoki sprawy wzywają mnie gdzie indziej.

- A dlaczego muszę dowiadywać się o tym na wsi? Dlaczego nie przyjechałeś, żeby mnie o tym zawiadomić?

- Podczas ostatniego spotkania Richard dał mi dość jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie mieć więcej ze mną do czynienia.

- Cóż, trudno go za to winić. Nie byłeś w stosunku do niego zbyt miły, a on to słyszał. Ale to jeszcze nie powód, żeby wyjeżdżać. Nie dopuszczam nawet myśli, że mogłabym cię więcej nie zobaczyć. Jesteś moim jedynym krewnym. Papa cię pokochał i byłeś dla mnie taki dobry po jego śmierci, chociaż... - Urwała i zaczęła jeszcze raz. - Przyjechałam, żeby sprawdzić, czy nie mogłabym załagodzić nieporozumień pomiędzy tobą a Richardem. Może udałoby mi się namówić cię, żebyś jednak został.

Mark opróżnił kieliszek, nalał drugi i wypił do dna, po czym powiedział z czarującym uśmiechem:

- Moja droga Leksi, nie masz pojęcia, o czym mówisz. Wyjeżdżam, bo Richard mi kazał. Richard i ja nie możemy na siebie patrzeć. A po tym, co mi ostatnio powiedział tutaj, w tej bibliotece, nie zamierzam - jak to naiwnie ujęłaś - „załagodzić nieporozumień” pomiędzy nami. Leksi patrzyła na kuzyna, zupełnie zaskoczona nieprzyjemnym tonem jego głosu. Mark napił się znowu. Jego uśmiech już nie był czarujący. Pojawił się w nim odcień szyderstwa, pogardy.

- Naprawdę jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz? - zapytał.

- Marku, dlaczego mówisz w taki sposób? Co się stało? - Leksi była zaszokowana.

- Kompletnie nic nie rozumiesz, prawda? Powiedziałem, że jesteś łatwowierna, i miałem rację. Twój brat był taki sam. Jesteście godnymi politowania głupcami, Rawdonowie z Somerset!

- Marku! - zawołała Leksi z niedowierzaniem. - Bardzo cię proszę! Wiem, że jesteś zły, ale nie mów takich rzeczy...

- Czyżbym widział w twoich oczach łzy? Nie lubisz, jak się tak do ciebie mówi, co, Leksi? Oczywiście, że nie lubisz. Należysz do tej lepszej gałęzi rodu Rawdonów, do wyrafinowanych, bogatych Rawdonów. - Zachichotał. - Ostatnio nie byliście już tak bogaci. Zadbalem o to.

- Co to znaczy? - zapytała. - O czym ty mówisz? Mark zdawał się jej nie słyszeć.

- Naprawdę wierzyłaś, że przepadam za którymkolwiek z was? - ciągnął. - Dlaczego miałbym was lubić? Nic dla mnie nie znaczyliście, Uczyło się tylko to, co mogłem od was wyciągnąć. Nie lubiłem was, chciałem, żebyście cierpieli. Z radością obserwowałem, jak wiała się niczym robak w przekonaniu, że twój ukochany Richard jest nikczemnikiem. Nigdy się nie zastanawiałaś nad tym, w jaki sposób wpadła ci do rąk kartka z dziennika ojca? Znalazłem ją w biurku i wsunąłem do dziennika, żebyś jej nie przegapiła. I udało się! Jeszcze jak się udało! Szkoda tylko, że nie zastrzeliłaś Deverella. Co za rozczarowanie! Chciałem, żebyś go zabiła. Byłbym uszczęśliwiony.

- Byłbyś uszczęśliwiony? - Leksi wzięła się w garść. Przypomniała sobie straszliwe, pełne udręki dni poprzedzające jej ślub, jak niewiele brakowało, by zastrzeliła Pcharda, i wezbrał w niej gniew. Kreatura, jaką miała przed sobą, już nie była jej kuzynem, ale kimś obcym i wrogim.

Zapytała:

- Kiedy spotkałeś Johnnynego?

- A powiedziałem, że go spotkałem? Wymknęło mi się. No, no. - Mark pokręcił głową. - Co za niedopatrzienie!

- Po przyjeździe do Rawdon twierdziłaś, że nic o nas dotychczas nie wiedziałaś. - Leksi szła za ciosem. - To było już po śmierci Johnnynego. Nie mogłaś go u nas spotkać. Chyba że...

- Że co?

- Że spotkałaś go w Londynie - odparła i pobladła. - Oczywiście! Jaka byłam ślepa. Dlaczego dotychczas nie zauważyłam podobieństwa? To ty byłeś tamtej nocy w gospodzie! I ty zabiłeś mojego brata!

Mark machnął niedbale ręką.

- Tak, to prawda, lecz nie masz się czego obawiać, Leksi. Obędzie się bez skandalu. Richard... przepraszam, zapomniałem. ... lord Deverell już o to zadbał. Nazwisko Rawdon nie zostanie splamione.

- Nic mnie nie obchodzi nazwisko Rawdon. Zabiłeś mojego brata!

- Straszne, prawda? A on tak się ucieszył na mój widok. Dawno utracony krewny przyszedł złożyć mu wizytę. Zaproponował mi nawet szklaneczkę brandy. Jak już powiedziałem

- naiwniak!

- Jesteś... potworem. Mark podszedł do biurka.

- Niezbyt to grzeczne z twojej strony. Nie będziesz musiała zbyt długo na mnie patrzeć, wkrótce wyjeżdżam.

- Dokąd? Do piekła? To jedyne odpowiednie dla ciebie miejsce, Marku.

- Chyba nie. Twój mąż załatwił mi ten wyjazd. Już nigdy mnie nie zobaczysz. A teraz żądam, żebyś wyszła. Natychmiast. Jeśli Deverell cię tu znajdzie, może zrobić coś, czego wszyscy pożałujemy. - Mark wyjął z szuflady pistolet. - Naprawdę nie chcę tego użyć, Leksi. Ryzyko wypadki jest zbyt duże. Zrobię to jednak, jeżeli nie wyjdiesz, i to zaraz.

- Możesz tego użyć - oświadczyła martwym głosem. - Nie dopuszczę, żebyś spokojnie wyjechał i uniknął kary. Byłam przecież gotowa zastrzelić człowieka, którego kocham, bo uwierzyłam, że zabił mojego brata. Teraz, gdy wiem, że to byłeś ty, nie spocznę, dopóki cię nie zniszczę.

- Nie możesz mi nic zrobić, droga kuzynko. Chyba nawet ty potrafisz zrozumieć, że to ja trzymam broń.

- Jeśli mnie zastrzelisz, zostaniesz powieszony. Tym razem nie zdołasz się wywinąć, udając, że jesteś kim innym. Zabrałam ze sobą Colesa. Czeka przed domem. Cała twoja służba wie, że tu jestem.

- O, rany! Wpadłem po uszy, co? - szydził Mark. - Nie mam nic do stracenia. Wiesz, Leksi, wydaje mi się, że powinnaś jednak zmienić zdanie. Albo zgodzisz się na plan Deverella, albo... - Uniósł pistolet.

Kiedy Richard usłyszał to, co Osborne miał do powiedzenia, wpadł w furię. Jaką trzeba być podłą kreaturą, żeby zabiwszy komuś jedyne dziecko, wyciągać jeszcze od niego pieniądze, grożąc okrzyknięciem zmarłego zdrajcą? Taki potwór nie ma prawa żyć! Jednego Richard był pewien. Jego plany w stosunku do Marka Rawdona przestały być aktualne. Aleksandra sprzeciwiałaby się jakimkolwiek układom z takim człowiekiem i żaden skandal nie mógł być gorszy od świadomości, że taka kanalia chodzi po powierzchni ziemi. Mark Rawdon zostanie oddany w ręce wymiaru sprawiedliwości i przypuszczalnie powieszony.

Kiedy wjechali z Osborne'em na dziedziniec przed stajniami w Channings, Chalmers siedział na stołku i reperował uprzęż.

- Dobry wieczór, kapitanie - zawołał wesolo.

Richard kiwnął głową. Kilka dni temu powiedział sierżantowi prawdę o Johnnym, zataił tylko nazwisko człowieka z gospody.

- Pan Kirby szuka pana, sir. Ma dla pana wiadomość od milady.

- Dziękuję. - Richard zostawił konia Osbornowi i wszedł do domu. Po usłyszeniu tego, co Kirby miał mu do powiedzenia, błyskawicznie wrócił do stajni.

- Zaprzęgaj natychmiast świeże konie - rzucił Osbornowi. - Muszę jechać do Rawdon.

Natychmiast!

- Kłopoty, kapitanie? - zapytał Chalmers.

- Można tak to nazwać. Muszę zabrać stamtąd lady Deverell. Coś mi mówi, że może znajdować się w niebezpieczeństwie.

- W Rawdon nie może jej spotkać nic złego, sir - uspokajał Osborne. - To jej rodzinny dom.

- Mylisz się, Willu - stwierdził Richard, który z niepokoju o Aleksandrę zapomniał o dyskrecji. - Lady Deverell składa właśnie wizytę mordercy swego brata.

- Sir Mark?! - Osborne znieruchomiał i wpatrywał się w Richarda.

- Tak, człowieku! Pospiesz się, na Boga! Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia. Mark Rawdon zamordował panicza Johnniego, a potem szantażował jego ojca. Czy nadal uważasz, że lady Deverell jest bezpieczna?

Popędzili konie. Chalmers odprowadził ich wzrokiem.

Dotarli do Rawdon Hałł o zachodzie słońca. Służący, który otworzył im drzwi, powiedział, że pan i lady Deverell są w bibliotece.

- Zaczekaj tu na mnie - zwrócił się Richard do Osborna.

- Jeśli pan pozwoli, chciałbym obejść dom od tyłu - poprosił Osborne zniżonym głosem. - Nie uspokoję się, dopóki panna Leksi nie będzie bezpieczna, a panu może przydać się pomoc. Wejść od tyłu, służba korzysta z innych drzwi niż panowie.

- Może niepotrzebnie się martwimy, Osborne - powiedział Richard. - Niewykluczone, że panna Leksi gawędzi spokojnie z sir Markiem. Ona nie wie tego co my, nadal uważa go za przyjaciela.

- Lepszy nadmiar ostrożności, milordzie, niż żal poniewczasie.

- Może masz rację. - Richard uśmiechnął się do niego przelotnie. - Dobrze. Powodzenia!

Osborne zniknął w ciemnościach.

Richard wszedł do biblioteki. Aleksandra stała na środku pokoju zwrócona twarzą do kuzyna, który trzymał w ręku pistolet.

- O, rany! Wpadłem po uszy, co? - szydził Mark. - Nie mam nic do stracenia. Wiesz, Leksi, wydaje mi się, że powinnaś jednak zmienić zdanie. Albo zgodzisz się na plan Deverella, albo... - Rawdon urwał. Zmienionym głosem dodał, nie odrywając spojrzenia od Leksi: - Ani kroku dalej, Deverell! Ostrzegam. Jeśli się zbliżysz, zastrzelę twoją żonę. Nie spudłuję. - Zamilkł na chwilę i na jego twarzy pojawił się podły uśmiešek. - A niech mnie. Jak historia lubi się powtarzać.

- Rawdon - zawołał Richard - nie bądź głupi! Zabójstwo Aleksandry w niczym ci nie pomoże.

- Nie, ale może być przyjemnie.

- Zastrzelenie mnie sprawiłoby ci większą przyjemność.

- Nie! - krzyknęła Leksi.

- Prawdę mówiąc - wycodził Mark, nie odrywając wzroku od Aleksandry - najchętniej pozbyłbym się was obojga, ale, jak już stwierdziłeś, nic by mi to nie dało. Poza tym, o ile się nie mylę, znalazłeś dla mnie lepsze wyjście.

- Nie, to już nieaktualne, odkąd dowiedziałem się, że w dodatku szantażem doprowadziłeś sir Jeremiego do ruiny. Tym się pograżylesz, Rawdon.

- A więc już wiesz?

Richard zmierzył Marka wzrokiem. Zauważył, że był lekko zamroczony winem. Jeśli będzie bez przerwy mówił, może przestanie się pilnować. Nieznacznie zbliżył się w jego stronę, odzywając się pogardliwie:

- Nie sądzisz, że twoje postępowanie było nieco krótkowzroczne? Przecież doprowadziłeś do ruiny własne dziedzictwo.

- Zależało mi na gotówce. Bałem się, że dostanę tylko część majątku, objętą prawem majoratu, a reszta trafi w ręce mojej uroczej kuzyneczki. Miałem rację, prawda? Brałem więc, ile się dało, dopóki się dało. Skąd mogłem wiedzieć, że ten stary głupiec utopił wszystkie fundusze w ziemi. Nie zamierzałem zmuszać go do sprzedaży części terenów, żeby mnie spłacić. Myślałem, że śpi na pieniądzech. W życiu nie przeżyłem takiego rozczarowania. Nawet z tym, co od niego wyciągnąłem, mam za mało pieniędzy, żeby żyć na takiej stopie, jaką sobie wymarzyłem. Mówię ci, Deverell, gdybym wtedy wiedział tyle co dzisiaj, nie zadawałbym sobie trudu, żeby odziedziczyć tę kulę u nogi.

Leksi mimowolnie wyrwał się okrzyk oburzenia.

- Milcz! Nie mogę znieść, kiedy tak mówisz!

- Nie możesz? - zapytał Mark chłodno. - To nie słuchaj i nie przerywaj. Powiem ci, Deverell... Sytuacja zmieniła się radykalnie dziś po południu. Oczekuję lepszej propozycji finansowej, a

zniknę i zostawię was w spokoju. W przeciwnym razie wszyscy pójdziemy do piekła. Twoja żona pierwsza.

Richard myślał gorączkowo. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim Osborne zdoła dotrzeć do kuchennych drzwi. Na razie trzeba koniecznie zająć Rawdona rozmową.

- Najpierw chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób udało ci się tego wszystkiego dokonać, Rawdon. Uznałeś moją żonę za łatwowierną, ale przecież nie wszyscy są tacy prostoduszni. A jednak zdołałeś oszukać wszystkich, także Benuata, który do głupców nie należał.

- To było dziecinnie proste - oświadczył pogardliwie Mark. - Można powiedzieć, że sami się oszukali.

- Jak znalazłeś Benuata?

- To on mnie znalazł. Pierwszego wieczoru po przyjeździe do Londynu poszedłem do gospody „Pod Kogutem”. To niedaleko Brownlow Street, a ja potrzebowałem towarzystwa. - Mark zaczął się śmiać. - Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wielki Johnny Rawdon w takiej mordowni. Nawiązaliśmy rozmowę. Nie zdradziłem mu, kim jestem, pozwoliłem mu gadać i słuchałem. Mówił o dokumentach i wymienił sumę, od której zakręciło mi się w głowie. Wystarczyłaby na pokrycie wszystkich moich londyńskich wydatków i jeszcze zostałyby mi trochę grosza na później. Do czasu zgłoszenia się tutaj po moje dziedzictwo.

- Co mu powiedziałaś?

- Obiecałem, że zdobędę dla niego dokumenty, i umówiliśmy się w tej samej gospodzie następnego wieczoru. Chciałem pieniędzy, ale nie miałem pewności, czy mi się uda. Skąd mogłem wiedzieć, że mój głupi kuzyn będzie je trzymał na wierzchu? Nic tylko brać.

- Idąc na spotkanie z Johnnym, wiedziałeś już o dokumentach?

Rawdon kiwnął głową.

- To było takie łatwe. Gdziekolwiek się ruszyłem, ludzie wręcz wychodzili ze skóry, żeby mi pomóc. Kiedy przyszedłem na kwatery kuzyna, ten poczciwina powitał mnie z otwartymi ramionami. Zobaczyłem dokumenty na stole. Najpierw się napiliśmy, potem pozbyłem się kuzyna, włożyłem jego pelerynę i paskudny kapelusz, jaki tam znalazłem, i poszedłem odebrać pieniądze... Wszystko szło jak po maśle, dopóki ty się nie pojawiłeś, żeby nam przeszkodzić. Ale nawet ty pozwoliłeś mi uciec.

- Wróciłeś na kwatery Johnnyego.

- Nie miałem najmniejszej ochoty. Okropnie się namęczyłem, żeby po zastrzeleniu go upozorować samobójstwo, ale musiałem pozbyć się peleryny i kapelusza. - Znowu wybuchnął śmiechem. - O mało mnie tam nie nakryłeś. Tak to było. Co teraz? Jaką mi przedstawisz ofertę? Drzwi za plecami Rawdona drgnęły. Richard powiedział pospiesznie podniesionym głosem:

- Możesz dostawać dożywotnią rentę. Tysiąc funtów rocznie.

- Za mało.

Drzwi uchylily się szerzej.

- To lepsza propozycja niż ta, którą mógłbyś otrzymać od kata - oświadczył Richard, wpatrując się w oczy Marka, jakby chciał przytrzymać jego wzrok na uwięzi.

Twarz Rawdona pociemniała.

- Nie zostanę powieszony. Żądam więcej niż marne dziesięć tysięcy rocznie.

Osborne otworzył szeroko drzwi i wpadł do biblioteki. Mark odwrócił się z przekleństwem na ustach i zaczął strzelać na oślep. Richard rzucił się do przodu, przewrócił Leksi i nakrył ją własnym ciałem. Osborne zachwiał się i przykląkł na jedno kolano, a Mark Rawdon minął go i wypadł przez otwarte drzwi.

Nadbiegli służący, którym Richard kazał zająć się Osborneem. Sam pomógł wstać Leksi i podszedł do Osborne'a. Krew płynęła z rozcięcia z boku głowy, ale rana była powierzchowna. Richard rozejrzał się.

- Gdzie Rawdon? - zapytał. - Co się z nim stało?

Mark, który umiał wykorzystywać nadarzające się okazje, zdołał umknąć labiryntem przejść, prowadzących do pomieszczeń dla służby.

Mark pobiegł tam, gdzie powinien czekać stajenny Leksi z końmi. Próbował wypatrzeć go w ciemnościach.

- Coles? - zawołał. - Gdzie jesteś?

- Tutaj! - dobiegł z mroku męski głos. - Jestem tutaj, sir! Mark odetchnął z ulgą i ruszył biegiem w stronę okalających dom zarośli. Zabierze konia Colesa i tyle go będą widzieli.

Ostatnią rzeczą, którą dostrzegł w życiu, był błysk wystrzału. Ostatnią, którą poczuł, był żwir podjazdu wbijający mu się w twarz, gdy upadł.

Kiedy nadbiegł Richard, któremu deptali po piętach Osborne i Coles, Rawdon nie żył.

Richard i Leksi wrócili do domu powozem wypożyczonym z Rawdon Hall. Byli oszołomieni, choć w głębi serca cieszyli się z tak korzystnego, z ich punktu widzenia, rozwiązania problemu.

- Może Mark miał w Northampton wroga, który przyjechał za nim aż tutaj? - podsunęła Leksi.

- To właśnie powiedziałem policjantowi - odparł Richard.

Leksi zerknęła na niego w ciemności.

- Ty wiesz, prawda? Widzę to. Kto to był? Spotkałeś go w Northampton? Mam rację?

Oparł się wygodnie i zamknął oczy.

- Dobrze, że nie jesteś sędzią śledczym.

- Powiedz!

- Jeszcze nie. Muszę się upewnić. Mam tylko nadzieję, że on nie zabił również siebie. - Nic więcej nie chciał powiedzieć, nawet w zaciszu sypialni. Kiedy Leksi nalegała, uciskał ją pocałunkami.

Następnego dnia wpadła do sierżanta Chalmersa, żeby zrelacjonować mu ostatnie wydarzenia, i zastała go w łóżku, szarego na twarzy i kompletnie wyczerpanego. Bardzo cierpiał, ale kiedy chciała posłać po doktora Loudona, zaprotestował.

- Nie, milady! Dziękuję za pani dobroć, ale nie potrzebuję doktora. Nic mi nie może pomóc.

Słabł z każdym dniem, ale odrzucał propozycje wezwania lekarza. Leksi odwiedzała go tak często, jak mogła. Opowiadał o przeżyciach z okresu służby na Półwyspie Iberyjskim i często wracał do wyczynów Johnnynego.

Pewnego dnia był zbyt słaby, żeby rozmawiać. Po długim milczeniu oświadczył niespodziewanie:

- Dobrze to w końcu załatwiłem, prawda? To ja zabiłem tamtej nocy Francuza, kapitan Deverell słusznie się domyślił. Powiniennem być raczej dostać tego drugiego. Wreszcie to zrobiłem.

Leksi wstała i pochyliła się nad Chalmerssem. Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Znakomicie pan to załatwił, sierżancie. Dziękuję.

Rozdział szesnasty

Nadeszła ciepła wiosna. Cztery tygodnie przed Wielkanocą wszędzie już widać było oznaki nowego życia. Ptaki uwijały się w żywopłotach, a małe stworzonka, które dopiero wyszły ze

swych zimowych legowisk, czmychały spod stóp Richarda i Leksi, kiedy wypuścili się na przechadzkę ulubioną trasą wzdłuż brzegu rzeki w pobliżu Rawdon. Minął już prawie rok od ich rozmowy o Johnnym. To było na tej samej ścieżce, krótko przed jego śmiercią. Ten rok przyniósł smutek, gorycz i cierpienie, ale ostatnie trzy miesiące były okresem spokoju i zablizniania ran. I wielkiego szczęścia Deverellow.

Władze nigdy nie zdołały rozwikłać zagadki śmierci Marka Rawdona, w okolicy rozeszły się natomiast pogłoski o tym, co naprawdę spotkało panicza Johnnyego, potwierdzone brakiem żałoby po śmierci jego kuzyna. Prawo stanowiło, że wobec braku męskich spadkobierców Rawdon Hall przypadnie Leksi, która ma nim włądać jako pełnomocnik swoich dzieci.

Leksi i Richard spacerowali wzdłuż rzeki i rozmawiali o wielkim przyjęciu dla uczczenia ślubu, mającym się odbyć w Channings w wielkanocny poniedziałek. Wreszcie zawrócili znad rzeki na ścieżkę, przy której zostawili swój gig. Kiedy podeszli do przełazu przy końcu dróżki, Leksi stanęła i czekała. Richard odwrócił się, żeby jej pomóc zeskoczyć, ale ona położyła mu ręce na ramionach i uśmiechnęła się.

- Czy chcesz mnie pocałować, Richardzie? - zapytała.

- Oczywiście. Całowanie cię nigdy mi się nie znudzi.

Wziął żonę w ramiona. Pocałunek był równie namiętny jak pierwszy. A kiedy dobiegł końca, Richard nie chciał wypuścić Leksi z objęć. Spojrzał na nią z góry i powiedział z uśmiechem:

- Wiesz, jaki dziś dzień?

- Powiedz - poprosiła.

- Minęło właśnie sześć miesięcy od naszego ślubu.

- Nie zapomniałam.

- Jak będzie, moja piękna żono?

- Jak będzie? - Leksi zmarszczyła czoło. - Co masz na myśli?

- W październiku dałaś mi sześć miesięcy na udowodnienie ci, że nie jestem nikczemnikiem.

Czy zdołałem cię w pełni przekonać?

- Nie powinnam zawierać z tobą takiej umowy - szepnęła. - Byłam szalona. Muszę jednak powiedzieć, że spełniłeś obietnicę w sposób więcej niż zadowalający. - Znów się pocałowali.

Leksi przesunęła się lekko w ramionach męża i spojrzała zachęcająco. - Właściwie to nie jestem taka pewna, czy mnie zadowoliliś. Zamierzam jednak dać ci jeszcze jedną szansę. A nawet kilka, jeśli chcesz.

- A może całe życie?

- Może. Zobaczymy. Przeszli kawałek.

- Dzieci powinny mieć ojca.

- Co powiedziałaś? - Jego oczy, zwykle szare i chłodne, rozjarzyły się szczęściem i dumą, kiedy Leksi kiwnęła głową na potwierdzenie. - Dziecko w Channings! Nasze dziecko! Moja kochana, najdroższa, jedyna!

- Zwlekałam, bo chciałam powiadomić cię o tym dzisiaj. I jeszcze coś pragnę ci dziś powiedzieć. Chociaż przysięga, jaką sobie złożyliśmy przed sześcioma miesiącami nic dla mnie wówczas nie znaczyła, teraz nie potrafię już sobie wyobrazić życia bez ciebie. Obdarzam cię pełnym zaufaniem, Richardzie. Kocham cię i szanuję, jestem nawet gotowa być ci posłuszną. Będę przy tobie w zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

- Aleksandro... - Ujął jej dłonie i długo tulił do ust.

- Jestem taka szczęśliwa. Chciałabym przed powrotem do Channings odwiedzić jeszcze przykościelny cmentarzyk.

Nie musiała mu wyjaśniać dlaczego.

Drzewa na cmentarzu pokryły się świeżą zielenią, a kępy żonkili urzekały żywą barwą. Chwilę postali nad rodzinnymi grobami, a potem przeszli dalej. W niewielkiej odległości od miejsca spoczynku Johnny'ego stał prosty kamień, upamiętniający sierżanta Chalmersa. Długą listę wojennych zasług kończyło zdanie: „Wierny do końca”.